Nr. 5. Poznań, dnia 4 Lutego 1906 r. Rok X.

Abonament wynosi kwartalnie: na poczcie . . . 1,25 z odnoszeniem do domu . . 1,37 pod opaską . . 2,50

PRACA

Ogłoszenia od wiersza drobnego 20 fen.

Telefon Nr. 1465.

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

Treść nr. 5-go.

Dział polityczny: Ks. prałat Jażdżewski. — „Dziennik Berliński, a ujawnienie obrad Kół poselskich. — Jeszcze o wynarodowieniu. — Rozłam wśród socyalistów polskich. — O polską spowiedź naszych żołnierzy. — Z Królestwa Polskiego. — Ważny głos pasterski. — Tydzień polityczny. — „Straż“. - Związek Kół śpiewackich. — List Ojca św.

Felieton: Czarna księga czyli szkody wyrządzone polskości przez Komisyę kolonizacyjną. (Ciąg dalszy).

Dział powieściowy: Dwudziestoośmioletnie wygnanie. — Dla milionów. (Ciąg dalszy).

Dział illustrowany: Z ojczystych stron. Kowno I. — Z dziejów Humania. (Ciąg dalszy). — Wspomnienie o Kazimierzu Puławskim. (Szkic historyczny). XXVI. Pierwsze próby zaborów. — Złudzenia. Opowieść z czasów księcia Józefa Poniatowskiego (Ciąg dalszy). — Fallières, nowy prezydent rzeczypospolitej francuskiej. — Nad trumną cichego pracownika sprawy narodowej. — Szanujmy język ojczysty. (Ciąg dalszy). — Polacy w Brazylii. — Nasza ofiarność. — Nekrologia — Wiadomości literackie i artystyczne. — Dział szaradowy. — Dział rolniczo-ekonomiczny. — Dział kobiecy. — Rozmaitości. — Humorystyka. — Ogłoszenia.

Illustracye: albumowa: Poezya. — Książę Witold przysięga zemstę Krzyżakom po zburzeniu przez tychże Kowna. — Ratusz w Kownie. — Widok ogólny Kowna. — Kościół katedralny w Kownie. — Fronton budowli gotyckiej w Kownie. — Ruiny zamku królowej Bony w Kownie. — Prospekt Mikołajewski w Kownie. — Pomnik ks. Kordeckiego w Częstochowie. — Motyw kaplicy Jagiellońskiej z posągiem św. Zygmunta w katedrze na Wawelu. — Pomnik biskupa krakowskiego Piotra Tomickiego w katedrze na Wawelu. — Fallières, nowy prezydent rzeczypospolitej francuskiej. — Ś. p. Karol Piotrowski.

Nakład 12 tysięcy i 500!

Ks. prałat Jażdżewski — „Dziennik Berliński“ a ujawnienie obrad kół poselskich.

Donosiliśmy już o informacyach „Dz. Berlińskiego“ i o przebiegu uchwały interpelacyi w sprawie spowiedzi żołnierzy polskich — w Kole polskiem. Na podstawie informacyi naszych byliśmy zmuszeni doniesienie „Dz. Berlińskiego“ sprostować w najważniejszym punkcie, mianowicie co do „konszachtów“ ks. prał. Jażdżewskiego z rządem nam wrogim.

Informacye nasze potwierdza w osobnem oświadczeniu ks. prał Jażdżewski i Koło samo. Oświadczenia te brzmią jak następuje:

Środa, 20 stycznia 1906.

Szanowna Redakcyo!

W dzisiejszym numerze „Dziennika“ znajduję artykuł wyjęty z „Dziennika Berlińskiego,“ dotyczący sprawy interpelacyi, odnoszącej się do rozporządzenia naczelnej komendy I. korpusu. Interpelacyę tę miałem polecenie sformułować. Nim to uczyniłem, zapytałem się jednego z jenerałów na komisyi budżetowej, czy rozporządzenie to jest znanem w ministerstwie wojny i otrzymałem na to odpowiedź, że to rozporządzenie, nim się pojawiło w „Germanii,“ już zostało cofnięte. Pod takiemi okolicznościami, odpowiednio sformułowałem tekst interpelacyi i byłem na Kole zdania, iż skoro rozporządzenie jest cofnięte, nie radziłbym wniesienia interpelacyi, tylko omówienia sprawy przy etacie ministeryum wojny, a gdyby Koło jednak życzyło sobie wniesienia jej, aby to nastąpiło tylko z pomocą frakcyi centrum.

Nie rozumiem więc, co w tem jest niewłaściwego, jeśli się poinformowałem o stanie rzeczy, bo to wpływało na tenor zamierzonej interpelacyi i ewentualne uzasadnienie jej. Tej samej procedury trzymało się Koło przed trzema laty w zupełnie podobnej sprawie, która naprzód omówioną była na posiedzeniu komisyi, a potem w plenum. Zapytanie moje nie przesądzało w niczem postanowienia Koła, tylko ułatwiło mojem zdaniem przeprowadzenie akcyi parlamentarnej.

Konszachtów żadnych z rządem nigdy nie prowadziłem i nie prowadzę, robię tylko to, co w interesie sprawy uważam za stosowne i właściwe, a do tego szczególnego upoważnienia z niczyjej strony nie potrzebuję.

Z szacunkiem i poważaniem
Ks. L. Jażdżewski.

Wobec publikowanego w numerze 14-ym „Dziennika Berlińskiego“ dnia 19-go b. m. artykułu pod nagłówkiem „Interpelacya polska z przeszkodami“ — Koło polskie w parlamencie niemieckim stwierdza:

1) Że przedstawienie rzeczy co do posiedzenia Koła z dnia 17-go b. m. *w ważnych punktach zawiera jako fakta rzeczy niezgodne z prawdą, inne zaś niedokładne.*
2) Że poseł ks. prałat Jażdżewski nie postąpił w sposób niezgodny z praktyką i zasadami Koła i przeciw takowym w niczem nie wykroczył.
3) Że Koło stanowczo potępia bezpodstawną a krzywdzącą zaczepkę zasłużonego kolegi, jaka się ku ubolewaniu Koła pojawiła w piśmie publicznem.

Berlin, 25 stycznia 1906.

Ferdyn. Radziwill, prezes. *Mac. Mielżyński*, sekretarz.

Wobec powyższych dwóch oświadczeń, musimy dojść do przekonania, że przewina ks. prał. Jażdżewskiego w tym wypadku nie była tego rodzaju, ażeby z niej wysnuwać wnioski, takie n. p., jakie wysnuł „Lech,“ że na przyszłość ks. prał. Jażdżewski nie powinien być posłem.

I nam poseł ks. Jażdżewski bynajmniej się nie podoba, przeciwnie już niejednokrotnie potępialiśmy i ganiliśmy jego umizgi do rządu, nie mogliśmy atoli stwierdzić, żeby ks. prał. Jażdżewski ośmielał się na konszachty z rządem, na krzyżowanie planów Koła i t. d. Boć przecież umizgi co innego. a konszachty także coś innego. i to

o tyle, że konszachty są daleko gorsze od umizgów. Jeżeli więc umizgi z rządem w oczach naszych zasługują na ostre nagany i potępienie, jeżeli z tego powodu odmawiamy komuś racyi posłowania, to w chwili udowodnienia konszachtów musielibyśmy domagać się — aby odnośny poseł natychmiast mandat swój złożył.

Sądzimy, że inaczej na tę sprawę zapatrywać się nie można.

Żałujemy jednak, że „Dz. Berliński,“ którego informacye zawsze okazywały się źródłowemi, w tym wypadku padł ofiarą informacyi niedokładnej. Ubolewać nad tem musimy tem więcej, że informacya „Dz. Berlińskiego musiała wyjść z — Koła samego, boć według ustaw w obradach Koła nikt inny nie może uczestniczyć — oprócz posłów.

Mamy więc tutaj przykry fakt — niedotrzymania tajemnicy Koła. A choć zdarzało się to już niejednokrotnie, to nigdy nie pozostawił podobny wypadek tak silnego wrażenia jak obecny.

Nasuwają się skutkiem tego różne, bardzo poważne pytania, mianowicie czy tajemniczość obrad Kół naszych poselskich zawsze jeszcze jest na miejscu? — czy może nie lepiej z nią zerwać, skoro ona i tak nie ubezpiecza przed zdradzaniem tajemnic Koła? — czy wręcz nie jest ona może dla posłów naszych zbyt krępującą !

Przedewszystkiem musimy sobie tutaj zdać sprawę z tego, że według obecnej zasady posłowie nie powinni z obrad toczących się w Kole ani o żadnej z uchwał — nikomu nic mówić.

To jest według naszego zdania wręcz niepodobieństwem. Przecież posłowie mają przyjaciół politycznych, znajomych, którzy niejednokrotnie natarczywie domagają się wiadomości o tem, co się w kołach dzieje. Czyż ma to już być taką zbrodnią, jeżeli poseł ostatecznie z obrad Koła rozpowie coś takiego, co ani taktyce, ani planom Koła nie zaszkodzi — albo opowie to, jak ta lub owa sprawa została załatwiona?

My w tem doprawdy takiego grzechu nie upatrujemy. Przeciwnie uważamy informacye z obrad Kół za konieczne, by jak w wypadku z ks. prał. Jażdżewskim — obronić kogoś przed niesłusznym zarzutem. Nie podnosimy tej sprawy dla tego, by może zasłaniać ks. prał. Jażdżewskiego przed krytyką społeczeństwa, przeciwnie czynimy to w obronie wszystkich posłów, o których postępowaniu dzięki nie dostatecznej, albo jednostronnej, a może i złośliwej informacyi — należałoby wydać sąd fałszywy.

Otóż takiemu sądowi fałszywemu winna jest — tajemniczość obrad Koła, obowiązująca, a jednak w rzeczywistości nie wiążąca posłów. Cóż, gdyby n. p. taki fałszywy sąd spotkał innego z posłów, n. p. takiego, któremu opinia publiczna jest daleko przychylniejszą aniżeli ks. prał. Jażdżewskiemu? — A przecież i to wydarzyć się łatwo może.

Sądzimy, że Koła nasze sprawę tę dobrze sobie rozważą, że może przekonają się, że uchylenie tej tajemniczości obrad Kół pożądanem jest ze względu na ich własne dobro. A może ujawnienie tych obrad przyczyni się także do nawiązania ściślejszych węzłów pomiędzy społeczeństwem — a Kołami.

To byłoby istotnie rzeczą pożądaną — a w każdym razie praktyczniejszą od obecnej tajemniczości Koła.

Wystawmy sobie n. p. owo ujawnienie tak, że posłowie o obradach Koła będą mogli mówić, będzie o nich więc mogła pisać i prasa. W ten sposób ścierające się w Kole przekonania polityczne przejdą do społeczeństwa i wzbudzą większe sprawami politycznemi zainteresowanie — a co zatem pójdzie: życie i myśl polityczna u nas się pogłębi.

Toż od kogo społeczeństwo ma się uczyć, z kogo ma brać wzór w myśleniu politycznem, jeżeli nie z posłów, t. j. z tych współobywateli swoich, których przez wybór na swych obrońców uznało — za najlepszych?!

Prasa sama tu nie wystarcza, musi być żywy przykład. Nie wystarcza też i jedna lub druga mowa posła, która przedostaje się w tłomaczeniu do wiadomości. Często nawet zdarza się, że mowa jedna lub druga w szczegółach jest niejasna.

Czemu? — bo społeczeństwo nie wie, że Koło w tym względzie osobną powzięło uchwałę. Gdyby społeczeństwo odnośną uchwałę znało, gdyby wiedziało, z jakich powodów uchwała zapadła, zrozumiało by mowy posłów, a co ważniejsza, mogłoby ocenić ich istotną wartość.

„Przeciwko jawności obrad Koła jeden tylko jest argument poważny, że często ze względów taktycznych istotnie potrzebne jest zachowanie tajemnicy. Ale ten argument według naszego zdania raczej „za“ aniżeli „przeciwko“ ujawnieniu przemawia. Skoro bowiem Koło uzna tajemnicę za potrzebną, może ją sobie zastrzedz osobną uchwałą — a w takim razie przekonani jesteśmy, że wtenczas tej tajemnicy posłowie na prawdę dochowają. Taka poszczególna uchwała uwydatni doniosłość tajemnicy i przyczyni się tem samem do ściślejszego jej przestrzegania, aniżeli to się po dziś dzień dzieje.

Mamy nadzieję, że sprawę tę Koła nasze tak parlamentarne jak i sejmowe — wspólnie, albo każde z osobna — wezmą pod rozwagę, a w takim razie postępowanie ks. prał. Jażdżewskiego, na które nie zawsze się godziliśmy, bo dziś nie czas i pora na umizgi z osobistościami „wysoko“ postawionemi, a nam wrogiemi, choć raz dla społeczeństwa — dodatni odniesie skutek.

Jeszcze o wynarodowieniu.

Szanowny autor artykułu: „Gdzie się córki nasze niemczą“ dotknął kwestyi prawdziwie palącej, a jednakże zbyt mało interesującej nasze społeczeństwo. Zadziwiającą jest bowiem obojętność, z jaką rodzice umieszczają dorastające córki w niemieckich domach. Młoda dziewczyna w 16—20 roku, zazwyczaj bardzo mało jeszcze wyrobiona pod względem charakteru, znalazłszy się w niemieckiem otoczeniu bardzo szybko traci poczucie narodowe, przyzwyczaja się do rozmowy niemieckiej, a nawet — trudno uwierzyć, a jednak prawda! — listy do rodziny pisze po niemiecku, bo tak jej łatwiej i wygodniej.

Czego się może społeczeństwo spodziewać od panienki w takich warunkach wychowanej? z pewnością nie dzielnej obywatelki. Najmilszem jej towarzystwo niemieckich „przyjaciółek,“ byle jaki lichy romans niemiecki więcej ją interesuje, niż gazeta polska. Nie zawaha się też ani na chwilę zawrzeć małżeństwo z Niemcem, jeżeli tylko „dobry“ katolik. Z pewnem nawet zadowoleniem zmieni swe czysto polskie nazwisko, które ją „żenuje“ jak niemodny ubiór, lub mebel staroświecki.

W ten sposób zniemczonych córek polskich rodzin możnaby setki naliczyć; ile ztąd społecznej niepowetowanej straty, jaki ubytek żywotnej siły narodu — o tem bezmyślni rodzice widocznie nie pomyśleli.

Chłopcu zniemczonemu w szkole pozostaje jeszcze możność, że w czasie nauki rzemiosła, czyto uniwersyteckich studyów, dostawszy się w kółko młodzieży patryotycznie usposobionej rozbudzi się narodowo i zagrzeje. Dzięki Bogu posiada męzka młodzież nasza wyrobioną w tym kierunku ambicyę i zazwyczaj żarliwsi pociągają ozięb-

Dziewczęta atoli wcześnie wprzęgają się w jarzmo zarobkowej pracy, pochłaniającej wszystkie siły fizyczne i umysłowe i jeżeli nie rozbudzone pod względem narodowym w młodych latach, bardzo szybko i łatwo się wynarodowiają.

Zbliża się koniec roku szkolnego a z nim ukończenie nauki szkolnej i wybór zawodu. Ważna to chwila w życiu dorastającej młodzieży, bo dla nich być lub nie być Polakiem, zależy tylko od warunków, w jakich przepędzają lata młodzieńcze, okres największej wrażliwości na dobre i złe wpływy. Niech rodzice się nie tłomaczą trudnością znalezienia odpowiedniego domu, w którymby z korzyścią córka spędzała czas nauki szycia, czy kurs handlowy, czy przygotowania do egzaminu nauczycielskiego.

W każdem większem mieście znajdują się domy szczerze polskie, w których panienki znajdują opiekę i staranny kierunek narodowy i religijny. Redakcya miejscowej gazety, lub ksiądz proboszcz, na żądanie chętnie udzielą rodzicom stósownej rady.

Spodziewamy się na pewno, że „Straż" ukończywszy pracę organizacyjną, umieści w programie swej działalności sprawy nauki i wychowania, co niewątpliwie znaczne przyniesie korzyści naszej młodzieży.

Rozłam wśród socyalistów polskich.

(Niesnaski w partyi socyalistycznej. — Zapasy atletów).

Kraków, dnia 29-go stycznia 1906.

Coś się psuje w „polskiej partyi socyalno-demokratycznej!" Coraz jawniej tworzą się w niej rozmaite obozy, które zwalczają się już „coram publico", nie braknie także osobistych sporów i waśni. Przed dwoma tygodniami podałem wam w streszczeniu list otwarty posła *Daszyńskiego*, potępiający bezrozumne strejki i wybuchy rewolucyjne przeciwko *swoim*, urządzane przez „pepeesów" (polską partyą socyalistyczną) w Królestwie. Socyalistyczny poseł z miasta Krakowa uznał ten socyalistyczny środek walki słusznie za szkodliwy, bo niszczący cały dobrobyt Polaków w Królestwie. List jego nie pozostał atoli bez odpowiedzi. Dał ją jeden z przywódców pp. „pepeesów" z Królestwa, znany poeta i pisarz *Andrzej Niemojewski*. Pan ten, który ze zbyt gorącego obecnie gruntu w Królestwie schronił się na pewien czas do mniej gorącej i mniej niebezpiecznej Galicyi, nie godzi się na zapatrywania posła Daszyńskiego. Przeciwnie, uważa on owe zgubne strejki i porywy socyalistów w Kongresówce za rzecz bardzo dobrą, która dobre wydaje owoce, zarzuca p. Daszyńskiemu, że nagle zmienił swoje zapatrywania, że z Szawła stał się Pawłem, a w dodatku wydobywa na jaw jeszcze jedną sprawę, o której ogół polski dotychczas nie wiedział. Twierdzi on oto, że pomiędzy polskimi socyalistami w Krakowie a w Królestwie nie od dzisiaj panuje różnica dążeń i zamiarów. Podczas bowiem, gdy partya socyalistyczna wKrólestwie dąży jedynie do wywalczenia tej części Polski *samorządu* i to przy pomocy rewolucyjnych stronnictw rosyjskich, krakowscy „towarzysze" marzą o niepodległej Polsce i o zbrojnem powstaniu i takie powstanie pragną wywołać. O ile ta rewolucya Andrzeja Niemojewskiego jest zgodną z prawdą, nie wiadomo do tej chwili, bo partya krakowska, czyli krakowska „fronda", jak ją nazywa Niemojewski nie odpowiada jeszcze na jego zarzuty. Twierdzić tylko wypada, że tu w Krakowie o takich dążnościach tutejszych socyalistów nikt nic nie wie, dalej, że tu rewolucya rzeczona wywołała tylko pewną *wesołość*. Bo chociażby ta nasza socyalistyczna „fronda" rzeczywiście marzyła o powstaniu, to wobec pokojowego i rozważnego usposobienia całego tutejszego społeczeństwa byłoby to tylko — wybaczcie trywialne wyrażenie — „kiwanie palcem w bucie". Krakowscy socyaliści są wprawdzie dość silni, aby wyprawiać rozmaite pochody po ulicach i bić komisarzy policyjnych, lecz siły, którąby mogła porwać za sobą społeczeństwo do tak niebezpiecznego kroku, absolutnie nie posiadają. I cała ta sprawa nie ma najmniejszego praktycznego znaczenia, prócz tego, że będzie wodą na młyn pruskiej hakaty i rosyjskiej reakcyi. Oba te obozy socyalistyczne pracują w całem tego słowa znaczeniu jedynie „pour le roi de Prusse".

A teraz druga sprawa. Znany wam jest dobrze z nazwiska profesor uniwersytetu tutejszego pan *Odo Bujwid*, bardziej dziś znana jest wam jeszcze małżonka jego, pani profesorowa — chociażby z tego, że była protektorką owego wiecu kobiet w Krakowie, który tak w czambuł potępił całe „klerykalne" społeczeństwo wielkopolskie. Prof. Bujwid „skłania się" do socyalizmu, jego małżonka występuje już jawnie jako „czerwona towarzyszka". Łatwo więc wyobrazić sobie możecie zdumienie tutejszej publiczności, gdy niedawno socyalistyczny „Naprzód" krakowski wystąpił z długim artykułem, w którym zarzucił prof. Bujwidowi, że w pozostającym pod jego kierownictwem a utrzymywanym przez rząd i kraj zakładzie ku leczeniu wścieklizny, głodzi chorych, źle się z nimi obchodzi i poprostu zakład ten wyzyskuje dla osobistego swego dobra. Zarzuty były ciężkie, odpowiedź na nie prof. Bujwida była bardzo słaba. Nie dziw więc, że wydział lekarski zajął się tą sprawą i zażądał od pana profesora, ażeby z zarzutów tych oczyścił się na drodze sądowej przez wytoczenie procesu. Nie wiadomo jeszcze jaki sprawa ta weźmie obrót, słychać jednakże, że prof. Bujwid zrażony niewdzięcznością czerwonych przyjaciół zamierza strząsnąć pył Galicyi ze swego obuwia i wrócić, zkąd przybył, do Warszawy lub na Litwę. Tu ogólnie panuje zdanie, że Kraków nie płakałby wcale, gdyby się to sprawdziło. I ten wypadek stwierdza atoli, że w naszem „państwie czerwonem," coś na dobre psuć się zaczyna.

I u nas powstał prąd chwalebny, zwalczający w tym roku huczne bale i zabawy, spodziewać się należało, że zaoszczędzone przez to pieniądze złagodzą nieco ogólną tu biedę. Ale pieniądz polski ma to do siebie, że chętnie ucieka do obcych kieszeni. I teraz tak się stało. Bawi tu cyrk niemiecki, który urządza międzynarodowe zapasy atletów, a na wabika zaprosił dziecko krakowskie, osobiście zresztą bardzo sympatycznego atletę polskiego pana Zbyszko-*Cyganiewicza*. I cóż się dzieje? Cyrk dzień przy dniu zapełniony i dzień przy dniu 4 do 5000 koron płynie do kieszeni niemieckiego jego właściciela. Tak oto szanujemy tu obecną *„poważną chwilę."* *D. P. S.*

O polską spowiedź naszych żołnierzy.

Interpelacya Koła polskiego w parlamencie, o której społeczeństwo dowiedziało się wśród tak drażliwych okoliczności, była w ub. tygodniu na porządku obrad.

Interpelacya sama brzmi:

„Generalna komendantura pierwszego korpusu armii wydała pod dniem 19-go grudnia 1905 roku rozporządzenie, sprzeciwiające się regulaminowi służebnemu dla spraw katolików w wojsku. W rozporządzeniu tem rozciągnięto kontrolę nad językiem, w którym żołnierze się spowiadają, i uzasadniono ją tem, że spowiedź w języku polskim popiera dążności polskie. Zapytujemy kanclerza, czy powyższe rozporządzenie jest mu wiadomem i co zamierza uczynić, aby zapobiedz po-

dobnemu mięszaniu się do życia religijnego żołnierzy.“

Interpelacyę tę uzasadniał imieniem Koła ks. prałat *Stychel*. Powiedział, że wypadek, który bezpośrednio spowodował interpelacyę polską, nie jest jedynym. Przeciwnie Polacy już od kilku lat podobne wytaczają skargi, a ministeryum wojny uroczystych przyrzeczeń, że usunie powody do tych skarg — nie dotrzymuje. N. p. zimą roku 1904/5 dopytywano się żołnierzy w załogach górnośląskich, ilu z nich spowiadało się po polsku, a ilu po niemiecku. W Szczecinie podczas Zielonych Świątek zeszłego roku dawano żołnierzom polskim niemieckie książki do nabożeństwa w miejsce polskich, a komendant 35 dywizyi oświadczył im, że teraz wszyscy muszą uczyć się po niemiecku.

W innych garnizonach, n. p. w Bernburgu w Księstwie Anhalt, nie mają żołnierze wogóle sposobności do wyspowiadania się po polsku. Pewien przejeżdżający tędy ksiądz Polak nie mógł słuchać spowiedzi po polsku, ponieważ mu wyraźnie zakazano spowiadać w języku polskim.

Znanem jest powszechnie, że żołnierze polscy nie umiejący po niemiecku, stają się z powodu języka swego i wyznania przedmiotem szyderstwa kamratów i przełożonych. Wyzwiska jak „Pollacke“ i „ścierwo polskie“ są przytem na porządku dziennym. W pewnym procesie wojskowym stwierdzono wyraźnie, że podobne wyzwiska są codziennie w użyciu.

Scharakteryzowawszy następnie ogłoszone już w „Pracy“ rozporządzenie I. korpusu i odwoławszy się na regulamin wojskowy, zakazujący nadzoru nad językiem, w jakim się żołnierze spowiadają, kończy poseł nasz przemówienie swoje tak mniej więcej:

„Rozporządzenie w I. korpusie armii jest grubem wykroczeniem przeciwko przepisom król. ordynacyi służbowej. Przypadek ten atoli nie jest odosobnionym, gdyż już od lat słyszymy, że żołnierzom chcącym się spowiadać po polsku, przeszkadzają w tem. Są nawet okolice — znany mi taki przypadek w Anhaltskiem — w których polskim żołnierzom wogóle nie daje się sposobności wyspowiadania się w ojczystym języku.

Władze wojskowe usiłują sakrament pokuty wyzyskać do celów politycznych. Każdy zapewne żołnierz ma prawo spowiadania się w ojczystym języku, czy on Niemiec lub Polak, czy wykształcony lub nie. Ćwiczenia niemieckie nie należą do konfesyonału. Jeśli są żołnierze Polacy w armii, nie można im brać za złe, że pragną się spowiadać przed księdzem władającym polskim językiem. Podobno miano żołnierzy często przed spowiedzią pytać się, w jakiej mowie zamierzają się spowiadać. Przez takie dopytywanie się można tylko żołnierzy przestraszać. Wiadomo przecież, w jaki to sposób żołnierze Polacy bywają traktowani przez swych kolegów, a w części także przez swych bezpośrednich przełożonych, jak często ich wyszydzają ze względu na narodowość i poniewierają.

Proszę pana ministra wojny, aby się postarał o to, iżby takiego nacisku nie wywierano.

Na interpelacyę tę odpowiedział minister wojny *Einem*, że wolno się żołnierzom spowiadać tak, jak im *dziób urósł* — a więc Polakom po polsku. Sprawę rozporządzenia komenderującego I. korpusu tłómaczy natomiast tak. Komenda w Gąbiniu żądała kosztów podróży dla księdza polskiego, którego tamtejszy ksiądz wojskowy zawezwał do pomocy bez poprzedniego zapytania władzy wojskowej, choć w pobliskiem Gołdapiu był ksiądz mówiący po polsku. Generalna komenda musiała przecież sprawdzić dokładność przedłożonego sobie rachunku. Że 19 żołnierzy spowiadało się po polsku, podał ów ksiądz sam, bez pytania władzy wojskowej. Ksiądz wojskowy w Gąbiniu nie postąpił sobie prawidłowo. Gdyby był zapytał się o pozwolenie przy sprowadzaniu księdza do pomocy, likwidacya byłaby bez wszystkiego zapłaconą. W życie religijne żołnierzy nikt nie wkraczał i nie wkracza nigdzie.

Z drugiej strony jeneralna komendatura musiała wyjaśnić sprzeczność pomiędzy pierwszem podaniem księdza wojskowego, że polski ksiądz jest niepotrzebny i pomiędzy faktycznem

Czarna księga

czyli

szkody wyrządzone polskości przez komisyę kolonizacyjną.

12)

V. Demoralizacya czyli zatrucie ducha.

Każdy kolonizator czyli sprzedawczyk nietylko, że sam był zdemoralizowanym, ale przyczynił się do zatrucia ducha w narodzie. I kiedy przypatrzymy się długiemu szeregowi sprzedawczyków, poznamy, że wśród nich bardzo mało było takich, którzy jedynie przez nieszczęścia niespowodowane własną winą, popchnięci zostali do zaprzepaszczenia swej ziemi w obce ręce. Dwa przeważnie napotykane rodzaje sprzedawczyków są to: *letkiewicze i spekulanci*, oba rodzaje dowodzą, że demoralizacya wewnętrzna, bądź to cielesna, bądź też duchowa, była powodem ich czynu. Pierwszy: letkiewicz żył nad stan, nie liczył dochodów ani rozchodów, wydawał na prawo i lewo, hulał przez lata całe, posełał brudną bieliznę do paryskich praczek, żył wystawnie, robił długi z świadomością, że ich nigdy nie będzie mógł spłacić, aż nareszcie wyczerpawszy kredyt, stanął nad przepaścią. Nie chcąc, aby z żoną i dziećmi zmuszony był pójść w żebry sprzedawał taki kolonizator swą włość i poddawał się dobrowolnie hańbie wieku. istej. Drugi rodzaj spekulanta odznacza się przedewszystkiem cynizmem, czyli obojętnością i lekceważeniem opinii społeczeństwa. Taki kolonista spekulant, nie potrzebujący często wcale sprzedawać ziemi swej, gdyż ani nie dokładał, ani też nie brakło mu innych zasobów, jedynie dla tego pozbył się ziemi ojców, aby „zarobić“, a za uzyskane judaszowskie grosze pędzić swobodnie żywot sybaryty czyli wygodnisia. Nazwisk tu żadnych wymieniać nie potrzeba, bo kto spojrzy na wykaz sprzedawczyków, ten połowę ich zaliczyć będzie mógł do kategoryi spekulantów.

Klęska sprzedawczykostwa nie dla tego atoli jest tak straszną, że wykazała nam 300 osób zdemoralizowanych, jak raczej dla tego, że judasze ci demoralizują naokół siebie całe otoczenie i szerzą tę gangrenę we wszystkich stanach naszego społeczeństwa. Nasamprzód mieliśmy tylko zdemoralizowaną szlachtę; do niej przyłączyło się zwolna blisko 200 gospodarzy, następnie już mieszczanie zaczęli wchodzić w konszachty z kolonizacyą i sprzedawali jej swe hotele, handle, grunta itd. Do tych przyłączyli się w ostatnich latach panowie agenci, pośrednicy, maklerzy, handlarze i wydrwigrosze, którzy, byle tylko zarobić, namawiają ziemian i włościan do wejścia w przedpokoje komisyi kolonizacyjnej.

Również jak Polaków demoralizuje kolonizacya także i Niemców, gdyż większa ich część nie sprzedała ziemi swej z musu lub z ważnych powodów, lecz jedynie z chciwości na pieniądz i pożądliwości zarobku i wygodnego życia. Ale demoralizacya Niemców sprzedających, oraz otruty duch ich agentów niemieckich lub żydowskich mniej nas tutaj obchodzą.

Zastanówmy się raczej nad spodleniem naszych ziomków, których całe dziesiątki uwijają się po naszem Księstwie i Prusach Królewskich. Odsłońmy rąbek tajemnicy tej strasznej zarazy, przyłóżmy żelazo do rany, bo czas największy, aby tę gangrenę, jeżeli się da, powstrzymać. Pierwszy gatunek zdemoralizowanego agenta to taki, co jawnie po gazetach i po restauracyach i kawiarniach głosi, że jemu jest wszystko jedno jak prowizyą zarobi, byle ją tylko zarobił szybko, wygodnie i w jak najgrubszej sumie. Taki kolonizator-agent to zero społeczne, jednostka podła i shańbiona, której nikt swojej ręki nie poda, to nikczemnik ży-

sprowadzeniem drugiego księdza. Może komenderujący generał przypuszczał, że chodziło tam o polską agitacyą. Od przypuszczenia tego jednak odstąpił, skoro otrzymał potrzebne wyjaśnienia.

Aby jednak rozproszyć wszelkie wątpliwości, *wydałem rozporządzenie, według którego stwierdzanie, w jakim języku księża słuchali spowiedzi, jest niedozwolonem.* Tem samem uczyniłem wszystko, aby unikać przymusu sumienia. Poza tem Polak, dopóki pełni służbę wojskową, jest niemieckim żołnierzem i to dobrym żołnierzem. Mamy więc obowiązek uczyć go po niemiecku, aby języka tego nauczył się i nie zapomniał go, dopóki pozostaje w stosunku rezerwy i landwery.

Protestuję przeciwko twierdzeniu, jakoby z żołnierzy polskich naigrawano się z powodu ich narodowości. Gdzie to się stało, tam nastąpiły surowe kary, a winowajców pouczono, że postąpili sobie marnie. Drobne naciągania zachodzą wszędzie, także wśród niemieckich żołnierzy z rozmaitych prowincyi.

W ten sposób zakończyła się interpelacya o polską spowiedź żołnierzy w parlamencie, bo nikt nie domagał się szczegółowego jej omówienia. Nie wywołała ona więc wielkiego wrażenia i rzucona została mówiąc językiem parlamentarnym — pod stół po odpowiedzi ministra. Czemu? — bo centrum, które interpelacyę tę nawet podpisało, nie uważało za stósowne ująć się za Polakami, uznawszy cofnięcie rozporządzenia I. korpusu przez ministeryum wojny i wytłómaczenie go — za dostateczne.

Dla nas najważniejsze jest zaręczenie ponowne ministra wojny, że wolno się Polakowi spowiadać, jak mu dziób urósł. Powinniśmy z tego oświadczenia tę wynieść naukę, że odchodzących do wojska synów i braci naszych pouczyć należy, jakie są ich prawa co do spowiedzi św.

Ale nie dość na tem. Zwrócić należy z drugiej strony pilną uwagę na to, by wszelkie krzywdy, jakie się pod tym względem dzieją, donosić posłom naszym, ażeby oni tam, gdzie należy, bronić mogli — praw naszego sumienia i języka.

Z Królestwa Polskiego.

(Własna korespondencya „Pracy".)

(Poniżej załączoną korespondencyę odebraliśmy w końcu przeszłego tygodnia. Stósunki tymczasem w Królestwie w niczem istotnie się nie zmieniły, tak że i dziś jest ona w zupełności na czasie.)

Jak jadowita żmija, wijąca się w przedśmiertnych kurczach, zbiera ostatnie siły, by raz jeszcze w ofiarę swoją żądło zapuścić, tak samo czynownictwo rosyjskie w Królestwie ostatnie chwile swego panowania upamiętnić chce wzmocnieniem ucisku i prześladowania. Nikt u nas nie wątpi, że okres dzisiejszy, który nazwać by można kwintesencyą 40 letnich rządów biurokracyi moskiewskiej w Polsce, jest okresem przejściowym do wolności i korzystania z praw obywatelskich i narodowych. Dzisiejszy ucisk rządowy, na wszelkich polach i we wszystkich postaciach okropnie dający się odczuć narodowi polskiemu, uwarunkowany jest ściśle stanem wojennym. A ten znów w najgorszym razie trwać może aż do zwołania Sejmu, czyli do kwietnia albo połowy marca.

Chodzą uporczywe pogłoski, że ma być zniesiony już 28 b. m., czy też w dniu rozpoczęcia wyborów.

Trudno zaręczyć, czy azyatycka przebiegłość ciemiężców naszych nie podsunie im szatańskiej myśli utrzymania stanu wojennego na czas wyborów. Biurokracya rosyjska w Polsce dziś mniej niż jeszcze kilka miesięcy temu jest skrępowaną w zarządzeniach swoich przez opinię społeczeństwa rosyjskiego. Nie słychać bowiem tym razem o protestach rosyjskich przeciwko systemowi rosyjskiemu w Polsce. Ani ziemcy, ani związek związków, ani ad hoc zwoływane mityngi w Moskwie i Petersburgu nie zabierają już głosu w sprawie polskiej. Czy sądzą, że poprzedniemi swemi wystąpieniami speł-

jący na wiarę z kobietą luźnych obyczajów, od której łaski nieraz dzienne jego wyżywienie zależy, to podlec, którego w publicznych lokalach biją po twarzy, któremu na ulicy plują w oczy. Mamy takie egzemplarze na poznańskim bruku; tem smutniejsza jest, że ludzie ci „noszą" szlacheckie nazwiska. Drugi typ agenta, to ludzie „poważni" utytułowani, szczycący się przyjaźnią sfer wyższych i dostojników kościoła. Typ ten chwali się, że ratuje majątki polskie dając pieniądze na hipotekę (po wysokim procencie!) lub udzielając rad i wskazówek. Jeden z takich agentów kolonizacyi jeździ regularnie do biura kolonizacyi, a gdy wraca do swego miasta powiatowego, nie zdoławszy nakłonić szlachcica do wyzbycia się ziemi, wówczas posełá mu „rachuneczki" za nadaremnie wykonane podróże. Taki pan puścił już kilka majątków na kolonizacyą i odłożył już sporo judaszowych marek, ale ponieważ umie pisać ładne artykuły do „poważnych" pism, ponieważ ma w rodzinie braci szlachtę, przeto nic o nim złego — prawdy —świat się nie dowie. Inny znowu z tej samej kategoryi, także już otrzaskany po buzi, krzyżem leży w kościele bardzo często, proboszcza pod ramię przy procesyach prowadzi, w dozorze zasiada; ten nie tylko, że już kilka majątków kolonizacyi wsunął jako agent, ale własny swój także już wyrzucił z gardła.

Trzeci typ agenta-kolonizatora to szlachcic, czy nawet hrabia; wiecznie goły, wiecznie zmyka przed wierzycielami i komornikami, aby go nie wsadzili do kozy; raz po raz uda mu się zaprzepaścić kawał ziemi i wtenczas przypomną się tym panom dawne wielkie pańskie maniery i obyczaje; dalej wówczas do Berlina, do Wrocławia lub Drezna na hulankę przy kartach, kobietce i kieliszku. Niech djabli biorą całe społeczeństwo, bylebym ja miał za co bawić się i hulać — tak sobie.

Mamy też jeszcze agentów mieszczuchów, co dzień caluteńki Boży czyhają po kamienicach i knajpach na swoje ofiary. Ci nie mogąc dla braku ogłady, poloru i znajomości, pośredniczyć wielkim panom polują na właścicieli folwarków i na gospodarzy. Hańba im, hańba stanowi, do którego się ci panowie zaliczają! Doszło już do tego, że tacy agenci poszli po prostu w służbę żydowską, jak o tem świadczą dowody, że agenci Polacy z Berlina, Galicyi, a nawet Królestwa, pośredniczyli przy sprzedażach wsi, których nawet nie widzieli na oczy. Małoż to takich panów włóczy się po miasteczkach naszych? Byle tylko zarobić swoją prowizyą, byle tylko swoją pieczeń upiec, co to obchodzi takiego frymarczyciela, czy ziemię kupi rodak lub kolonizacya. Ci ludzie nie mieli nigdy i nie mają też sumienia, a żadne narodowe sprawy nasze nic ich nie obchodzą. To pijawki społeczne, to zdrajcy, których nigdy dość napiętnować nie można, to ludzie, przed którymi każdy uczciwy, jak przed trędowatym, uciekać powinien.

Lecz tu jeszcze nie koniec demoralizacyi.

Doszło już do tego, że kolonizatorzy wciskają się do uczciwych prywatnych domów tak w Poznaniu jak też na prowincyi. Mamy dowody na to, że nawet redaktorzy poznańskich pism przyjmują u siebie w domu sprzedawczyków, których poprzednio piętnowali w swych pismach i którym niedawno (na papierze!) ręki nie chcieli podawać. Taka to u nas opinia, taka obłuda, taka słabość charakteru!

Bogu chwała, dziś jeszcze odczuwamy silnie krzywdę, jaką wyrządza każdy sprzedawczyk naszemu społeczeństwu. Jeżeli ten jad trujący dopuścimy do otoczenia naszego, jeżeli sprzedawczyków i to zwyrodniałe plemię, agentów kolonizatorskich, traktować będziemy na równi z obywatelem nieposzlakowanym, wówczas biada nam, bo zatracimy zwolna poczucie zbrodni i hańby, a otoczenie i rodziny nasze nauczą się pobłażliwości, która jedynie zgubną być może. Strzeżmy się zatem od demoralizacyi. Precz z kolonizatorami z domów naszych — precz z agentami, niech nie przekraczają progów izb, w których się znajdujemy! *K. R.*

niły obowiązek względem „braterskiego narodu polskiego, którego ból jest naszym (t. j. rosyjskim) bólem, którego cierpienie jest naszem cierpieniem"; bo „wolna Rosya nie może istnieć obok ciemiężonej Polski." A więc „zdrajcami narodu rosyjskiego nazwiemy tych, co dziś się ośmielają podnieść rękę na naród polski". — Wszak słowa te, w listopadzie wygłoszone na wiecu „Związkn Związków" do dziś dnia brzmią w naszych uszach. Czy by straciły już znaczenie na dzisiaj? Czyby przez ten czas krótki zmienić się miało usposobienie względem narodu rosyjskiego?

Tego przypuszczać nie trzeba. Rosya postępowa, Rosya przyszłości już się wypowiedziała w sprawie polskiej, i nic nad to dodać nie może, bo i sama związane ma ręce i nogi. Srożąca się w Rosyi reakcya, połączona z ogłaszaniem w coraz to innych miejscowościach stanu wojennego, aresztowaniem tysiąca obywateli, zamykaniem pism i t. d. to wszystko po krwawem zduszeniu nieudanej rewolucyi sprawia, że *faktycznie* cała Rosya objęta jest stanem wojennym. Własne cele, własna, wzmożona dziś walka o wolność odwlekają już od nas uwagę społeczeństwa rosyjskiego. Przyjazna Polakom prasa albo zamknięta, albo coraz to nowym procesom poddawana. „Syn otieczestwa" nie istnieje, socyalistyczne organa wszystkie zamknięte, redaktor „Rusi", stale i wiernie nam przychylnej, skazanym został na 1 rok więzienia, a „Mołwa" — dawniejsza „Ruś" wyraża nam swoje współczucie i życzenie, by naród polski zniósł z godnością tę nową krzywdę.

Zresztą, i prasie rosyjskiej nie wolno już całkiem swobodnie się wypowiadać w sprawach polskich. Minister zwrócił uwagę na „coraz to więcej zjawiające się w prasie artykuły, popierające narodowe dążności polskie, i omawiające je w sposób nieprzyjazny rządowi".

W obec tego postanowiono, że nietylko prokuratorowie w stolicach rosyjskich, lecz i prokuratorya warszawska ma obowiązek wytaczania dziennikom rosyjskim procesów za omawianie spraw polskich w duchu przeciwnym rządowi. Dziś zaś prokuratorya zależną jest od administracyi. Pisma warszawskie podają wiadomość, że prokurator kaliski Skarjatin w swych obowiązkach zawieszonym został przez Skałona. A Skarjatin miał opinię najuczciwszego urzędnika rosyjskiego w Królestwie; nie chciał być powolnem narzędziem wojennego jenerał-gubernatora. Naprożno minister sprawiedliwości Akimow w radzie ministrów protestował przeciwko wszelkim zamachom na niezależność sądownictwa. W praktyce nie istnieje ona tak samo u nas, jak i u was, w zaborze pruskim, zwłaszcza, gdzie idzie o Polaków.

Ucisk i sroga represya! Dzienniki są przepełnione wiadomościami o aresztowaniach, karach administracyjnych, zesłaniach i t. d. Szczególną srogością odznaczają się gubernatorzy wojenni w Siedlcach i w Płocku; w Siedlcach więzienia są literalnie przepełnione narodowymi i socyalistycznymi działaczami. Wielu, jak pisze „Praca Polska," nie domyśla się nawet za co zostali aresztowani; zamykają obywateli ziemskich, ławników, wójtów, włościan już nie pojedyńczo, ale dziesiątkami w całym kraju.

W okolicznościach tych szalenie utrudnioną jest wszelka praca twórcza. W Lubelskiem jedna gmina, idąc za przykładem setek innych, zapragnęła uchwalić język polski. Na zebranie przyjechał naczelnik gminy i odczytał niedawno wydane rozporządzenie Skałona, grożące karą 3000 rubli za dopominanie się polskiego języka w urzędowaniu. Ta sama kara grozi za polskie wykłady w szkołach ludowych. W tych szkołach samorzutnie wszędzie już prawie wprowadzono język polski; gdzie tego nie uczyniono, szkoły strejkują lub też siłą przerywane zostają wykłady. W wielu miejscowościach, w Kaliskiem i Płockiem, ludność sama zażądała zamknięcia szkół ludowych z polskim wykładem, by nie narażać nauczycieli na tak surowe prześladowanie A więc i na tem polu napięcie, z jakiem prowadzoną była walka o prawo, osłabnąć musi; słabnie — oczywiście tylko na czas stanu wojennego.

Jak trudno w okolicznościach tych przeprowadzić pomyślnie przygotowania do wyborów! Dozwolono wprawdzie na przedwyborcze zebrania, i te odbywać się zaczną od przyszłego tygodnia w całym kraju. Lecz gdzie jest pewność, czy mówcy agitacyjni za wypowiedziane hasła i słowa nie będą pociągani do odpowiedzialności lub nie karani administracyjnie prawem kaduka czyli stanu wojennego? W dodatku system wyborów — pośredni, dwu i trzystopniowy, przypominający wasz do sejmu pruskiego, tylko znacznie — bardziej demokratyczny, utrudnia wybór kandydatów odpowiednich. Stronnictwa nie ogłosiły jeszcze kandydatów, może z obawy, by ich nie aresztowano.

Szczegół ciekawy! W Siedlcach Rosyanie próbować chcą, korzystając ze stanu wojennego, przeprowadzić do Sejmu trzech swoich kandydatów! 1 sędziego i 2 właścicieli majoratów, Rosyan. Wobec tego, że Rosyanie w Królestwie stanowią zaledwie 5 procent ludności, jest wprost niepodobieństwem przypuszczać, by mogli przeprowadzić własnych kandydatów, nawet pod presyą stanu wojennego i najsurowszym naciskiem władz na wybory. Co prawda, rząd zapowiada solennie, że do wyborów nie będzie się wtrącać. Lecz szczegół ten w Siedlcach jest najlepszym objawem, jak daleko sięgają nadzieje pewnych sfer skazanej na niechybny upadek biurokracyi rosyjskiej w kraju naszym. Jej przedstawiciele pragną reprezentować Królestwo!

Sarmata...

Zapowiedź korespondenta naszego o zniesieniu stanu wojennego się nie ziściła.

Jako najświeższy fakt zanotować tutaj należy także to, że w *Łodzi* socyaliści zburzyli 3 biura wyborcze i zniszczyli w nich zebrane dotąd spisy wyborców. Wobec tego biura te strzeżone są przez wojsko. Fakt ten dla obywatela kraju konstytucyjnego wydaje się wprost niesłychanym.

Ważny głos pasterski.

Wobec groźnej antipolskiej agitacyi, jaką obecnie z powodu projektowanej przez rząd austryacki reformy wyborczej, radykalni i socyalistyczni prowodyrzy ruscy uprawiają w Wschodniej Galicyi, wobec ich otwartych nawoływań do rzezi „Lachów i żydów", uznali trzej galicyjscy biskupi ruscy za stósowne i konieczne wystąpić *z listem pasterskim* do *ruskiego duchowieństwa*, wzywającym je, ażeby agitacyi tej przeciwdziałało. Są to ci sami biskupi, którzy brali udział w konferencyi ruskiej w Wiedniu, a następnie należeli także do deputacyi, która cesarzowi Franciszkowi przedłożyła skargi na rzekome krzywdy Rusinów.

List ten jest enuncyacyą pod wielu względami *bardzo ważną*, posiadającą niemałe znaczenie nietylko dla Rusinów i Polaków w Galicyi, lecz dla katolików w ogóle, a zwłaszcza dla *całego duchowieństwa katolickiego*. Obok bowiem sprawy antipolskiej agitacyi porusza on kwestyę udziału duchowieństwa w pracy publicznej, zwłaszcza *narodowej* i zawiera co do tego bardzo cenne godne szerokiego posłuchu wskazówki.

Co się tyczy rzeczonego ruchu przeciwko Polakom — obszerne jego wywody streścić można w kilku słowach.

Biskupi ruscy składają całą winę tego ruchu na *socyalistów ruskich i nieruskich* na *„ową garstkę ludzi, którzy nie są chrześcianami, chociaż chrześcian przed ludem udawają, którzy są wrogami kościoła i narodu“*.

„Ale właśnie dlatego, — czytamy dalej — że są tylko garstką, że są wrogami narodu i że prowadzą go do zguby, nie możemy pozwolić, aby nas ta mniejszość terroryzowała, ażeby krzykiem narzucała i nam i całemu narodowi swoje zgubne zasady — i tem bardziej stanowczo musimy wszyscy solidarnie upomnieć się bodaj o ten wpływ na sprawy publiczne, który księżom (chociażby byli w mniejszości) należy się w narodzie chrześciańskim“.

Biskupi ruscy upominają dalej duchowieństwo, ażeby tych niepowołanych prowodyrów zwalczało, ażeby w tej akcyi występowało solidarnie i wobec Polaków uprawiało politykę *miłości chrześciańskiej i miłości bliźniego*, powstrzymując lud ruski od wszelkich *gwałtów i zbrodni.*

Życzyć wypada, ażeby duchowieństwo ruskie wzięło sobie do serca te pasterskie napomnienia i by według nich działało. Posłuchajmy atoli, jak się biskupi ruscy zapatrują *na prawo duchowieństwa do brania udziału w sprawach publicznych.* Że prawo to przysługuje duchowieństwu, to zdaniem biskupów nie ulega wątpliwości. Co się tyczy specyalnie duchowieństwa ruskiego w Wschodniej Galicyi, biskupi windykują dla niego nawet prawo *kierowania* sprawami publicznemi i narodowemi, i to z tego tytułu, że stanowi ono *większość inteligencyi narodu ruskiego.*

Jakim atoli ma być ten udział księży w sprawach publicznych, w polityce? Na to znajdujemy w liście biskupów następującą odpowiedź:

„Rzecz oczywista, że nawet mowy nie może być o polityce, *którąby ksiądz mięszał ze swoją duszpasterską, a ściśle kapłańską pracą,* — bo takie mięszanie ludzkiego z Bożem, świętego z nieświętem, byłoby zawsze *nadużywaniem rzeczy świętych dla doczesnych i ludzkich celów.* Sprawy dla wiary i moralności obojętne, jakiemi są pytania czysto politycznej natury, *nie mogą wchodzić w zakres przepowiadania słowa Bożego* ani w zakres stosunków duszpasterza z wiernymi, poruczonymi jego kościelnej władzy. Kaznodzieja, któryby w naukę ewangelii, w *kazania wnosił nauki,* których się nie umieszcza w ewangielii i których Chrystus nie głosił — *zdradzałby Chrystusa, nadużywałby kazalnicy* — miejsca świętego; narażałby wiernych na *straszne niebezpieczeństwo,* że uważaliby ludzkie umysły za naukę objawioną albo znowu całą objawioną naukę za ludzki wymysł a wskutek tego zamiast uczyć ludzi, bałamuciłby ich i podawałby im pokarm niezdrowy — wprost powiemy — truciznę, właśnie przez to nierozróżnienie tego, co nie święte, od tego, co święte.

„Podobnego *świętokradztwa* dopuszczałby się *spowiednik, któryby przy udzielaniu Sakramentu Pokuty miał na oku cel inny, aniżeli Chrystus,* któryby czego innego szukał jak zbawienia duszy błąkającego się grzesznika Jednem słowem ksiądz nie śmie być politykiem *ani przy ołtarzu ,ani w konfesyonale, ani na ambonie, ani w żadnem odniesieniu się proboszcza do wiernych* — w tem wszystkiem musi być tylko *kapłanem,* tu zastępuje Chrystusa, tu jedyną jego pracą, zadaniem, jedynym celem jego kapłańskiego świętego urzędu jest zbawienie ludzkich dusz odkupionych krwią Chrystusa. *Jedynie poza kościołem wolno księdzu brać udział w życiu obywatelskiem o ile ono nie kolliduje z obowiązkami stanu, i wolno mu mieć przekonania polityczne,* o ile te przekonania w niczem nie są w sprzeczności z nauką Chrystusa. Te same zasady odnoszą się i do *nas biskupów* i do wszystkich prac i obowiązków naszego duszpasterskiego urzędu, między któremi najgłówniejszem, przypominać duchowieństwu naukę Chrystusowej ewangelii.“

Wielkiej prawdy i donioslości te słowa! Należałoby je też natychmiast przetłomaczyć na język niemiecki i rozesłać tym wszystkim księżom na *Śląsku, Warmii* i *w Niemczech,* którzy nadużywają swego kapłańskiego urzędu, kazalnicy i konfesyonału do celów *germanizacyi.* Rusini są teraz w Niemczech — że się tak wyrazimy „w modzie“, są pupilami rządu i hakaty. Może więc ten głos biskupów ruskich wśród duchowieństwa niemieckiego i zniemczonego chętniejszy znajdzie posłuch, niż podobne wywody prasy *polskiej.*

Lecz posłuchajmy dalej. Po za kościołem księża mają więc niezaprzeczone prawo brania udziału w pracach publicznych. Ale udział ten, praca publiczna kapłanów nie wyda należytego rezultatu, jeżeli nie będą oni i tam — jak czytamy w liście — „w pierwszym rzędzie kapłanami, jeżeliby co nie bądź *wyżej cenili nad spełnienie swoich obowiązków względem Boga i względem narodu. Znając Was, wołają, zrozumiemy, że gdy tego Boża i narodowa sprawa wymaga, poświęcicie i niejedne osobiste upodobania albo poglądy.*“

A zatem kapłan winien się *poświęcić także dla sprawy swojego narodu.*

Wzywając do takiej pracy duchowieństwo, biskupi ruscy nie chcą bynajmniej krępować osobistych jego poglądów.

Piszą bowiem wyraźnie:

„Tego możemy się spodziewać tem więcej, *że sami żadnej polityki Wam nie narzucamy.* Pozostawiając Wam wszystkim i każdemu z osobna zupełną wolność spełniać swoje obowiązki i mieć przekonania, poglądy i sądy, jakie kto chce, żądamy od Was tylko tego, czego sama natura rzeczy wymaga.“

Oby także inni biskupi na ziemi polskiej tak postępowali.

Bardzo cenne są także zawarte w liście biskupów ruskich wskazówki, jak każdy kapłan z osobna działać powinien w swej parafii. Co do tego czytamy:

„Ksiądz, który miałby zwyczaj włościanina nie puszczać *poza próg kuchni,* przemawiać do niego tylko *z góry, tonem rozkazującym,* prawie gniewliwym, któremu raz w raz trafia się używać wprost słów obraźliwych względem niższego brata, który w kazaniach *więcej karci, niż uczy,* a w życiu nie umie z włościaninem szczerze porozmawiać, do niego się zbliżyć, wejść w jego położenie, odczuć jego ból, wyrozumieć każdą jego potrzebę, na każdą szukać leku i rady, chyba sam z własnego codziennego doświadczenia dawno już przekonał się, że bodaj w naszych czasach takim *sposobem postępować nie można.* Niech tylko porówna swoją wieś i swój kościół ze wsią sąsiada, który dla ludu jest ludzki, życzliwy, pełny miłości, a zrozumie może różnicę, jaka leży między tymi dwoma systemami postępowania. Chyba stanie się dla niego rzeczą całkiem jasną, że jego system tylko do Kościoła zraża.

W tym duchu — wołają biskupi ruscy w końcu swego listu — „bez przerwy trudźcie się *w pracy dla ludu; ochoczo nieście w ofierze i własne dobro, własną wygodę, gdy tego dobro ludu wymaga, pracujcie dla przyszłości.*“

Tyle ów list pasterki. Uważaliśmy za wskazane podać z niego powyższe ustępy, ponieważ dotyczą one kwestyi, które i dla nas w zaborze *pruskim, stają się coraz bardziej wprost piekącemi.*

J. K. M.

Tydzień polityczny.

Tydzień ubiegły należał do spokojniejszych w polityce. Nie było w nim nowych wypadków donioślejszych, snuły się tylko i rozwijały dalej spra-

wy, które rozpoczęły się lub wytworzyły w tygodniach poprzednich.

W *Rosyi* prócz walk i srogich egzekucyi na kresach państwa, w *Inflantach*, na *Kaukazie* i we wschodniej *Syberyi* nic nie przerwało ogólnej ciszy. Doniesienia rządowe starają się wzbudzić mniemanie, że i na tych kresach ruch rewolucyjny upada, że przywrócenie tam „porządku i spokoju" jest tylko krótką kwestyą czasu. Zapewnienia te mają na celu uspokojenie opinii za granicą, mianowicie zaś uspokojenie tych zagranicznych kół *finansowych,* od których rząd carski żąda nowej pożyczki, a które oświadczyły bez-ogródki, że nie dadzą ani rubla, dopóki w Rosyi nie wrócą w całej pełni *„normalne"* stosunki. Tymczasem wieści ze źródeł prywatnych codziennie zadają kłam tym relacyom rządowym. Donoszą one, że we wschodniej Syberyi zbuntowane wojsko jest panem sytuacyi, że na Kaukazie toczą się walki coraz sroższe, tak że nie może tam być mowy o rychłej pacyfikacyi kraju, a dalej ze i Lotysze inflandcy bynajmniej jeszcze nie dają za wygraną. Bardziej jeszcze nieprzyjemnemi dla Wittego i jego reakcyjnych pomocników są wieści z kół rewolucyjnych, oświadczające wyraźnie, że obecna cisza jest tylko powierzchowną, że po za nią dokonują się przygotowania do nowych wybuchów, które będą straszniejsze i gwałtowniejsze od wszelkich dotychczasowych.

Że zaś oświadczenia te nie są pozbawione pewnej podstawy, dowodzą depesze o odkryciu nowych spisków na życie cara i przeciwko starej siedzibie carskiej w Kremlu moskiewskim, dalej o coraz nowych odkryciach znacznych zapasów broni, amunicyi i bomb. Dziś zaś także inteligencya rosyjska, odsunięta przez skrajnych rewolucyonistów chwilowo na plan drugi, podnosi znów głos swój i domaga się rychłego zwołania Dumy. Nikt też w Rosyi nie wie i wiedzieć nie może, co przyniosą już dni najbliższe. To tylko jest rzeczą pewną, że ruch rewolucyjny w Rosyi bynajmniej jeszcze nie dobiegł końca, *że bynajmniej nie skończy się na tem, co tam już się rozegrało.*

Najgorzej na obecnej chociaż pozornej przewadze rządu wychodzi *Królestwo,* gdzie czynownictwo dopuszcza się nadużyć i gwałtów niemal już nie do zniesienia. Oby też jak najrychlej spełniła się krążąca dziś wieść, że rychło już ma tam być zniesiony stan wojenny.

Na przesilenia i wstrząśnienia wewnętrzne zanosi się w najbliższym czasie także w monarchii *Austro-Węgierskiej.* Zamierzona przez prezesa rządu austryackiego, barona Gautscha tak zw. „parlamentaryzacya" gabinetu nie powiodła się. Upatrzeni na ministrów posłowie *czescy i niemieccy* oświadczyli w końcu, że ofiarowanych im stanowisk ministeryalnych nie przyjmą, aby nie wiązać swoich stronnictw wobec projektowanej *reformy* wyborczej. Wobec tego los tej reformy, która za kilka dni przyjdzie pod obrady, jest bardzo niepewny. Jeźli zaś ona upadnie w parlamencie, następstwem tego będzie nowe przesilenie w rządzie i nowe rozpętanie agitacyi socyalistycznej. *Koło polskie* uniknęło wprawdzie na razie upokorzenia zupełnego odsunięcia go od wpływów na rząd — jednakże sytuacya jego jest i dziś bardzo trudna.

Gorzej jeszcze przedstawia się przesilenie na *Węgrzech,* gdzie nowa próba pogodzenia monarchy z narodem, podjęta w ostatnich dniach przez hr. Juliusza *Andrassego* również spełzła na niczem. Do tych zaś wewnętrznych kłopotów przyłączył się zatarg z *Serbią,* który zamienił się na *otwartą* wojnę handlowo celną, a który pozbawić może monarchię rakuską reszty jej wpływów na sprawy bałkańskie. *Serbia* ani myśli na razie ukorzyć się przed wielką sąsiadką.

W *Anglii* wybory do Izby gmin parlamentu skończyły się zupełnym pogromem rządzącego dotychczas — od lat kilkunastu — stronnictwa *konserwatywnego.* Stronnictwo liberalne zdobyło tyle mandatów, że niezależnie od pomocy Irlandczyków i partyi robotniczych stanowić będzie w Izbie ogromną większość. Jest to zwycięstwo wolności handlu nad polityką, zmierzającą do zaprowadzenia ceł ochronnych. Przez to zwycięstwo liberałów zmieni się niejedno w wewnętrznych sprawach Anglii,

Na zewnątrz jej polityka natomiast w niczem się nie zmieni i gorzkie rozczarowanie spotka jeszcze tych Niemców, którzy po tem zwycięstwie liberalnem spodziewają się polepszenia stosunków *angielsko niemieckich.*

Leniwie i bardzo wolno wloką się obrady konferencyi *marokańskiej* w *Algeciras.* Dotychczas załatwiono tam jeden tylko punkt sporny, najmniej ważny, kwestyę przemytnictwa broni. Inne, ważniejsze kwestye nie stanęły jeszcze na porządku obrad wskutek czego trudno też przewidzieć, jaki ostatecznie będzie wynik tej konferencyi.

W Niemczech po owej wielkiej trwodze, jaką wywołały demonstracye socyalistyczne w dniu 21-go z. m. nastąpiła wielka *wesołość* — odezwał się prawdziwy śmiech homeryczny, wyrządzający przesadną przezorność rządu. Jedynie stronnictwa konserwatywne nie ochłonęły od razu z niepokoju, jaki je był ogarnął, skorzystały zaś z tej sposobności, ażeby w Izbie panów zalecić rządowi ostrzejszą politykę względem socyalnej demokracyi. Odpowiedź, jaką dał książę *Bülow* na tę „dobrą radę", była bardzo dwuznaczna. Oświadczył on wprawdzie, że obecne środki prawne wystarczają rządowi do zwalczania „czerwonego niebezpieczeństwa" dodał atoli, że rząd będzie je zwalczał z całą stanowczością i surowością. W końcu zaś apelował kanclerz do stronnictw *burżoazyjnych,* aby się łączyły do walki z socyalizmem.

„Straż".

Na pierwszem miejscu z wiadomości o „Straży" stawiamy dziś doniesienie głównego zarządu o

„Pierwszym wiecu „Straży" na Śląsku, który odbędzie się w niedzielę dnia 4-go lutego 1906 w Katowicach o godzinie 3-ciej po południu na sali „Reichshalle."

Na porządku obrad przemówienia delegatów głównego zarządu „Straży" z Poznania i miejscowych mówców.

Na miejscu nastąpi organizacya „Straży" na Sląsku i zapisywanie kandydatów na członków „Straży."

Wiadomość tę witamy z radością w tej nadziei, że i na Śląsku rozkrzewi się „Straż" ku pożytkowi i korzyści tamtejszej ludności polskiej.

* * *

Wiec „Straży" we Wielkiem Chrzypsku, w powiecie międzychodzkim, odbędzie się w piątek dnia 2-go lutego o godzinie wpół do 1-szej na sali p. Jana Gawrycha. Przemawiać będzie delegat głównego zarządu „Straży" p. Stanisław Zieliński.

* * *

Wiec „Straży" w Kotłowie, w powiecie ostrzeszowskim, odbędzie się w niedzielę dnia 4-go lutego na sali p. Kotlińskiego. Przemawiać będzie delegat głównego zarządu „Straży" pan Stanisław Zieliński. Bliższe szczegóły później.

* * *

Wiec w Krzywiniu odbył się w ub. niedzielę. Jako delegat „Straży" przemawiał p. *Karol Rzepecki,* poruszając smutne nasze położenie z jednej, a brak ducha narodowego w nas samych z drugiej strony. Nawoływał więc do

pracy narodowej, do popierania handlu i przemysłu, do budzenia ducha i oświaty polskiej. Przemówienie to było gorące, tak że w urządzonej następnie przerwie większość obecnych zapisała się na członków „Straży.“ Przemawiał następnie gospodarz p. *Antoni Grzesiński* z Wławia pod Krzywiniem o sprzedawczykostwie. W natchnionych prawdziwą miłością słowach nawoływał do zachowywania tej ziemi w rękach polskich. Obecnym łzy w oczach stawały wobec smutnych następstw, jakie mówca opisywał, gdy ziemi nam ubędzie. — Wiec zakończył w serdecznych słowach starosta powiatu poseł dr. *Alfred Chłapowski* z Bonikowa.

* * *

Z wiadomością tą połączyć nam należy inną, jaka z okolicy *Czempinia* przedarła się z ukrycia biur urzędowych na jaw. W okolicy Czempinia otrzymali komisarze nakaz, ażeby wypytali sołtysów, czy czasami księża na ambonie nie modlą się za pomyślność jakichś powstańców, i czy odmawiają modlitwy za cesarza i t. d. Wiadomość tę podaje „Postęp,“ myśmy potwierdzenia jej dotąd nie otrzymali. Jeżeliby istotnie tak rzecz się miała, to uważalibyśmy nakaz szpiegowania księży przez sołtysów — za niesłychaną prowokacyę ludności polskiej. Toż pomiędzy sołtysami jest wielu — protestantów-Niemców, a tym bezwarunkowo wara od progów katolickiego kościoła. Sołtysi Polacy powinni raczej urząd swój złożyć, aniżeli stać się narzędziem w ręku rządu po to, żeby tenże nazajutrz na podstawie ich doniesień miał rozpocząć prześladowanie księży.

O postępowaniu i zachowaniu się księdza katolickiego i polskiego tak w kościele jak i poza kościołem żadnemu uczciwemu katolikowi Polakowi — donosić nie wolno. Na sprawę tę zwracamy uwagę „Straży.“

Związek Kół Śpiewackich

dla

Westfalii, Nadrenii i sąsiednich prowincyi.

Od pewnego czasu toczyły się w Westfalii i Nadrenii pośród istniejącemi tamże kołami śpiewackiemi zabiegi o utworzenie osobnego Związku tychże Kół.

O ile nam wiadomo, to istniejący Związek dla W. Ks. Poznańskiego i Prus Zach. z siedzibą w Poznaniu posiadał w Westfalii i Nadrenii kilka Kół, które wprost do niego należały. Niektóre z tych Kół jak n. p. Lutnia w Dortmundzie starała się o połączenie Kół tamtejszych z tutejszym Związkiem. Dla czego starania te nie zostały uwieńczone skutkiem, tego na razie osądzić nie możemy. Nie możemy szczególnie określić winy, czy to Kół śpiewackich westfalskich i nadreńskich oraz ich kierowników, czy też z drugiej strony — Związku poznańskiego.

W każdym razie uważamy, że byłoby się lepiej stało, gdyby Koła śpiewackie westfalskie i t. d. były przystąpiły do istniejącego już Związku, bo ten ich samodzielności z pewnością byłby nie krępował, a byłoby się przez to utworzyło nowe ogniwa łączące obczyznę z krajem. Sądzimy jednak, że oba Związki starać się będą o wzajemne porozumienie. W tej nadziei umieszczamy następujący komunikat Związku westfalskiego o założeniu i ukonstytuowaniu zarządu:

Wybrany swego czasu prowizoryczny zarząd Związku Kół śpiewackich zwołał na przeszłą niedzielę, dnia 21 stycznia 1906 r. zebranie delegatów do Gelsenkirchen w celu ostatecznego przyjęcia ustaw i wyboru wydziału.

Zebraniu przewodniczył p. L. Kruszewski z Bochum.

Po dłuższych obradach przyjęto przedstawiony projekt ustaw z drobnemi zmianami.

Do Wydziału Związku zostali wybrani:

Przewodniczącym: Ludwik Kruszewski z Bochum, ul. Johanniterstr. 7. Zastępcą: Henryk Wrzesiński z Bruchu, ul. Marienstr. 17. Sekretarzem: Fr. Nowak z Wattenscheid, ul. Hochstr. 43; zast.: Piotr Kubiaczyk z Bochum, ul. Elsassstr. 15; kasyerem: Michał Strzelczyk z Bruckhausen, ul. Kaiserstr. 71; radnymi: Andrzej Kranc z Gelsenkirchen, ul. Vereinsstr. 45, Marcin Matuszak z Horsthausen p. Herne, ul. Gneisenaustr. 25; Andrzej Koczorowski z Gels.-Bismarck, ul. Bismarckstr. 262; Jakób Roszak z Gels.-Hüllen, ul. Westfalenstr. 31; dyrygentem Związkowym Ludwik Kubiaczyk z Bruchu, ul. Bochumerstr. 192.

Wszystkie Koła Westfalii, Nadrenii itd. uprasza się, aby rozejrzały się w przyjętych ustawach i w przeciągu czterech tygodni przysłały wiadomość na ręce sekretarza p. Fr. Nowaka w Wattenscheid oświadczenie, czy przyłączają się do „Związku“ naszego, czy też nie. Koła, które przystąpią do Związku równocześnie ze zgłoszeniem się, zechcą nadesłać 5 marek wstępnego na ręce kasyera p. Strzelczyka w Bruckhausen.

Wszystkie pieniądze należy posyłać na ręce skarbnika,, wszystkie listy na ręce sekretarza.

Na posiedzenie nadesłano następujący telegram:

Blumenthal, Han.:

„Delegatom Kół śpiewackich Szczęść Boże!

Towarzystwo śpiewu „Wesołość.“

Szan. druhowie po lutni! Mamy teraz Związek Kół śpiewackich do którego założenia od lat już dążyliśmy, chodzi teraz tylko o to, aby ani jedno Koło nie chodziło samopas, lecz wszystkie bez wyjątku połączyły się w Związku, iżby wspólnemi siłami popierać działalność Kół naszych. O to prosimy usilnie wszystkie Koła spodziewając się, że nadzieje nasze nie zawiodą nas.

Cześć pieśni polskiej!

Z polecenia Wydziału

Ludwik Kruszewski.

Ostatni list Ojca św.

Pamiętamy wszyscy jeszcze list (encyklikę) Ojca św. w sprawie zaburzeń w Rosyi. List ten różnie wśród Polaków był tłomaczony. Prasa szczególnie uczepiła się kilku niejasnych zwrotów i robiła Ojcu św. wymówki, że dzięki niedostatecznym informacyom robi narodowi polskiemu niesłuszne zarzuty.

Uczyniono to pod pierwszem wrażeniem. Kiedy jednakże w liście rozpatrzono się dokładniej, spostrzeżono, że papież nie samą tylko Polskę ma na myśli, nie Polskę w granicach t. zw. Królestwa Polskiego, ale dawną całą — oraz Rosyę.

Prasa uczyniła, co była powinna, i zatarła pierwsze przykre wrażenie własnemi uwagami, objaśniającemi encyklikę papieską co do istotnego jej znaczenia. Nie wystarczyło to — i słusznie — znanemu z zacności i patryotyzmu ks. arcyb. *Teodorowiczowi* ze Lwowa, który będąc na audyencyi u Ojca św. postarał się o osobiste objaśnienia tegoż do własnego listu i obecnie za zezwoleniem Ojca św. — objaśnienia te ogłasza publicznie. Objaśnienie to podajemy w dosłownem tłomaczeniu z łacińskiego:

„Z powodu pojawienia się w prasie błędnych tłómaczeń listu pasterskiego do biskupów polskich pod zaborem rosyjskim, zezwolił mi najłaskawiej Ojciec św. na publiczne ogłoszenie niniejszych uwag, wyjaśniających rzeczywiste myśli i zamiary Stolicy św., jakie mi je sam na osobnej audyencyi 27-go

grudnia 1905 r. najmiłościwiej wyłuszczyć raczył.

„Jakkolwiek w rzeczonem piśmie wprost i bezpośrednio przemawia Ojciec św. do Polaków, nie mniej jednak miało na oku stosunki, panujące na terytoryum wszystkich katolickich dyecezyi Rosyi, owszem, być nie mogło, aby równocześnie nie zwrócił uwagi całego imperyum i nie potrącił wypadków, wśród których społeczny i polityczny porządek grozi rozbiciem.

Podobnie i św. Paweł Apostoł, przemawiając w swych listach do poszczególnych gmin i kościołów chrześciańskich, dotyka niejednokrotnie różnorodnych objawów zła, wśród którego te gminy i kościoły żyją, chociaż mu same nie podlegają.

Ponieważ Polacy, rosyjskiemu berłu podlegli, niejednokrotnie czynem stwierdzili, że z rewolucyą łączyć się nie chcą, że umieją się bronić przed najgorszymi jej podszeptami, a dążą jedynie do odzyskania obywatelskich swych praw, ponieważ skutkiem tego w obecnem położeniu politycznem, gdzie wszystko dokoła nich zdaje się padać, mogą oni stać się podporą porządku i ładu — pragnął Ojciec św. niektóremi wskazówkami i przestrogami na przyszłość więcej ich jeszcze umocnić, pragnął zachęcić, aby, rosnąc w cnoty społeczne, stali się przykładem i oparciem dla drugich; żywi nadzieję, że jak już niegdyś oni jedni obronili swemi piersiami chrześciańską cywilizacyę Europy na kresach wschodnich, tak i dziś będą znów tarczą i ochroną zagrożonego porządku społecznego.

To, co w liście papieskim nie da się odnieść wprost do Polaków, zmierza drogą uboczną do tych, do których Ojciec św. wprost przemówić nie może, wskazując im źródła klęsk i jedyne środki ratunku.

Kto sobie raz zdał sprawę z tej ogólnej intencyi Papieża, która góruje nad całym jego listem, ten bez trudności zrozumie, jak należy, wszystkie szczegółowe ustępy papieskiego pisma i nie będzie potrzebował wyjaśnień, że wzmianka np. o rzeziach żydów, nie do Polski odniesioną być winna.

Nie ulega też kwestyi, że do owej szerszej i ogólniejszej intencyi odnieść należy ustęp, w którym katolikom wogóle przypomina Papież ogólno-katolickie zasady o podstawach porządku społecznego i uległość dla władzy, o ile ta władza w interesie społecznego porządku działa zgodnie z prawem Bozkiem i ludzkiem. Zasady te są w stanie zagrożonemu społeczeństwu doniosłe oddać usługi, tam zwłaszcza, gdzie masy ludowe najgorszą podniecane agitacyą, grożą powszechną anarchią i gdzie już chodzi o ratunek najbardziej elementarnych podstaw społecznych.

Żeby dotknąć kilku innych jeszcze ustępów listu popieskiego, tu i owdzie błędnie zrozumianych, a dotychczasowemi uwagami nie objętych, zauważyć należy: pod nazwą „radykalizmu narodowego“ nie rozumiał Ojciec św. partyi, które przeciw Kościołowi i jego nauce wrogo nie występują, lecz te jedynie, które kupcząc patryotyzmem, walkę swą przeciw prawu Bożemu osłaniają narodowemi hasłami.

Mówiąc o strejkach, nie chciał wcale rozstrzygać kwestyi teoretycznej, ale miał jedynie na myśli kwestyę faktu. Chodziło mu mianowicie o strejki, które w tej formie i mnogości są dla wszystkich bez wyjątku szkodliwe i wyraził życzenie, aby przez dobrą organizacyę, dążącą do polepszenia bytu klas roboczych, strejki tego rodzaju zupełnie, ile można, usunięte zostały.

Co do kwestyi szkolnej, było zamiarem Papieża przestrzedz młodzież, a to już ze względu na same szkody, tak prywatne, jak i publiczne, które z tego rodzaju walk wynikają. Z drugiej jednak strony tym, do których należy, przypomniał w poważnych i silnych słowach obowiązek walczenia wszelkimi legalnymi środkami o dobrą szkołę, na katolickich zasadach i na tradycyi narodowej opartą.

Objaśnienie to obeszło całą prasę polską, ma ono bowiem dla nas Polaków znaczenie nadzwyczajne, chociażby w tem, że ponownie utwierdza ścisły węzeł, jaki istnieje od wieków pomiędzy stolicą apostolską — a Polską.

Wiadomości.

* **Procesy prasy.** Redaktor „Komara“ p. Zygmunt *Słupski* stawał przed poznańską Izbą karną jako oskarżony o odgrażanie się. Powtórzył on w nr. 54 „Komara“ odezwę kilku panów, którzy publicznie potępiali sprzedawczyków, i odezwę tę opatrzył krytycznemi uwagami, któremi jeden z podpisanych czuł się obrażony. Prokurator wniósł o 300 m. kary, sąd jednak wydał wyrok uwalniający.

— Redaktor „Górnoślązaka“ pan Antoni *Wolski* skazany został przez Izbę karną w Bytomiu na 2 miesiące więzienia za to, że nawoływał rodziców do uczenia dzieci nie tylko wiary św., ale wychowywania ich dla polskości. Dopatrzono się w odnośnym artykule wzywania do oporu przeciwko rozporządzeniu regencyi opolskiej z r. 1872, nakazującemu nauczycielom uczyć dzieci tylko po niemiecku. Wzywanie rodziców do uczenia dzieci po polsku może z czasem przekonać dzieci, że szkoła żąda od nich czegoś złego. — Prokurator wniósł o 500 mk. kary. — Sąd skazał p. W. na więzienie. — Taka to dola obrońców polskiego ludu.

* **Hr. Kospoth**, kurator akademii rycerskiej w Lignicy, który jako pełnomocnik spadkobierców po zmarłym landracie Buddenbrocku sprzedał dobra Ossowskie panu Marcinowi Biedermannowi, ma ustąpić ze swego dotychczasowego stanowiska, podobno z tego powodu, że dopuścił do sprzedaży rzeczonych dóbr w ręce polskie. Pisma niemieckie donoszą w tej sprawie, że ministeryum poleciło hrabiemu Kospoth, by urząd swój złożył dobrowolnie, inaczej wytoczony mu zostanie proces dyscyplinarny. W sprawie tej miał się hr. udać do cesarza, jednakże cesarz audyencyi mu nie udzielił. Skutkiem tego hr. Kospoth nie ustąpił i odpowiedział ministrowi, że czeka na wytoczenie mu — procesu dyscyplinarnego.

* **Handel ziemią:** Pan *Prądzyński* ze Skarpy w pow. złotowskim w Pr. Zach. kupił od Niemca p. Thiede z Zalesia 400 mórg najlepszej ziemi. Komisya kolonizacyjjna ofiarowała 2000 mk. więcej, jednakże kupno już doszło do skutku. Szczęść Boże.

— *Baby uratowane!* „Gaz. Ostr.“ pisze: Baby kupiła Spółka Parcelacyjna z Ostrowa w sobotę dnia 27 b. m. Z uznaniem podnieść musimy, że pan Brustmann sprzedał Baby Spółce parcelacyjnej o blisko 20,000 marek niżej ceny, jaką mu ofiarował Landbank.

— *Pan Zieliński z Nakła* kupił od Niemca Juhnke'go Buszkowo za 140 tysięcy mk.

— W okolicy *Gniewkowa* zbliżyła się komisya kolonizacyjna przez podsuniętych agentów do gospodarzy, ofiarując im wręcz bajeczne ceny za ich gospodarstwa. Dzielni Wiarusy poznali się na ptaszkach, skusić się nie dali, odrzucając robione im oferty z oburzeniem. — Dobry przykład dla innych.

—*W. Dolskiem* dwóch posiedzicieli Polaków zamierza podobno sprzedać majątki swoje komisyi kolonizacyjnej i to: p. *A. Michalski — Podrzektę*, a p. *Roch Piasecki — Wielki Trąbinek.* Pan Michalski pertraktuje z jakimś nieznanym Polakiem z Berlina; nie ma on żadnej potrzeby sprzedawać swej ziemi. Pan M. zawiedzie pokładane w nim nadzieje przez ojczyma p. Latanowicza, który majątek oddał mu dla tego, żeby jako młody, pełen siły gospodarz nie tylko ziemię utrzymał, ale jeszcze nowej dokupił.

— *W Rogozińskiem* zamierza podobno p. *Stylo* sprzedać własność swoją Mokronosy komisyi kolonizacyjnej. Daje ona za morgę 550 mk. Wysoka ta oferta tłomaczy się tem, ponieważ na Mokronosach odkryto bogate pokłady węgla brunatnego i glinki stósownej do fabrykacyi porcelany.

Żaden więc tydzień minąć nie może bez głuchych a strasźliwych wieści o niecnych konszachtach z komisyą kolonizacyjną. Jakaż to jednak demoralizacya!

* **O polskie imię.** *Z Wiesdorf* w Nadrenii odbieramy następującą korespondencyę: Szanowna Redakcya będzie tak łaskawa dopomódz mi w mojej sprawie. Rzecz ma się tak. Dnia 6 stycznia urodził mi się synek. W cztery dni potem poszedłem na urząd stanu cywilnego zgłosić urodziny i także imię *Józef* dla mego synka. Lecz urzędnik — a jest nim sam komisarz, mi oświadczył, że imienia polskiego nie może zapisać, musi być zapisane po niemiecku „Joseph". Na to odpowiadam komisarzowi, że zgodzę się na to pod warunkiem, że zapisane imię zostanie po niemiecku i po polsku — a więc Joseph i Józef. Komisarz mi jednakże oświadcza, że na to zgodzić się nie może, gdyż imiona w polskiem brzmieniu tam tylko mogą być zapisywane, gdzie jest wielka liczba Polaków, ale nie tam gdzie jest Polaków — mało. Tam zapisuje się imiona po niemiecku tylko. Odpowiedziałem na to komisarzowi, że według mego mniemania to prawo wszędzie jest jednakie, takie same tam gdzie dużo jest Polaków i gdzie ich jest mniej. Komisarz temu zaprzeczył i kazał mi urząd cywilny zaskarżyć, a jeżeli sąd zawyrokuje, że ma być zapisane Józef, to on zapisze. Zrobiłem więc skargę do sądu, a teraz nie wiem co się stanie. Proszę więc Szan. Redakcyę o radę i pomoc.

Kazimierz Ośmiałowski.
Wierny abonent „Pracy".

Od Redakcyi: Prawo zapisywania imion jest następujące: Imiona, nie dające się przetłómaczyć na język niemiecki mają być zapisywane po polsku; imiona, mające odpowiednie przetłómaczenie w języku niemieckim zapisuje się po niemiecku a obok w nawiasie ( ) po polsku. Zrobił więc pan słusznie, że się Pan o polskie imię upomniał. Czy jednakże sąd skargę Pańską przyjmie, tego nie możemy powiedzieć. Może ją odrzuci. Nie potrzebuje się Pan jednak niczego obawiać, gdyż w takim razie rzecz weźmie następujący obrót. Niech Pan idzie jeszcze raz na urząd cywilny, niech Pan poda do protokółu, że Pan nie podpisuje zgłoszenia imienia syna swego, ponieważ ma być wpisane imię polskie. Policya skaże pana na karę — tej kary niech pan *nie płaci*, lecz niech się pan odwoła do sądu — a po obronę niech się Pan uda do „Straży", której my list Pański oddajemy. — Pozdrawiamy Pana.

* **Z teatru.** Ostatniej soboty mieliśmy w teatrze polskim prawdziwą niespodziankę. Dawano komedyę Hermana Bahr'a „Majster" czyli „Nadczłowiek." Sztuka ta obfituje w bogactwo nowych, modernistycznych myśli, a szczególnie pociąga zestawieniem z poglądami filozoficznemi starej azyatyckiej kultury japońskiej. — „Majster" zmaga się z uczuciem, walczy ze swojemi namiętnościami, nowe wprowadza poglądy na stosunek męża do żony, chce rzeczom powszednim odebrać znaczenie niezwykłości i traktować je „po ludzku." Kiedy jednak opuszcza go żona, którą on kocha, z uwodzicielem, przyznaje, że jednak rozum jego sprawę przegrał, a co najgorsza cały jego system filozoficzny bierze w łeb. „Majster" przegrywa sprawę dla tego, ponieważ wyklucza on z życia namiętność. Chce nawet do pożycia małżeńskiego wprowadzić czyste jakieś uczucie niezmysłowej miłości. Nie zdaje sobie jednak sprawy z tego, że pożycie takie z czasem stać się musi dla żony jego zimne, oschłe i nieznośne. Tak się też dzieje. Inaczej to życie wystawia sobie Japończyk. Dla niego jest ono polem do gonitwy, a zwycięży na niem ten, kto potęgą swych namiętności innych prześcignie.

Żałujemy, że szczupłe łamy „Pracy" nie pozwalają nam szczegółowo rozebrać różnych myśli „Majstra," powtarzamy więc to tylko, że sztuka ta zainteresowała nas i wogóle całą publiczność niezwykle — i szczerze pragniemy, by zbyt prędko z repertuaru nie spadła.

Gra artystów nietylko nie pozostawia nic do życzenia, ale zasługuje na istotną pochwałę. Na pierwszy plan wybił się w roli Japończyka p. Jaracz. Charakteryzacya, ruchy, gra były bez zarzutu. Uznała to też publiczność i szczerze darzyła p. J. oklaskami. Główna rola spoczywała w ręku p. Staniewskiego. Rola to, przyznajemy trudna a jednak nie dająca pola do pozy i popisu, bo „Majster" wszystko bierze chłodno — na rozum.

Pomimo tego pan St. wywiązał się ze swego zadania bardzo dobrze i na szczere zasługuje uznanie. Trzecią większą rolę miała p. Barwińska jako Ida Nessel, wielbicielka „majstra." I jej rola z tych samych powodów, co rola p. Staniewskiego przedstawiała poważne trudności. Pani B. pokonała je jednakże w sposób godzien pochwały i wyszczególnienia. W mniejszych rolach pochwalić należy pp. Wesołowskiego, Dobrzańskiego, Szatkowskiego, pannę Podgórską, Prohaskę, panią Czerniakową, p. Czerniaka i Dybizbańskiego. Wogóle gra artystów wszystkich robiła wrażenie starannego przygotowania, za co nietylko artystom, lecz także i reżyseryi należy się uznanie.

* **Z kancelaryi teatralnej:** W piątek (uroczystość (MB.), odpowiednio do powagi dnia: *„Przeor Paulinów czyli obrona Częstochowy"*, z cudownem objawieniem NMP. w obrazie 4. *Ceny do połowy zniżone.*

W sobotę nowość: sztuka napisana przez Mollier'a pod tyt. *„Uczone kobiety"* (*Sawantki*), z doskonałem nowem tłomaczeniem Lucyana Rydla. Poeta tej miary, co Rydel, nie tłomaczyłby byle czego, więc ztąd już jest pewność, że „Sawantki", napisane przez wielkiego Molier'a, są utworem pierwszorzędnym i godnym zobaczenia.

W niedzielę po południu o 3 zawsze pociągająca, niesłychanie wesoła: *„Podróż po Warszawie", po cenach do połowy zniżonych.*

Tego dnia wieczorem komedya takiej firmy humorystów, jak Meilhac i Halevy: *„Kamionka"*, (*Małżeństwo jakich wiele*). Toż dopiero będzie zabawny dzień w najbliższą niedzielę, bo i po południu i wieczorem naznaczono sztuki wesołe, posiadające urobioną już dobrą markę.

* **Zebrania.** Towarzystwo dziennikarzy i literatów polskich na Rzeszę niemiecką. W sobotę 3 lutego odbędzie się zwykłe miesięczne zebranie o godz. 9-tej wieczorem w czerwonym pokoju Domu Przemysłowego. — Członków i przyjaciół Towarzystwa uprasza o liczny udział *Zarząd.*

* **Zapytanie.** W którem mieście W. Ks. Poznańskiego albo Prus Zach. miałby weterynarz-Polak, który co dopiero ukończył swe studya, — powodzenie? — Odpowiedzi prosimy nadesłać pod adresem: Redakcya „Pracy" — Poznań — Posen, Rycerska — Ritterstr. Nr. 38.

* **Gostyń,** 30-go stycznia 1906 r. *Teatr amatorski* na cel dobroczynny odbędzie się w niedzielę dnia 4-go lutego w Strzelnicy. Odegraną będzie komedya w 4 aktach „Wicek i Wacek" (Z. Przybylskiego). Po teatrze zabawa. O liczny udział uprasza *Komitet.*

* **Mogilno:** *W Słaboszewie* gmina już dwa razy wybrała sołtysem „Pola-

ka“, gospodarza Józefa Gaurę. Landrat mogilnicki bez podania powodów wyboru jego nie zatwierdził, lecz narzucił gminie wbrew jej woli gospodarza Niemca na sołtysa. Pan Niemiec, Emil Röhr, sam nawet na Gaurę głosował. Zażalenie do regencyi pozostało bez skutku, gmina przeprowadzi sprawę tę przez proces administracyjny.

* **Oborniki.** Pod nagłówkiem *„żandarm na cmentarzu“* ogłaszają pp. ks. Heintze i St. Stroiński z Obornik co następuje:

„Działo się w Obornikach na probostwie dnia 22 stycznia 1906 r.

Na wezwanie stawił się p. Stanisław Stroiński, kupiec tutejszy i członek dozoru kościelnego, i na zapytanie, co wie o zatargu zaszłym bezpośrednio przed rozpoczęciem głównego nabożeństwa z tutejszym żandarmem Rossem na cmentarzu kościelnym u samych drzwi kościelnych, oświadczył co następuje:

Gdym w dniu wczorajszym około 10 godziny udał się na nabożeństwo do tutejszego kościoła parafialnego, spotkałem na cmentarzu orszak ślubny. Za nim przybył na cmentarz kościelny jeden z tutejszych żandarmów, Ross, i u samych drzwi pobocznych wejścia kościelnego drużbę tegoż wesela, przybranego w białą szarfę z czerwono-niebieską obwódką, szarpał i usiłował szarfę tę mu zedrzeć. Gdy mu się tenże drużba nie dał, chciał go żandarm aresztować i na biuro policyjne zaprowadzić. Nie tylko orszak weselny, ale licznie zebrany lud do żywego oburzony na to najście naszego cmentarza przez organ policyjny i ten wybryk policyjny u samych drzwi kościelnych, począł głośno szemrać, a nawet odgrażać się. Widząc, na co się zanosi i do czego dojść by mogło, kazałem drużbie udać się do kościoła, a żandarma wyprosiłem z cmentarza. Mimo to nie opuścił cmentarza natychmiast, ale szedł jeszcze za drużbą, który do kościoła udał się wielką bramą, z powodu, że brama była zamkniętą, około 25 kroków, a potem dopiero się cofnął i zeszedł z cmentarza.

Po skończonem nabożeństwie przed bramą cmentarną czatowało dwóch żandarmów.“

— Czy po przeczytaniu tej wiadomości minister Bethmann-Hollweg powtórzy swoje zapewnienie, że urzędnicy pruscy postępują sobie — *prawnie?!* — Ośmielamy się wątpić o tem.

* **Kościan.** We wtorak dnia 16-go b. m. obchodził zacny nasz obywatel pan Bernard Bayer z małżonką swą Karoliną z Gimzickich niesłychanie rzadką uroczystość jubileuszową złotego wesela. O godz. 10-tej rano, przy licznem udziale ludzi w kościele, udzielił zacnym jubilatom, brat jubilatki, ksiądz radca Gimzicki z Wielichowa, który im przed pięćdziesięciu laty pierwszy ślub dawał, błogosławieństwa, i wręczył im krzyże, jako podpory starości. Mszą św. odprawił ksiądz dziekan radca Mojżykiewicz z Przementu, kuzyn jubilatki, na podziękowanie Panu Bogu za szczęśliwe przeżycie małżeńskie przez lat pięćdziesiąt, na mszy św. jubilaci do komunii św. przystąpili.

Po mszy św. przemówił od ołtarza do jubilatów misyonarz ksiądz dr. Lewandowski z Krakowa, w zastępstwie syna jubilatów, który poświęcił się przed dwoma laty jako misyonarz do południowej Ameryki. W treściwych i rzewnych słowach przemówił do jubilatów i oznajmił im w końcu, iż cesarz przysłał im w darze na dzień dla nich tak uroczysty złoty medal, który jubilatom tutejszy ksiądz proboszcz dr. Surzyński przy ołtarzu wręczył. Po odśpiewaniu „Te Deum“ w asystencyi księdza dziekana Szafranka z Wyskoci jako i księdza proboszcza Simińskiego z Białcza, siostrzeńca jubilata, opuścili jubilaci jako i familia kościół, gdzie na ich cześć tutejsza polska giełda strzelecka od bramy kościoła aż do powózki broń prezentowała.

Serdecznie i gościnnie przyjmowali w domu jubilaci grono familijne jako i liczne duchowieństwo, gdzie jubilatom osobiście landrat, burmistrz, deputacya banku ludowego, w którem jubilat lat przeszło trzydzieści jest kontrolerem, rada miejska jako i członkowie magistratu swe życzenia składali. Giełda strzelecka, w której jubilat jest przeszło pięćdziesiąt lat członkiem, udała się w pochodzie z sztandarem do pomieszkania jubilata i wręczyła mu, jako najstarszemu i zasłużonemu członkowi dyplom i mianowała go członkiem honorowym. Liczne telegramy jako i powinszowania świadczą o szacunku ku jubilatom.

Jeden z uczestników.

* **Kościan.** *Jak za dawnych dobrych czasów* był *Kościan* w sobotę wieczorem 27-go b. m. z powodu urodzin cesarza rzęsiście oświetlony. Tylko kilku kupców Polaków zrozumiało obecną chwilę i stosując się do woli cesarza — nie iluminowało! U przeważnej części polskiego kupiectwa tutejszego światło lat poprzednich nie rozproszyło ciemności umysłowych i jak dawniej — świeczki palili. Widocznie więc odblask świeczek odpalonych w latach poprzednich był za słabym, aby zdołał przeniknąć do tego zmysłu, który w potocznym języku zowiemy — rozumem?

Aby jakoś usprawiedliwić tę niezrozumiałą nam i wprost niezwykłą „lojalność,“ musimy przyjąć, że słowa cesarskie o „polskiej bezczelności,“ wypowiedziane swego czasu w Malborku, nie mogą się odnosić do większości wiernopoddańczego obywatelstwa kościańskiego. Jakże wytłomaczyć sobie mamy fakt, że nawet „lepsi“ członkowie „Sokoła,“ tego tak „niebezpiecznego“ dla podstaw państwa pruskiego towarzystwa, uważali za stósowne okazać swą „wiernopoddańczość“ przez oświetlenie swych okien, skoro nawet Niemcy i żydzi niektórzy o iluminacyę się nie troszczyli. Czy zapomnieliście już panowie o wiecu sokolskim, odbytym w Kościanie zaledwie przed miesiącem, na którym mówiono pomiędzy innemi, że każdy Polak, a Sokół przedewszystkiem stawać powinien zawsze i wszędzie z otwartą przyłbicą i się nigdy nie zapierać swej narodowości?

Trzebaby sprowadzić co tchu jakiego sławnego okulistę, któryby pozdejmował niektórym Polakom łuski z oczu, aby nareszcie przejrzeli i zdrowem okiem umieli patrzeć na to, co się koło nich dzieje.

Trzebaby jednak w takim razie odstąpić od zasady narodowej i sprowadzić okulistę żyda, bo Polak bodaj znalazłby u krótko widzących patryotów polskich — wiarę i szacunek.

„Gazeta Polska.“

* **Krobia**, dnia 29-go stycznia 1906. Tutejsze męzkie i żeńskie Towarzystwo św. Wincentego a Paulo wydało w roku 1905 na zwyczajne i nadzwyczajne wsparcia dla ubogich 338 marek.

Jak po inne lata, tak i w ubiegłym roku wspomniane Towarzystwo urządziło w pierwsze święto Bożego Narodzenia gwiazdkę dla ubogich. W pięknie przybranej sali p. Pomorskiego, gdzie jaśniała choinka ze żłóbkiem Zbawiciela przemówił na wstępie w serdecznych słowach miejscowy ksiądz komendarz Duszyński, zaznaczając, że ubóstwo nie poniża ludzi — zwłaszcza takich, którzy chętnie, uczciwie i z Bogiem pracują na kęs chleba i że Opatrzność Boża, która czuwa nad wszelkiem stworzeniem, zsyła często serca miłosierne, które przychodzą im z pomocą. Po odśpiewaniu kolędy przystąpiono do rozdawania gwiazdki i obdzielono takową osób starszych wraz z ubogiemi w szpitalu, 108 — dzieci 78. Dzieci uczęszczające do ochronki w liczbie 58 oprócz pierników i orzechów odebrały małe stósowne podarki. Na powyższą gwiazdkę wydano 435 M. 20 fen. zebranych przeważnie od osób szlachetnych.

Na pierwszem miejscu pozwalamy sobie złożyć pokorne podziękowanie Najprzewielebniejszemu Ks. Arcypasterzowi — który rok rocznie na cel powyższy przeznacza hojny datek — także szlachetnym Dobroczyńcom z stron dalszych — jak również Szanownym Obywatelom miejscowym, którzy nigdy nie usuwają ręki, aby przyjść w pomoc bliźnim — oraz i p. Pomorskiemu, który od lat już kilku bezinteresownie ofiaruje swą salę. Paniom wszystkim razem — i każdemu z osobna składamy w imieniu ubogich najserdeczniejsze podziękowanie, nadmieniając, że niema poświęcenia bez nagrody, bo wszakże Chrystus Pan powiedział: „Coście uczynili jednemu z tych maluczkich, mnieście uczynili“.

X. Duszyński, dyrektor. *Eleonora Bzylowa,* przewodnicząca.

* **Leszno.** Dnia 22-go stycznia br. odbyły się tutaj wybory jednego posła i 2 zastępców do sejmu prowincyonalnego. Wybierali wyborcy z małej własności ziemskiej na powiaty wschowski, kościański, gostyński, leszczyński, śmigielski i rawicki.

Wyborców uprawnionych do głosowania jest na każdy powiat 3. razem na 6 powiatów 18. Stawiło się 15 i to 9 Polaków i 6 Niemców. Trzech Polaków z przyczyn nieznanych się nie stawiło i to z powiatu kościańskiego p. Niklas, posiedziciel folwarku w Donatowie i Wilczyński, gospodarz z Bejżyn; z powiatu gostyńskiego nie stawił się gospodarz Jędryczka z Posadowa.

Niemcy stawili się wszyscy. Przeszedł Polak p. Franciszek Żyto z Sworowa (pow. rawicki) jako też obaj zastępcy Jan *Sobiech* z Czarkowa i Jan *Kuleczka* z Karczewa wybrani 9 przeciw 6 głosom oddanym na Niemca.

* **Ujść.** Aptekarz *Wiktor Litwiński* ogłasza we wszystkich pismach, że aresztowano go w listopadzie ub. roku pod zarzutem obrazy majestatu dzięki denuncyacyi nauczyciela — *Riemera.* Ponieważ żona p. L. bawiła w tym czasie u teściów, przeto doniósł burmistrz prokuratoryi, że aresztowanie jest konieczne, ponieważ p. Litw. zamierza uciekać i układa się o sprzedaż apteki. Podczas indagacyi zwrócono p. Riemerowi uwagę na to, że doniesienie swoje będzie musiał podprzysiądz. Wówczas p. Riemer — się *cofnął.* — Pan Litwiński dziękuje pismom polskim, że wzięły go w obronę wobec naganek blatów hakatystycznych. Pisma polskie, a między innemi i „Praca“ zaprzeczały wiarogodności doniesień pism niemieckich. Okazuje się, że pisma polskie miały racyą, prokuratorya bowiem wdrożone śledztwo przeciwko p. Litwińskiemu a także skargę — cofnęła.

* **Kostrzyn.** Tow. Przemysłowe w Kostrzynie urządza w niedzielę dnia 4-go lutego b. r. na sali p. Kietzmanna — teatr amatorski. Odegrana będzie: wdowa z musu — Przybylskiego i — Pacyent No. 1 — Stakermanna. Podczas antraktów grać będzie kapela Koła muzycznego z Poznania. Po przedstawieniu zabawa i tańce. Początek o godzinie $^1/_2$8. — Życzliwych Towarzystwu zaprasza Zarząd. Przedstawienie Tow. Przem. w Kostrzynie szczerze polecamy względom czytelników naszych z Kostrzyna i okolicy.

* **Nakło,** dnia 28-go stycznia 1906. Gdy przed sześciu tygodniami burmistrz nakielski zakazał odbycia wiecą „Straży“ rzekomo z obawy przed możliwem zakłóceniem porządku publicznego, mógłby ktoś nieobeznany z tutejszemi stosunkami był sądzić, iż Polacy w Nakle szczególniej głośno okazują swój patryotyzm. Tymczasem wystarczyło przejść się wczoraj wieczorem po główniejszych ulicach naszego miasteczka, by poznać, jak nieuzasadnioną była swego czasu obawa p. burmistrza. Panowie Polacy: lekarze, kupcy, przemysłowcy i prywatni ludzie oświetlili porówno z Niemcami rzęsiście okna swych mieszkań i postroili w niemieckie narodowe barwy i obrazy okna wystawowe swych sklepów.

Poczucie godności narodowej jaśniało tylko z ciemnych okien pp. J. Rzendkowskiego, skład tow. kol. i restauracya, F. Biniakowskiego, drogerya, L. Sury, handel żelaza, E. Hoffmanna, magazyn mebli, W. Detlofa, mistrza siodlarskiego i fryzyera pana Kuczkowskiego.

Przed rokiem napiętnowała „Praca“ w dłuższym artykule postępowanie takich „ugodowych mieszczan“, można się było spodziewać poprawy w tym roku, i nam nadzieję, że w innych miejscowościach Księstwa nastąpiła, ale tu w Nakle, to doprawdy nie wiadomo co myśleć, czy, że: „narodu duch zatruty“, czy też: „Panie, odpuść im, bo nie wiedzą, co czynią!“

Czy ci panowie kupcy i rzemieślnicy naprawdę sądzą, że owemi świeczkami zwerbują sobie choć jednego odbiorcę Niemca? Coby np. pp. Sucharski, skład tow. łokciowych i Grochowski, skład tow. kolonialnych i restauracya — zrobili, gdyby tak Polacy przestali od nich kupować? Pewnie żaden z nich ani jednego niemieckiego odbiorcy nie ma — a p. Groch, żyje przecież tylko z polskich towarzystw, które u niego odbywają swe zebrania i zabawy.

Jedno jeszcze pytanie mimowoli na myśl przychodzi: Czy w Nakle niema Polek, któreby stanęły w obronie godności narodowej deptanej przez ich mężów, synów i braci? *Pałuczanin.*

— W oficyalnym obiedzie t. zw. „Festessen“ w urodziny cesarskie brali udział następujący Polacy z Nakła: Ks. prob. Mierzyński, ks. wik. Krzewiński, p. bud. Stabrowski, p. kapit. Gremczyński i p. kapit. Zeyda! — Prawie wszyscy tutejsi Polacy rzęsiście iluminowali! *Narodowiec.*

* **Trląg,** *dnia 29 stycznia 1906.*

Szanowna Redakcyo! Pomimo tylu krzywd i niesprawiedliwości, które znosić musimy od naszych najserdeczniejszych, zawsze się jeszcze znajdą osoby, które bardzo lgną do niemczyzny, i to nawet ze stanu średniego. Miałem sposobność w zeszłą sobotę się świeżo o tem przekonać, bo z naszej wsi aż czterech, i to trzech właścicieli rolnych i czwarty kowal, poszli do tutejszej szkoły ewangelickiej i śpiewali razem z dziećmi, deuczland, deuczland über alles, i Heil dir im siegerkranz“. Nie wiem co ich do tego spowodowało, że czują taką miłość do tej niemczyzny, czy może to, że naszym dzieciom nie pozwalają się w szkole po polsku modlić, lub też to, że Polakowi nie pozwalają mieć dachu nad głową, gdy sobie kupi kawał ziemi? Psu wolno mieć budę, tylko Polakowi nie wolno mieć mieszkania, o zgrozo! I tak więc jeszcze się trafiają Polacy, którzy tak czule wyśpiewują prusko-patryotyczne pieśni. Bardzo mnie to martwi, że w naszej wsi znalazły się takie osoby. Proszę więc Szanowną Redakcyą podać to w swem piśmie do wiadomości, a może ci panowie w przyszłości oszczędzą mi zmartwienia, i zaniechają tych czułości do niemczyzny.

Z wysokim szacunkiem
„stały czytelnik „Pracy“.

* **Toruń,** dnia 28 stycznia 1906. — Szanowną Redakcyą „Pracy“ usilnie prosimy o umieszczenie, co następuje:

„Urządzony w dniu cesarskich urodzin na sali hotelu „Muzeum“ w Toruniu pod firmą Towarzystwa kupców i Młodzieży Kupieckiej w Toruniu wieczór taneczny odbył się bez wiedzy i woli zarządu“.

Racz przyjąć Szanowny Panie Redaktorze wyrazy prawdziwego szacunku i poważania.

Za Towarzystwo
Władysław Szczepankiewicz,
sekretarz.
Maksymilian Hartwich,
bibliotekarz.
Towarzystwa Kupców i Młodzieży Kupieckiej w Toruniu.

Od Redakcyi: wiadomość powyższa podpada nam nie tyle dla treści, ile ze względu na formę. Podpisana bowiem jest przez *sekretarza i bibliotekarza.* Czemu nie podpisał jej *prezes?* W przypisku otrzymujemy wiadomość, że za urządzenie tej zabawy odpowiedzialnymi są pp. B. Hozakowski i K. Zabłocki. Czyżby może jeden z nich był — prezesem Tow. Kupców i Młodz. kup. w Toruniu? Prosimy o wyjaśnienie. Okoliczność ta wpłynie bardzo na sąd, jaki o Towarzystwie i o odnośnych panach wydać należy.

* **Z obczyzny.** Nadzwyczaj ciekawy wypadek, ilustrujący stosunki kościelne w Berlinie opisuje w „Dzien. Berl.“ p. St. *Pacholczyk.* Podał on dziecko do chrztu, prosząc, by zostało ochrzcone po polsku. By się upewnić udał się osobiście w tej sprawie do księdza, który po polsku umie i ksiądz ten przyrzekł mu dziecko ochrzcić po polsku. Na drugi dzień jednak chrzcił inny ksiądz, który po polsku nie umie. Nie godząc się na chrzest w języku niemieckim rodzice odjechali z dzieckiem — bez chrztu do domu, bo zapytany ks. Steuer, który przyrzekł chrzcić dziecko po polsku, dla czego tego nie czyni, odpowiedział, że ks. proboszcz tego dnia zakazał mu chrzcić. Ma się rozumieć, że p. Pacholczyk sprawą tą mocno jest rozgoryczony. Tem tłomaczy się cierpka jego uwaga pod adresem księży, żeby się nie dziwili, że lud polski tak traktowany odstręczać się będzie od kościoła. — Snać księżom niemiecko-katolickim o to nie chodzi, sądzą oni może, że lepiej będzie, jeżeli Polak stanie się Niemcem choćby nawet ewangielikiem, aniżeli żeby miał pozostać Polakiem i katolikiem. Mamy nadzieję, że lud polski nie da się złem obchodzeniem księży niemieckich odwieść od kościoła i religii, bo co innego kościół, a co innego księża. Mogą słudzy kościoła źle wykonywać swoje obowiązki, lecz przez to kościół i wiara św. jeszcze się nie zmieniają. Wierni kościołowi, wierze i narodowości — takimi być powinni Polacy pomimo wszelkich utrapień.

* **Polacy na obczyznie:** *W Dortmundzie* miał się odbyć wiec polski w sprawie opieki duchownej. Na wiec zaproszono również tamtejszego księdza proboszcza. Nie przybył jednak, za to stawiło się na sali około 20 Niemców katolików, między nimi 2 członków dozoru kościelnego. Wiec zagaił pan Nawrotny. Zaledwie wybrano biuro wiecowe i rozpoczęto obrady, gdy Niemcy zaczęli wołać: „deutsch reden!“ Polacy zaprotestowali przeciw takiemu wtrącaniu się w ich prawa i sprawy. Powstało wielkie wzburzenie i niepokój. Przewodniczący zawiesił posiedzenie na 10 minut, by przez ten czas spokój powrócił. Policyant atoli zebranie rozwiązał.

Niemcy rozbili zatem wiec polski.

* **Londyn,** dnia 25-go stycznia 1906. W niedzielę dnia 21-go stycznia obchodzili tutejsi Polacy rocznicę powstania styczniowego z roku 1863. Pan dr. Sobkowski zebranie zagaił pięknym odczytem, w którym szeroko objaśniał zebranych, jaki cel miało powstanie. Należy się uznanie Szanownemu Rodakowi, który pomimo choroby wygłosił ten odczyt, ażeby służyć polskiej sprawie. Składamy mu za to serdeczne staropolskie „Bóg zapłać“. Następnie zaśpiewało grono młodzieży „Jeszcze Polska nie zginęła“, a prawdziwą niespodziankę sprawiła nam pani Wierzbińska i pp. Grzybowscy pięknym koncertem artystycznie wykonanym na fortepianie i skrzypcach. To też oklaskom nie było końca. Z piękną deklamacyą wystąpił p. Elbanowski na temat „Śmierć zdrajcy Ojczyzny“, która na słuchaczach wywarła rzewne wrażenie i pomyślałem sobie, gdyby każdego z teraźniejszych zdrajców taka śmierć spotkała, to byśmy nie mieli tyle sprzerawczyków naszej św. ziemi. Powinni oni sobie wziąć do serca, że kiedyś i od nich zażąda ojczyzna sprawozdania za ich postępki. Pan dr. Sobkowski zachęcał gorąco Polaków do miłowania się wzajemnie i zachęcił zgromadzonych do niesienia pomocy naszym nieszczęśliwym braciom pod zaborem rosyjskim, urządził składkę, a każdy z chęcią ofiarował swój wdowi grosz. Na prośbę pana dr. Sobkowskiego i na ogólne żądanie wygłosił pan Elbanowski drugą deklamacyą „Rozbiór Polski“. Wdzięczni Rodacy podziękowali mu za to żywymi oklaskami. W końcu poruszyła jeszcze pani Pace sprawę kościoła. Dowiedzieliśmy się przy tej okazyi, że kościół dla nas został wydzierżawiony na 10 lat Na zakończenie zaśpiewano „Boże coś Polskę“, a po przemówieniu pana dr. Sobkowskiego wznieśliśmy gorący okrzyk: „Niech żyje Polska i Polacy!“

Porozchodziliśmy się z większą miłością Ojczyzny do swych domów, z wdzięcznością w duszy dla p. dr. Sob., pani Pace, pani Wierzbińskiej, pp. Grzybowskich i p. Elbanowskiego. Za tę duchową ucztę „Bóg im zapłać“, więcej nam potrzeba takich rodaków a nasza nieszczęśliwa Ojczyzna będzie miała pociechę i nie zaginie.

Wojciech Tubicki.

* **Ilu żydów** *jest między nami?* Żydzi jak wiadomo coraz tłumniej opuszczają W. Ks. Poznańskie. A pomimo że ich coraz mniej, to jednak wpływ zawsze ich ten sam, może nawet większy aniżeli dawniej. Kluczem do tej zagadki jest majątek, jaki żydowstwo zdobywa na handlu—a odbiorcami jego Polacy — na własną szkodę i krzywdę. Poniżej podajemy tabliczkę, jak szybko żywioł żydowski opuszczał gościnne progi Księstwa. Że mało który poszedł z próżnemi sakwami, to chyba nietrudno wyrozumować. — Ludność dzielnicy naszej, jak wiadomo dzieli się na katolicką, protestancką i żydowską. Liczby jej wynosiły:

w roku	kat.	ewang.	żydów	%
1849	817,670	409,286	76,757	5,7
1658	876,714	454,399	72,075	5,1
1871	1,009,595	512,266	61,982	3,9
1890	1,164,[illegible]67	543,162	44,345	2,5
1900	1,280,172	571,776	35,327	1,8

Jeżeli liczba żydów i w ostatnim czasie tak samo ubywała, to byłoby ich obecnie nie wiele po nad 30 tysięcy. Ciekawość też bierze, jaka ich liczba jest istotnie. Dowiemy się tego po zestawieniu obliczeń, jakie zebrane zostały na dniu 1 grudnia 1905.

Dodać tutaj należy, że z 35327 żydów w r. 1900 mieszkało: *w miastach* 33500, a *na wsi* tylko 1800.

Od Redakcyi.

Panu Józefowi W. w Rychwałdzie (Galicya.) — Uznajemy dobre chęci, ale nadesłanych trzech rysunków zużyć nie możemy.

Panu Józefowi F. w Wschowie. Dziękujemy także za nadesłanie rozwiązania, zamieścimy chyba w czasie odpowiednim t. j. na Trzech Króli w roku przyszłym.

Panu Wład. L. w W. Najprzód trzeba umieć dobrze mówić i pisać po polsku; do pisywania wierszy nie wystarcza — sama miłość. Wiersz nadesłany bez sensu, zatem — do kosza.

Reklama.

DZIAŁ POWIEŚCIOWY.

Dwudziestoośmioletnie wygnanie
czyli
ucieczka moja z żoną i dwojgiem dzieci.
Zdarzenie prawdziwe z 1835 r.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

Jako duch z ciałem, tak węzły mocnemi
Serce człowieka do rodzinnej ziemi
Sam Bóg przywiązał. (A. E. Odyniec.)

Do Czytelnika!

W czasie konania na moich rękach drogiej mej żony w Nerczyńsku, postanowiłem jej życie objawić światu, co też z tem większą dopełniam skwapliwością, że jej miłość i poświęcenie się, dotąd w idealnych tylko romansach znane, posłużyć mogą jako wzór dla Polek.

Po napisaniu tego rękopisu, czytałem go niektórym moim znajomym. Słuchano mnie, dziwiono się, płakano, i nakoniec powiedziano, że: „gdyby mnie nie znano, nie wierzonoby w te brednie".

Przedwcześnie ostrzegam szanownego czytelnika, że nie znajdzie tu ani położenia geograficznego Syberyi, ani stosunków handlowych, ani statystyki, tem mniej geologii, a przeczyta tylko życie kobiety, która nie wychodząc za obręb domowego życia, wpisała imię swoje w grono najzacniejszych Polek.

Pisząc wspomnienie o mojej ś. p. żonie, starałem się być prostym, naturalnym, i trzymałem się tylko rzeczywistych faktów, że zaś do powieściopisarstwa nie czuję w sobie najmniejszych zdolności, szczera przeto prawda zastąpiła jej miejsce, bez najmniejszych bujnej fantazyi dodatków.

Przypadki nasze, drukowane w języku rosyjskim, sam czytałem; coś podobnego było i w „Dzienniku literackim" z r. 1852, a także i w francuskich żurnalach. Lecz kiedy autorowie tych utworów nie zasięgając odemnie objaśnienia, pisali sami, to ja im śmiało powiedzieć mogę, że opisy ich są słabem i niedokładnem odbiciem prawdy.

Praca moja, jeżeli czytaną będzie przez mężczyzn z zajęciem, a przez płeć piękną ze łzami, to się należeć będzie nie moim zdolnościom, ale prostocie i prawdzie mojego opowiadania.

Pisałem w Irkutsku, 1859 roku.

Wincenty Migurski.

* * *

I.

Po nieszczęśliwym w roku 1831 wzięciu Warszawy, wojska nasze unikając prześladowań, a raczej unosząc w sercach swoich wątłą wprawdzie, zawsze jednak drogą zbawienia ojczyzny nadzieję, przeszły granicę, korpus między innemi jenerała Rybińskiego złożył broń w Prusiech.

W czwartym liniowym pułku tegoż korpusu służyłem, i zwykle mnie dla odróżnienia od moich trzech rodzonych braci, w tymże pułku służących, koledzy pomiędzy sobą nazywali: „Piotrowinem", z powodu, że przed wstąpieniem mojem do wojska, zmęczony długą i wycieńczającą febrą, więcej byłem podobny do niego, niż do człowieka, zdolnego znosić trudy wojenne.

Gdym powstał z łóżka spojrzałem w lustro i przestraszyłem się sam siebie, spostrzegłszy twarz moją bladą, żółtą, policzki zapadłe, stan cienki i krok niepewny. Byłem prawie przekonany, że mogę być więcej zawadą niż pomocą w szeregach, lecz niedostatki te fizyczne, ustąpiły sile mojej moralnej; wstydziłem się bowiem być nieczynnym w chwili, kiedy wszyscy byli w ruchu.

W Prusach dopiero, a mianowicie w miasteczku Tigenhoff, przyszedłszy nieco do zdrowia, dałem się bliżej poznać wyższym oficerom w pułku, i przez dowodzącego tymże pułkiem majora Sw... byłem posłany do miasta Nejtaich dla podtrzymania ducha w naszych wiarusach, aby nie wierzyli amnestyi, przez Prusaków ogłaszanej, zapewniającej tymże wiarusom swobodny powrót do kraju; że zaś oficerom naszym Prusacy dawali paszporta do Francyi, przeto i nas czterech braci otrzymało takowe.

Nie będę opisywał drogi do Zachodnich braci. Wystrzały armatnie za zbliżaniem się kolumny polskiej do którego kolwiek miasta lub znaczniejszej wioski, procesye i uroczyste spotykania, bale, iluminacye i tryumfalne bramy, wszystko tam było; bo dzięki postępowi cywilizacyi, nie masz narodu, któryby przywiązania do ojczyzny nie cenił; dla tego też i Rzesza Niemiecka i Francya na wyścigi starały się każdą naszą chwilę uprzyjemnić.

Jechałem w siedmnastej kolumnie, z dwustu osób złożonej, i po przyjeździe na miejsce, pomieszczono nas w Besancon; tam przyszedłszy kompletnie do zdrowia, zawarłem znajomość z młodzieżą byłych uniwersytetów, warszawskiego i wileńskiego. Żyłem sobie wraz z drugimi spokojnie, oczekując chwili, w której można być użytecznym krajowi. Naznaczono nam gmach dość obszerny, bastyon *d'Aregne* zwany (letnie mieszkanie jenerała i para Francyi Morand'a). W tym to bastyonie pomieściło się nas 60 młodzieży. Koledzy moi wybrali mnie członkiem i deputatem Rady Polaków, wówczas w Besancon istniejącej.

Uczęszczałem na te posiedzenia przez miesięcy dziesięć, i byłem raczej słuchaczem niż mówcą, bom wiedział, że i bezemnie jest komu mówić, bezemnie wszyscy oddychają jednem życzeniem, i bezemnie każdy się stara o odzyskanie ojczyzny.

Pewnego dnia zaszedłem do mieszkania moich braci. Józef starszy drzemał jeszcze, a dwaj młodsi Wacław i Aleksander wychodzili na spacer, było to bowiem w lecie popołudniu; wtem wchodzi do nas oficer od artyleryi, p. Konstanty Z., i podszedłszy do rozbudzonego Józefa, zawołał:

— Słuchaj kolego. Wyzwany jestem przez porucznika J. na pojedynek, i powiedziano mi, że masz być jego sekundantem. Przyszedłem więc ci oznajmić, że ja mu nie dam satysfakcyi, z powodu że on był pod sądem wojennym.

— Prawda — powiedział brat mój. Ale on wyrokiem tegoż sądu został uniewinnionym.

— Tak — odrzekł wyzwany — ale dla czegóż ja mam się z nim strzelać, kiedym go nie obraził?...

— Jakto! — krzyknął sekundant — albo to wyraz „zbrodniarz", pogardliwym wyrzeczony tonem, nie jest obrazą?

— A wszakże on był pod sądem, a więc zbrodniarz — bąknął artylerzysta.

— Cóż z tego! kiedy z pod tegoż sądu dla niewinności swej został uwolniony — wrzasnął brat mój.

— To ja wcale tego nie pojmuję... jak można... — zaczął mówić wyzwany; gdy w tem ja obecny tej rozmowie, i nią zniecierpliwiony, odezwałem się:

— Mój kochany kolego! dziwne wydaje się twoje tłomaczenie słuchającemu z boku! Raz powiadasz że się strzelać nie będziesz, dla tego że on był pod sądem, a kiedy ci mówią, że wyszedł z pod sądu niewinny, twierdzisz, żeś go nie obraził. Gdy zaś cię przekonywują, że wyraz był obraźliwy, odwołujesz się znów do sądu. Jakkolwiek nie chwalę pomiędzy nami pojedynków, jednakże twoje tłomaczenie dowodzi, że obok uporu musisz mieć chyba słabe serce.

— A bardzo dobrze! więc postaram się przekonać kolegę jakie mam serce — odrzekł zagniewany pan Z. i wyszedł.

Nazajutrz przyszedł do mnie do bastjonu pan Zawała, młody oficer 4-go pułku strzelców pieszych, z oznajmieniem, że p. Z. wybrał go sekundantem w mającym odbyć się pojedynku pomiędzy mną a tym ostatnim, i prosił mnie, abym mu wskazał osobę, z którą ma mówić w tej sprawie.

Obojętnie przyjąłem oczekiwaną wiadomość, i wskazałem dowódzcę pułku, majora S. za mego sekundanta, z którym już poprzednio mówiłem.

W parę dni potem o godzinie piątej z rana, gdy miasto prawie było w uśpieniu, poszliśmy za rogatki, i w niedalekiej od niej odległości, zboczyliśmy z gościnca i udaliśmy

się na piękną równinę, naokoło krzakami osłonioną. Tam po zwykłej a próżnej sekundantów mowie, mających na celu pogodzenie nas, zatknięto na odległości ośmiu kroków dwie szpady, rozdano nam pistolety, i stanąwszy każdy z nas potykających się na ośm kroków od tych szpad, baryerą zwanych, z odwiedzionemi kurkami razem zbliżaliśmy się do nich i razem wystrzeliliśmy, lecz naprożno! Nabito drugi raz, toż samo, po raz trzeci, lecz bez skutku.*)

Obecni temu szczególniejszemu pojedynkowi świadkowie, zaczęli nas namawiać abyśmy na tem poprzestali, dowodząc że obrażony czynem przekonał wszystkich że nie słabe ma serce, lecz prośby ich i namowy okazały się bezskuteczne. Pan Konstanty bowiem wyrzekł że się czuje być obrażonym, ja zać chociaż przekonany byłem o jego odwadze, nie chciałem zrobić pierwszego kroku z obawy, aby mnie za tchórza nie wzięto.

Tak to młodość ryzykuje życiem, aby jej nie zarzucono braku odwagi.

Nie było rady, postanowiono tedy nie schodzić z placu, póki krwi czyjejkolwiek nie ujrzą. Z tego powodu nabito pistolety już po raz czwarty, i nam je rozdano. Stanęliśmy naprzeciwko siebie już przy barjerze; i na komendę „trzy“ palnęliśmy oba i ja upadłem na ziemię. Pan Konstanty spostrzegłszy to, rzucił się przedemną na kolana i wyrzekał z rozpaczą, że krew bratnią przelał na obcej ziemi.

Józef, brat mój, zrzucił z siebie wierzchni ubiór, i schwyciwszy pistolet, groźnem spojrzeniem wyzwał Konstantego. Ja zaś leżałem na ziemi, i chociaż kula przeszyła mi policzek poniżej prawego oka, krew się polała i upadłem, nie wiedząc co się ze mną stało, widziałem jednak przygotowania mego brata.

— Jak mnie kochasz Józefie! — wolnym lecz donośnym głosem zawołałem — nie rób nic panu Konstantemu! ja go bardzo szanuję, albowiem on tak postąpił, jak każdy młody i odważny człowiek zrobić powinien.

Wszystko to odbyło się w jednej chwili. Brat mnie usłuchał, przytomni rzucili się na mój ratunek. Doktór obejrzał ranę, i pokazało się, że kula odbita o wierzchnią szczękę, zatrzymała się w ustach, a za wypluciem krwi wyleciała spłaszczona. Z podwiązaną już twarzą, ja pierwszy wyciągnąłem rękę przeciwnikowi, którą on do łez rozczulony z uniesieniem pochwyciwszy, pocałował; z panem J. zaś pan Konstanty w żaden sposób strzelać się nie chciał.

Jakkolwiek pojedynek ten sekretnie odbyć chcieliśmy, nie mógł on jednak skryć się przed władzą. W parę dni bowiem przyszedł do mnie komendant miasta, baron M., i urzędownie zapytał, czy nie mam jakiej pretensyi do mego przeciwnika? albowiem w takim razie mógłby ofiarować prawa krajowe na moje usługi. Ale kiedy dziękując mu za opiekę, oświadczyłem, że panu Konstantemu nic się odemnie prócz wysokiego szacunku nie należy, odszedł, nie widziawszy nawet mojego antagonisty.

A propos tego pana barona opowiem wam jeden o nim wypadek.

BaronM. rodem Anglik, miał nos ogromny i tak nadzwyczajnie długi, że gdy szedł przez ulicę, to siedzącemu w pokoju pod oknem dał się widzieć najprzód nos, potem nos, potem jeszcze nos, aż nakoniec i sam jego właściciel. Trzebać takiego zdarzenia, że niejaki pan K., oficer artyleryi byłego wojska naszego, wypielęgnował starannie swoje faworyty, które były tak długie, troskliwie upomadowane i naprzód uczesane, że mu całkiem twarz tak zasłaniały, jak niegdyś kanie damskich kapeluszy kobietom. Obaj ci panowie zwrócili na siebie niemal całego miasta uwagę. Ulicznki ich węglem lub kredą na parkanach i ścianach w karykaturze przedstawiali, a studenci piórem, ołówkiem a niekiedy i farbami na papierze malując, przykładali do szyb.

Raz kiedyśmy się w dość licznem gronie dla odebrania żołdu do kancelaryi komendanta zebrali, pan pułkownik i baron zrobiwszy ze swych rąk rynnę dla obrony swego nosa, gdy się tak do swego biurka przecisnął i obejrzał się z uszanowaniem spostrzegł faworyty pana R., a znalazłszy jego oczy, zapytał, dla czego bakienbardy jego tak długie? I w łagodnych wyrazach radził mu, aby je obciął cokolwiek, pokazując za przykład, że żaden z jego rodaków podobnych nie nosi. Pan K. uśmiechnąwszy się zapytał go równie, dla czego nos jego tak długi? I radził mu nawzajem, aby i on swojego odrąbał kawał, dowodząc, że nietylko żaden Anglik ale i żaden człowiek podobnego nigdy nie miał i nie ma nosa. Baron wyciągnął rękę artylerzyście, i odtąd żyli z sobą w przyjaźni.

Ale wracam do pojedynku, który jakkolwiek sam z siebie nic nie znaczący, wpłynął jednak na dalsze życie moje, obecni bowiem świadkowie unosili się nad moim taktem, zimną krwią i odwagą. Z tego powodu w kilka tygodni przyjęto mnie do lóż masońskich, następnie karbonerskich, a w 1833 roku, w charakterze emisaryusza wysłano mnie wraz z drugimi do prowincyi polskich.

Kto byli, i jakie mieli zamiary emisaryusze? wiadomo to jest prawie każdemu. Mając jednak wzgląd na potomność, której wspomnienia moje mogą dostać się w ręce, obszerniejsze o nich umyśliłem dać wyobrażenie.

Gdy z różnych prowincyi polskich po kampanii 1831 roku emigrowało do Francyi kilka tysięcy moich rodaków, naród francuski pamiętny na poświęcenie się nasze w wojnach napoleońskich, wyjednał u rządu swego opiekę nad nami. Z tego powodu wyznaczone zostały niektóre miasta, w których zgromadzeni po kilku set Polacy stanowili depot, mieli swoje rządy i komiteta pod nazwą: „Rad Polskich“.

Rady te obok urządzeń administracyjnych, obok pilnowania wewnętrznego porządku, i czuwania nad konduitą każdego emigranta w szczególności, miały głównie na celu posyłać adresa do gabinetów francuskiego i angielskiego, prosząc o środki za pomocą których możnaby odzyskać utraconą ojczyznę.

Zarzucone od wszystkich zakładów naszych podobnemi adresami gabinety w odpowiedziach swoich oświadczyły, że chcąc aby żądania emigracyi były prawne i właściwą miały powagę, potrzeba, aby krew polska w walce z Moskwą, przelewała się na ziemi polskiej. Wówczas rządy zachodnie, widząc nierówną i niestosowną walkę, sposobem dyplomatycznym upomną się u rządów północnych o zwrócenie nam naszego kraju, bo cóż znaczy (mówiły nam gabinety) żądanie kilku tysięcy emigrantów, w porównaniu z kilkunastu milionami cicho siedzących Polaków, i zdających się być zadowolonymi z rządu moskiewskiego?

Wiadomość ta jak iskra elektryczna rozeszła się po wszystkich naszych zakładach. Nieszczęśliwym nie wiele potrzeba! Słaby promień nadziei zbawienia ojczyzny, jest wystarczający, abyśmy się rzucili w przepaść.

Wybrani i wychodzący emisaryusze wiedzieli o tem dobrze, że trudno będzie w kilkudziesiąt ludzi tam coś zrobić, gdzie kilkadziesiąt tysięcy uzbrojonego wojska, musiało ustąpić przemagającej sile. Lecz trudno im było brać na szalę zimnej rozwagi słabą wprawdzie, ale zawsze nadzieję, w chwili, kiedy nieszczęśliwa ziemia tego poświęcenia i długu od nich wymagała. Poszliśmy więc w siedemdziesięciu na pewną zgubę.

Jak niegdyś gierylasy hiszpańscy, tak i emisaryusze mieli zebrać po kilku ludzi, uzbroić ich, i na wszystkich punktach polskiej ziemi zacząć walkę z Moskalami, ażeby odgłos tej dziwnej partyzantki, doszedłszy do Francyi i Anglii, pobudził je do działań dyplomatycznych z rządem moskiewskim.

Lecz niestety! różnemi traktami i pojedyńczo prawie, wyszliśmy z Francyi. Z nadzwyczajnemi trudnościami, z narażeniem wolności osobistej i życia, przerzynaliśmy się przez Rzeszę niemiecką, ocknęliśmy się nakoniec w Galicyi. Tam byliśmy wprawdzie z zapałem przyjęci przez rodaków, ale nie mogliśmy się prędko w rozległym skomunikować kraju. I cóż z tego wyszło? Oto niektórzy z emisaryuszów mając moc działania bezpośrednio, zebrali po kilku uzbrojonych, wystąpili do walki i padli ofiarą, lub w samobójstwie znaleźli pokój. Niektórzy zaś oczekując od swych zwierzchników instrukcyi, wyglądali jej niecierpliwie, ukrywając się tymczasem po domach obywatelskich pod przybranem nazwiskiem. W liczbie tych ostatnich byłem i ja. Zależałem pośrednio od majora S., który także z Francyi jako emisaryusz tu przybył. Lecz pomimo moich chęci i poszukiwań aby się z nim skomunikować, dowiedziałem się tylko, że jemu śmiertelna choroba nietylko działać, ale i dać znać o sobie swym podwładnym nie dozwalała.

Tym sposobem zeszło kilka miesięcy. W tych to opłakanych czasach, poszukiwania, rewizye, rozlały się na całą

*) Dowiedziałem się później, że sekundanci dla uniknienia krwi rozlewu, trzy razy ślepemi ładunkami nabijali pistolety.

Galicyę. Nie było dnia, aby kilku nie wzięto pod straże, nie było więzienia niezapełnionegoemisaryuszami, emigrantami i miejscowymi obywatelami.

Tu dopiero nam nieszczęśliwym otworzyły się oczy! Tu dopiero poznaliśmy, że dyplomaci zmówiwszy się pomiędzy sobą, jedni wysłali najenergiczniejszych i gotowych na wszystko ludzi, aby drudzy wybierali ich jak z matni, i widokom swoim tychże poświęcali. Po przybyciu bowiem naszem, powstał wprawdzie na chwilę przytajony zapał obywatelski, ocknęła się energia i chęć wywalczenia ojczyzny, ale koalicya północna pomagając sobie wzajemnie, wydawała ludzi, których całą było winą, — miłość ojczyzny!

Niedaleko ode Lwowa, w pięknem położeniu leży wieś „Laszki murowane" zwana. Na wzniosłym pagórku stoi dom murowany, naokoło wałem i staremi lipami otoczony. Na tych wałach parę dział i moździerzy, już do niczego niezdatnych, dowodzą dawnych burzliwych czasów polskich. Nie mogłem się dowiedzieć, do kogo wieś ta dawniej należała, dziś zaś jest w rękach dzierżawców. Lecz jeżeli domysły mają miejsce w powieści lub historyi, to wnieść można, że Polacy czyli Lachy oparli się tu kiedyś mężnie, to jest, stali jak mur przeciw nieprzyjaciołom, a wdzięczna potomność dla uczczenia ich nieustraszonego męztwa i wytrwałości, nazwała to miejsce: „Laszki murowane".

Ogromne to zabudowanie jest na dwie równe części podzielone. W jednej połowie mieszkał pan Eugeniusz Ulatowski, a w drugiej pan Józef Padlewski, obydwa ożenieni z dwiema ładnemi córkami kapitana byłych wojsk kościuszkowskich, Adama Korytowskiego.

Pan P. chociaż trzymał na współkę w posesyi ten majątek ze swym szwagrem, mając atoli dziedziczne dobra około granicy rosyjskiej, rzadko tu mieszkał. Pokoje tylko przez sługi zamieszkałe, stały gotowe na przyjęcie państwa, jeżeli ci stolicę Galicyi odwiedzić zechcą. Druga połowa zajęta przez państwo U., odznaczających się patryotyzmem była przytułkiem wielkiej liczby emisaryuszów i emigrantów, zjeżdżających się tu w celu wzajemnego porozumienia się w sprawie publicznej, jako też i ułatwianie interesów prywatnych we Lwowie.

Z nieukontentowaniem urzędnicy patrzeli na te zjazdy; nasyłali nawet swoich ajentów w zamiarze szpiegowania naszych czynności. Nie zastraszało to jednakże państwa U., byli oni bowiem dobrzy, ludzcy, czuli i gościnni, a te zasady nie dozwalały im myśleć o sobie.

Pan U. był kasyerem naszego związku, i umarł później w więzieniu lwowskiem.

Dowiedziawszy się o tym domu, i chcąc powziąć wiadomość o panu S., przybyłem tu z rana. Lokaje przyzwyczajeni widzieć przyjeżdżających i wyjeżdżających, zwykle nas nie meldowali. Ja przeto wszedłszy wprost do pokoju emigranckiego, zapytałem znajomych o gospodarza domu, a gdy jego nie było, udałem się do drugiego pokoju. Spostrzegłszy na sofie trzy siedzące panie, i chcąc się zaprezentować, zapytałem o gospodynię domu. Najmłodsza i najładniejsza z nich powstawszy, lekkiem skinieniem głowy dała mi poznać, że nią była. Powiedziałem jej przybrane „Sieraczek" a nieprawdziwe moje nazwisko, i wmięszałem się pomiędzy znajomych.

Po obiedzie, pani domu widząc mnie na ustroniu, w głębokiem zamyśleniu siędzącego, podeszła do mnie mówiąc:

— Zapewne miłe wspomnienia zostawionych piękności we Francyi, nie dozwalają panu mięszać się do wspólnej jego kolegów rozmowy?

— Nie pani! — wyjmując z ust cygaro, odpowiedziałem — o p. S. zamyśliłem się! Co się zaś tyczy piękności, o jakich pani wspominasz, to powiem prawdę, że dosyć jest widzieć Ją, aby o wszystkiem zapomnieć.

Ku wieczorowi wyjechałem z Laszek.

W taki sposób jeździłem przez kilka miesięcy w różne domy obywatelskie, szukając znajomych, lub będąc od nich wzywany. Około jesieni przyjechałem tu znowu, i znalazłem dwóch znajomych mi kolegów, z którymi udałem się do osobnego, emigrantom wyłącznie poświęconego pokoju. Tu rozmawiając długo, projektując i marząc, zasnęliśmy nakoniec.

Na odgłos szczekania psów, tentent i rżenia koni, ja pierwszy przebudziłem się. Spojrzałem w okno, drugie i trzecie. Niestety! dom był otoczony naokoło piechotą i szwoleżerami austryackiemi! Strwożony, obudziłem kolegów. Zamięszanie powstało wielkie, lecz ciche, a po kilku słowach pomiędzy sobą narady, spostrzegliśmy, że przerżnięcie się przez straże bezbronnym, było nam niepodobne, zguba zatem nieuchronna.

Hałasem tym przebudzona pani domu, z pospiechu pokazała się we drzwiach naszego pokoju w negliżu. Dowiedziawszy się o co idzie, przykazała lokajowi na krzyk oblegających nie odzywać się i nie otwierać, póki sama nie każe. Nas zaś trzech wezwała do swego pokoju.

W pokoju tym prócz dwóch małżeńskich łóżek, razem na środku zestawionych, nie było nic takiego, gdzieby nam się ukryć było można. Niespokojna gospodyni pani Tekla, odwinęła materace na swojem łóżku, i pokazała mi, abym się na niem położył. I ja rozciągnąwszy się na gołych deskach, przykryty zostałem materacami, na których okrywszy się kołdrą, sama się położyła. Panna Aniela siostra jej męża, zrobiła toż samo z panem Talwem; trzeci zaś, pan Hankiewicz, schował się pod łóżko. Gospodarza w domu nie było. Wszystko to odbyło się w jednej chwili i bez żadnego hałasu. Na naleganie oblegających i pozwolenie pani, lokaj udając tylko co przebudzonego, otworzył pokoje.

Mieszkanie jak powiedziałem było podzielone na dwie części, i pokoje państwa P. już były zrewidowane. Wpuszczeni urzędnicy postawili u każdych drzwi szyldwacha, sami obeszli wszystkie pokoje, lochy i strychy, a nie znalazłszy najmniejszego śladu, przystąpili do sypialnego pokoju, w którym poczciwe nasze rodaczki z poświęceniem samych siebie, nas ukrywały.

Komisarz żądał od pani domu, aby wraz z siostrą dla zrewidowania łóżek wyszły z miejsc swoich.

Wyobraźcie sobie moi kochani i szanowni czytelnicy, nasze położenie! W tak małej objętości, bo tylko w trzech łokciach kwadratowych, mieściło się nas pięć osób. Myśl, szybka jak błyskawica przebiegła mi przez głowę, i najtragiczniejszy koniec przewidywałem. Słabe kobiety liczyły na łzy i złoto, my zaś na krwawą walkę. I je z natury prędki i niecierpliwy, uwalniając od wstydu wstawania z łóżek przy obcych poczciwą gospodynię i jej siostrę, poruszywszy się chciałem wyskoczyć, gdy pani Tekla poczuwszy znaki niecierpliwości mojej, pod sobą, mnie mocniej przygniotła, a sama zwróciwszy się do komisarza, rzekła:

— Jakkolwiek od was panowie, spodziewać się można wszystkiego, nie przypuszczałam nigdy, abyście kroki swoje posunęli do tego stopnia, że nie szanujecie świątyni, jaką jest sypialnia kobiet. Ustąpcie więc panowie ztąd, albowiem przy was z miejsca się nie ruszym.

Po tych słowach komisarz wraz z drugimi opuścił pokój.

Powstać z łóżek, zasunąć drzwi za wychodzącymi i oswobodzić nas, było dziełem jednej minuty. W zamięszaniu nie zważany przez nikogo z nas pan H., poszedł na palcach do pokoju bawialnego, i podjąwszy materac od sofy, położył się w niej, sam siebie tymże materacem pokrywając.

Tuż do pokoju sypialnego przytykał mały alkierzyk, w nim pod samym sufitem było małe okienko, który pani Tekla palcem nam pokazała. Że zaś nie było tu żadnego sprzętu, a czas naglił, i my nie mogliśmy wdrapać się do wspomnionego okienka, bohaterka nasza chwyciła mnie i pana T. pojedyńczo za nogi, i podsadzając do góry pomogła nam do przejścia przez toż okno do sieni, do drugiej połowy mieszkania należących, i, o dziwna i niepojęta naturo ludzko! delikatne i tylko do pieszczot stworzone jej rączki, schwyciwszy ogromną, w tymże alkierzu stojącą szafę, i z olbrzymią mocą okienko to zasłoniły. Panna Aniela zaś pod tenczas zajęła się uporządkowaniam łóżka.

Gdyby te panie rzeczywiście nikogo nie ukrywały, zatrzymałyby zapewne nocnych gości parę godzin za drzwiami i tak by wszystko urządzić się starały, aby wśród oświeconego buduaru w miłym negliżu przyjąć natrętów. Lecz niestety, będąc winnemi, one tylko o sobie wcale nic nie myślały, ale w pospiechu nie wiedziały nawet, gdzie im się podział pan H... Z gwałtownie przeto bijącem sercem, nie chcąc dłuższem zatrzymywaniem rewizyi poddać się w podejrzenie, zaledwie nocnym szlafroczkiem przyodziane, wpuściły urzędników.

Komisarz z oficerem i innymi, po strannem przetrząśnieniu łóżek, obejrzeniu podłogi, ścian, pieca i innych rzeczy, udał się do wspomnionego alkierza, otworzył szafę,

w której prócz wiszących sukien nic nie znalazł. A że owe okienko było za szafą, ani się o tem domyślał. Ztamtąd wracając, poszedł do bawialnego pokoju, i niestety, pierwszym przedmiotem mogącym ukrywać człowieka, była nie szczęśliwa sofa. Z niej więc dobyto pana H., i uszczęśliwiony komisarz powiózł go z sobą do Lwowa.

Zjazdy nasze i uczęszczanie do domów obywatelskich spowodowały, że domy te i ich właściciele tak były skompromitowane przed rządem, że na każdym kroku i w każdej, bo nawet i w nocnej porze, domy i ich właściciele nie byli wolni od rewizyi. Z powodu tego, z pode Lwowa rozjechać się w różne strony musieliśmy.

Postanawiono przeto na sesyi, aby mnie za główny punkt pobytu mego naznaczono Podole galicyjskie, z obowiązkiem propagowania pomiędzy młodzieżą czerniejowiecką na Bukowinie zasad Towarzystwa Przyjaciół ludu.

II.

W wigilią Bożego narodzenia, w 1834 r. we wsi Sidorawie na Podolu galicyjskiem we dworze, przyjemna i rzeźwa staruszka krzątała się po pokojach, i wydając rozkazy pilnowała sama, aby oczekiwanym gościom na niczem nie zbywało.

Za stołem na kanapie po polsku ubrany siedział poważny, wysokiego wzrostu mężczyzna, około 70 lat mający. Zamyślenie się jego nad rozłożonemi kartami, niespokojność twarzy jego wyrażało.

— Źle moja pani — odezwał się nareszcie do swojej żony — niezawodnie jakieś nieszczęście przytrafić im się musiało.

To mówiąc, spojrzał na zegar na komodzie stojący. Było już wpół do piątej wieczorem.

— Już blisko piąta — mówił dalej — czy to słychana rzecz, aby dotąd nie przyjechali. Wszakże oni wiedzą, że oprócz uroczystości dnia dzisiejszego, są jeszcze moje imieniny, i dla tego wczoraj powinni byli przyjechać, ażeby według zwyczajów pradziadów naszych, dziś rano w łóżku jeszcze będącym rodzicom, dosiego roku, a w szczególności mnie dzisiejszego patrona powinszować. Ale to modny świat... i dziwne jakieś zwyczaje...

I stary nadąwszy usta i mrucząc pod nosem, okazywał znaki nieukontentowania.

— Przestań jegomość źle sądzić o najlepszych dzieciach naszych. Czy to nie wiesz drogi, że podróż ma wyłączne prawa, i że nic w niej wyrachować nie można... Zresztą macierzyńskie moje serce, nie przewiduje żadnego z nimi wypadku, a dotychczasowe ich przywiązanie, czyni mnie pewną że przyjadą — powiedziała dobra struszka. I przyzwyczajona słuchać gderania męża, poszła do swego zajęcia.

W trzecim pokoju, w gustownie zasłanem łóżku, leżała z podwiązaną twarzą siedmnastoletnia dziewica, przykryta lekkim szlafroczkiem. Do niej więc zbliżając się ostrożnie na palcach pani K., zapytała:

— A co Albinko, nie lepiej ci?

— Nie kochana babuniu — stękając odpowiedziała zapytana — ból zębów nie ustaje... Sądzę jednak, że to przejdzie.

I babunia nie chcąc próżną rozmową powiększać bólu, poprawiła okrywający ją szlafroczek i pocałowawszy ją, w czoło, oddaliła się od niej.

Albina była córką obywatela Galicyi, Macieja Pruss Wiśniewskiego, o mil pięć ztąd mieszkającego. Od lat pięciu straciła ona matkę, która na suchoty umarła. Sierotę oddano na pensyę do Lwowa wraz z jej siostrą, trzy lata młodszą, Wincentą. Brat zaś ich Antoni był w szkołach.

Ojciec tych trojga dzieci, mieszkał sobie na wsi, w Paniowcach Zielonych, majątku, który żona jego Teresa, z domu Szawłowska, a matka trojga sierot im zostawiła. Był on zarazem opiekunem tegoż majątku, i według praw krajowych, zdawał sądowi z dochodów rachunki.

W piętnastym roku życia, ukończyła Albina nauki na pensyi wykładane, i zostawiwszy tam siostrę swoją, wróciła do domu.

Młoda pensyonarka nie była wcale tak piękną, jak zwykle autorowie powieści i romansów przedsawiają swoje bohaterki; nie miała ona wdzięku Wenery ani kształtu Diany, nie miała perłowych zębów, ani ust koralowych, nie miała łabędziej szyi, ani kruczych włosów. Wszystko ona miała swoje własne, i była pewną, że ani Diana, ani łabędzie, ani Wenera, ani kruki nie upomną się o swoje, i nie ogołocą jej z naturalnych wdzięków.

Od lat dziecinnych odznaczała się ona niezwykłą dobrocią i czułością serca; największem jej szczęściem było wyszukiwać i pomagać biednym. Dochody swoje obracała na wsparcie potrzebnych, sukien i ozdób nie była przyjaciółką, słowem była wylana dla wszystkich, o siebie się wcale nie troszcząc.

Od niemowlęcia prawie okazywała szczególną skłonność do samotności i nauki, i upewniwszy się, że wszystkie dążenia ludzkie nie na tej ziemi się kończą, postanowiła działać cicho i skromnie, być obojętną na zdania ludzi, słowem chwyciła się zasady, że własne jej przekonanie wystarczy jej za wszystko, nie zważając na śmieszną i fałszywą opinią świata, z pozoru zwykle o rzeczach sądzącego. Ztąd to jakkolwiek tak młoda, od lat już kilkunastu miała swoją wolę, której oprzeć się nie nigdy nie było w stanie.

Z takiem usposobieniem, przy szczególnych rysach twarzy, przy braku zdolności ujęcia sobie obecnych, tyle innym kobietom właściwej, z tak melancholicznem i cierpienie wskazującem spojrzeniem, wydawała się do tego stopnia poważną, że w pierwszy raz ją widzącym wzbudzała mimowolne uszanowanie.

Z domem, gdzie teraz na zęby bolała, nie była ona połączona żadnemi związkami pokrewieństwa, i tylko znajomość ściągnęła ją tu do sąsiedztwa staruszki pani K., która pomimo lat swoich znajdowała szczególne upodobanie w towarzystwie Albiny, gruntownie i z powagą o każdej materyi sądzącej.

Już goście z bliskiego sąsiedztwa zjeżdżać się zaczynali na wigilią, już oświecono pokoje i siano, rozłożone na stole, pokryto białym obrusem, gdy odgłos dzwonków i trzaskanie z bicza dały znać o nowo przybyłych. Solenizant pospiesznie wyszedł na ganek i odetchnął swobodniej, spostrzegłszy wysiadające z trzech powozów znane nam już z Laszek murowanych swe dzieci. Uradowany gospodarz wprowadził je do pokoju, gdzie czułe przywitania i uroczyste powinszowania nastąpiły.

Z przybyłymi i ja przyjechałem i państwo U. zarekomendowali mnie swoim rodzicom. Wiadomość o mojem szczególnem ocaleniu przy owej nocnej rewizyi w Laszkach, doszła tu już poprzednio, z tego powodu robiono różne uwagi, wnioski, zapytania, objaśnienia i ogólną bawiono się rozmową.

Słaba na zęby Albina leżała w swoim pokoju, żadnego udziału w ogólnej rozmowie ani wigilii nie mając. Znajomi z gości pojedyńczo ją odwiedzali, pytali o zdrowie, i każdy z nich, radząc o uśmierzeniu bólu zębów, swoje zachwalał lekarstwo. I ta cierpiąca istota, dziwiąc się w milczeniu ludziom, tyle mającym pretensyi do znajomości sztuki lekarskiej, była zmuszoną odpowiadać i wysłuchiwać długi a coraz odmienny szereg środków leczenia zębów, gdy tymczasem nic to nie pomogło, a przeciwnie rzjątrzało jej bóle. Dla uniknienia więc nadal natrętów, kazała świece do innego wynieść pokoju.

Ja o niczem nie wiedząc, wyszedłem do drugiego pokoju, i usłyszawszy stękanie zapytałem:

— Kto tu?...

— Jeszcze — pomyślała cierpiąca i nic nie odpowiedziała.

— Kto tu stęka? — powtórzyłem — czy nie mogę być komu w czem użytecznym?...

— Nie, bardzo dziękuję — była sucha odpowiedź. Ma się rozumieć ja wyszedłem.

— O Boże! cóż to za głos? — pomyślała cierpiąca — tyle osób znajomych i nieznajomych pytało mnie i rozmawiało ze mną, żaden tak szczególnego nie zrobił na mnie wrażenia! Ten głos (jak mi to później sama wyznała) odbił się w jej sercu i duszy i wstrząsł nią okropnie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Dla milionów.

Powieść tłumaczona z francuskiego przez M. P.

16) (Ciąg dalszy.)

— Więc zrzekasz się majątku w chwili, w której potrzeba tylko rękę wyciągnąć, aby go dostać? — oburzył się Alfons.

— A twój ojciec lękał się zbrodni, gdy odepchnął twoją matkę i skazał ją i ciebie na nędzę? I hrabia Noirville lękał się zbrodni, gdy ciebie niewinną oskarżył o złodziejstwo?

Te słowa Alfonsa zbudziły w sercu Loli całą nienawiść, jaką miała dla Gastona, a tem samem i dla siostry. Wyskoczyła szybko z czołna i zawołała bez namysłu:

— Jedźcie! Ja tu zostanę!

Łódka posunęła się dalej i znikła w cieniach nocy.

— Wolno, — szepnął Robert, — otóż jesteśmy już przy belkach, podpierających tymczasowy most. Zwróć czołno, muszę się przywiązać sznurem, a ty trzymaj silnie wiosło i uważaj — przy najmniejszym szeleście trzeba nam uciekać, ile sił starczy!

ROZDZIAŁ 29.

Robert przewiązał się w pasie grubym sznurem, którego końce przymocował do czołna i zabrał się natychmiast do szrub, łączących belki. Promień księżyca padał w tej chwili na twarz młodego zbrodniarza, okropnego w swym spokoju — wyglądał on tak, jak gdyby chciał wypłatać komu jakiego niewinnego figla, i tylko oczy jego błyszczały złowrogo, jak oczy tygrysa, czyhającego na zdobycz.

— Co ty tam robisz — zapytał Alfons.

— Jeszcze się tego nie domyśliłeś? — odrzekł Robert pogardliwie. — Odejmę szrubę tak, że rygiel się otworzy. Deski zostaną na belkach, ale skoro wejdzie kto na nie, rozstąpią się podpory, deski podniosą się w górę, i stojący na nich spadnie w wodę. Kto nie umie pływać, utonie, a nawet dla najzręczniejszego pływaka byłoby trudnem wydobyć się z pomiędzy tych belek i desek. Jest to rzecz zupełnie jasna!

Alfons otarł zimny pot z czoła.

Robert tymczasem wyjął z kieszeni narzędzia ślusarskie i w mgnieniu oka odśrubował szrubę. Potem potrząsnął podporą, chcąc się przekonać, czy mu się rzecz ta udała i uśmiechnął się zadowolony. Podpory rozchodziły się i groziły teraz już zapadnięciem się mostu. Robert zesunął deski napowrót, most wyglądał więc tak jak zawsze, i nikt wchodząc na niego nie byłby się domyślił grożącego niebezpieczeństwa.

— Robota załatwiona, — rzekł do brata, — teraz jedźmy po Lolę i wracajmy z czołnem.

Dziesięć minut później była łódka już przywiązaną do drzewa i troje tych złoczyńców szli spokojnie do Creteil.

— Spieszcie się z powrotem do Paryża, — radził Robert, — i niechaj Lola uchodzi z takim hałasem do swego mieszkania, że wszyscy sąsiedzi słyszeć to będą. Ty uczyń tak samo, — zwrócił się do brata. Trzeba się na wszelki przypadek zabezpieczyć.

— A ty?

— Ja zostanę tutaj i zobaczę, jak się to wszystko skończy.

— Do widzenia zatem!

— Do widzenia! Jutro rano będę u Loli!

Po rozstaniu się z bratem i jego narzeczoną poszedł Robert do swego mieszkania w Saint-Maur, i niezmiernie znużony oparł się o poręcz okna, spoglądając uważnie na okna klasztoru. Ale wszystkie okiennice szczelnie były zamknięte i nigdzie nie było widać ani promyka światła.

— Pójdzie czy nie pójdzie — pytał sam siebie w śmiertelnym niepokoju i patrzał już to na okna sypialni Nory, już to na drzwi ogrodowe.

— — — — — — — — — — — — — —

Pomimo dręczącej troski zajmowała się Nora dziś tak jak zwykle czytaniem i modlitwą i przed obiadem wyszła z Helenką na codzienną przechadzkę. O liście nie mówiła już wcale i o dziewiątej wieczorem udała się do swego pokoju. Helenka uszanowała jej smutek i nie narzucała jej swego towarzystwa, była też przekonaną, że Nora chce zapomnieć Lucyana i w głębi serca czuła wielki o to do niej żal. Nie mogła pojąć, jak można się tak prędko wyrzec tego, którego się kocha i ustąpić bez walki, bez użycia wszelkich środków, aby postawić na swojem! Wyobrażała sobie Lucyana oczekującego niecierpliwie przybycia Nory i ubolewała szczerze nad rozczarowaniem, jakiego miał doznać.

Ale Nora wcale nie była spokojną i po długim namyśle postanowiła wypełnić prośbę ukochanego i zobaczyć go raz jeszcze.

— Wiesz, — rzekła wchodząc do pokoju Helenki, — że pójdę...... Lucyan nie może żądać czegoś złego odemnie, jeżeli więc chce się ze mną widzieć, to ja muszę iść....... muszę! On czeka tam na mnie! Jeszcze czas! Dopiero wpół do dwunastej!

— Dobrze! — zawołała Helenka uradowana, — i ja naturalnie pójdę z tobą! Ale jak my się wydostaniemy z klasztoru?

— O to mniejsze — ja mam klucz od drzwi ogrodu...... Pójdźmy prędko!

— Tylko cicho i ostrożnie, aby nas nikt nie słyszał! — upominała Helenka.

Nora ujęła rękę przyjaciółki i obie wysunęły się cichutko na schody. Otworzenie drzwi klasztoru żadnej im nie sprawiało trudności, potrzeba było tylko odsunąć żelazny rygiel, a że Nora klucz od drzwi w murze miała, przeto po chwili znalazły się w uliczce.

— Obiedwie! — szepnął Robert. — Szkoda tej drugiej!

Zaledwie znikły na skręcie ulicy, wybiegł z domu i szedł w pewnej odległości za niemi aż do mostu. Tutaj zatrzymała się Helenka.

— Zmęczyłam się, — rzekła, — i muszę chociaż parę minut odpocząć. Poczekaj.....

Ale Nora nie zważała na nią. Szybko i lekko wbiegła na most i w tejże chwili krzyknęła przerażająco.....

Deski uniosły się w górę, belki rozsunęły się, i Nora znikła w ciemnych falach rzeki.

— Stało się! — pomyślał Robert. — Miliony są nasze!

Tom trzeci.

ROZDZIAŁ 1.

Panowie Blanc i Miret, owi uprzejmi agenci, za których pomocą dowiedział się pan Nivel o istnieniu Loli Verdier, byli strasznie oburzeni niewdzięcznością Loli i poprzysięgli jej zemstę. Nie chcieli jej przecież zamordować, nie, takiej zemsty nie pragnęli, wiedząc jednak, jak była chciwą pieniędzy, postanowili wyrządzić jej największą krzywdę, to jest, zabrać cały majątek, co do grosza!

— Należy jej się to, — mówił Blanc z wesołym jak zawsze uśmiechem, — czemu postąpiła sobie tak haniebnie wobec nas! Najpierw przyrzekała Bóg wie co, a potem za drzwi nas wyrzuciła!

— Tak, musimy ją za to ukarać, — potwierdził Miret poważnie.

Ułożyli więc plan zabrania Loli owych 100,000 franków, i zamierzali go też zaraz wykonać. Znali dom, w którym Lola mieszkała, chodziło tylko jeszcze o to, aby się dowiedzieć, na jakiem piętrze, i w jakiem skrzydle pokoje jej się znajdują. Wiedzieli bowiem, że Lola pieniędzy do banku nie zaniosła — takie osoby jak ona przechowują wszystko u siebie i wolą żyć z kapitału, niż rozłączyć się z złotem.

— Ona nie umie szanować własności, — dowodził Blanc, — nie ma wyobrażenia o porządku i musi mieć zawsze pieniądze pod ręką, aby je wydawać bezmyślnie. Ma ona je z pewnością schowane w mieszkaniu i tam musimy iść po nie!

— Tak, lecz trzeba nam się spieszyć, bo z każdym dniem tysiąc ubywa, — dodał Miret.

Będąc niegdyś ślusarzem, posiadał znaczny zapas wytrychów i kluczy i umiał otwierać jak najwięcej skomplikowane zamki bez najmniejszej trudności, pod tym więc względem nie stało im nic na przeszkodzie. Ale jak wejść do mieszkania Loli, bez wzbudzenia podejrzenia sąsiadów i bez zwrócenia czyjejś uwagi?

— Już ja wszystko obmyśliłem — rzekł Miret i wyniósł z ciemnej komory, znajdującej się obok jego pokoju, duży kufer, napełniony różnemi rzeczami. I wyjawszy z ku-

fra perukę i niebieską płócienną bluzę, zamienił się w mgnieniu oka w posługacza roznoszącego po mieście paczki, gazety i listy.

— Weź teraz kopertę — odezwał się do swego towarzysza — i napisz adres do „wielmożnej panny Verdier.

— Aha, rozumiem — rzekł Blanc.

— Pójdę z tym listem do jej mieszkania ,czekaj na mnie, wrócę niedługo.

Przybywszy do domu, w którym mieszkała Lola, zapukał Miret do loży odźwiernego i spytał uprzejmie:

— Jest panna Lola Verdier w domu? Mam list dla niej!...

— Nie wiem, doprawdy — odpowiedziała odźwierna. Idźcie najlepiej sami i przekonajcie się. Mieszka na trzeciem piętrze w lewem skrzydle!

— Dziękuję pani!

I Miret wbiegł szybko na schody, jak człowiek, któremu każda minuta jest drogą. Gdy stanął przed drzwiami, na których przybitą była tabliczka z nazwiskiem Loli, wyjął z kieszeni kawałek wosku i przycisnął go mocno do zamka. Trwało to kilka sekund zaledwie — stary Miret równie był zręcznym, jak Robert.

Pół godziny później był już w domu.

— No, i cóż? — zapytał Blanc.

— Wszystko dobrze, zdaje mi się, że nasz plan wykonamy z łatwością. Chodzi tylko o to, aby upatrzeć stósowną chwilę, w której pięknej Loli nie ma w domu. Sąsiedzi jej nie przeszkodzą nam wcale, z jednej strony mieszka modniarka, z drugiej malarz, nie ma ich zatem cały dzień w domu. Naprzeciwko biuro stręczeń...

— Oj, to źle!

— Czemu?

— Bo ciągle tam ludzie wchodzą i wychodzą!

— Nam to nie szkodzi, przeciwnie, sprawę nam ułatwi! Ja się przebiorę za jakiego lokaja, ty za stangreta i każdy będzie myślał, że szukamy w biurze miejsca.

— Masz słuszność!

Nazajutrz przechadzali się nieustannie koło domu Loli, ale długo musieli czekać, zanim piękna dziewczyna opuściła mieszkanie. Około dziesiątej dopiero przyszedł po nią Alfons i zaraz potem wyszli na ulicę.

Był to ów dzień. w którym Robert wezwał ich do pomocy w celu zamordowania Nory.

— Otóż i oni — szepnął Blanc.

— Dalej do dzieła — odrzekł Miret.

Alfons i Lola usiedli do najbliżej stojącej dorózki i przeszli obok agentów, nie poznając ich wcale i nie przeczuwając, jakich mają w nich wrogów.

Blanc pobiegł za nimi i usłyszał, że kazali się wieść do Vincennes.

— Opatrzność łaskawa na nas — rzekł do swego towarzysza — wyjeżdżają na wieś i nie wrócą tak prędko.

— Więc dalej!

— No, no, tak nagle nie można się do tego zabierać, za wiele ludzi na schodach. Idźmy najpierw na śniadanie, za godzinę wrócimy a potem zobaczymy!

Z uderzeniem jedenastej byli znów na miejscu, weszli spokojnie na trzecie piętro i udali się wprost do biura stręczeń.

— Zanotuję panów — rzekł urzędnik — i doniosę wam gdy miejsca będą wolne.

Agenci podziękowali, zapłacili trzy franki i korzystając z tego, że chwilowo nikogo na schodach nie było, stanęli jednym skokiem przed drzwiami mieszkania Loli. Miret wyjął podrobiony klucz, i minutę później znaleźli się obydwaj w saloniku młodej dziewczyny.

Rozdział 2.

— No nareszcie! — zawołał Blanc.

— Tak, ale bądźmy ostrożni — odrzekł Miret. — Ściany są tu cienkie i nie można jednak wiedzieć, czy nas kto nie widział wchodzących tutaj.

— Wątpię!

Salonik urządzony był wspaniale, ale bez najmniejszego gustu. Widać było, że meble kupowano bez wyboru i zrozumienia i że pyłu nikt tu nie ścierał.

— Patrz, jaki kosztowny kobierzec — rzekł Blanc. — Jakie zbytki! Ile oni już musieli zmarnować pieniędzy!

— Tak, najwyższy czas, abyśmy zapobiegli temu — mruknął Miret, i zabrał się do otwierania wytrychami wszystkich szaf, stolików i komód. Blanc przeszukiwał tymczasem te szuflady, które nie były zamknięte.

W wielkiej szafie, pełnej koronkowych negliżyków i jedwabnej bielizny nie znaleziono pieniędzy, ani w obydwóch komodach, stojących w sypialnym pokoju. W szufladzie biurka znajdowała się teka i już krzyknęli z radości, że mają „skarb", gdy tymczasem okazało się, że były tam tylko gazety i wycinki z żurnali, żadnej nie mającej wartości.

— O, złodzieje! — krzyknął Blanc rozgniewany. — Gdzie oni te pieniądze schowali!

Miret nic nie odpowiedział. Znalazł on w tece jakiś papier i czytał go z wielką uwagą.

— Co tam masz? — zapytał Blanc.

— Coś nadzwyczajnego!

— Cóż takiego?

— Kopią testamentu, dla którego musieliśmy szukać Loli Verdier.

— Doprawdy?

— Dziwne zawiera on rozporządzenie! Lola otrzymała rzeczywiście sto tysięcy franków.

— Wiemy o tem i szukamy ich niestety, daremnie!

— Tak, ale mogłaby dostać jeszcze miliony!

— Jakto?

— Słuchaj!

I Miret drżącym z wzruszenia głosem przeczytał owe paragrafy z testamentu hrabiego Garrela, podług których Lola miała odziedziczyć cały majątek jego w razie śmierci Nory, lub milion franków, gdyby Nora została bezdzietną wdową i nie zawarła powtórnego małżeństwa w przeciągu dwóch lat.

— Hrabia Garel musiał być skończonym dziwakiem — zawołał Blanc — ale nas to nic nie obchodzi. Gorzej, że nie możemy znaleść pieniędzy. Gdzie oni je schowali? Rzuć głupi testament i pomóż mi szukać dalej!

— Szukaj sam — zdejmij zwierciadła i obrazy, a ja tymczasem odpiszę sobie ten testament.

— Na co?

— Schowam go sobie na pamiątkę. Lubię takie oryginalne dokumenty — odrzekł Miret.

— Głupstwo, pieniądze ważniejsze!

— Potrzebuję na to tylko kilka minut czasu — odrzekł Miret, i wyjąwszy z kieszeni ołówek i kawałek papieru, wypisał najważniejsze ustępy z testamentu. Potem włożył dokument w tekę, schował ją do szuflady, i pomógł szukać towarzyszowi upragnionego skarbu.

Ale wszelkie ich usiłowania były daremne. Przerzucili wszystko, poprzewracali sprzęty, powyrzucali rzeczy z szaf i komód i nie znaleźli ani grosza.

— Okradziono nas! — krzyknął Blanc gwałtownie, zapominając wszelkiej ostrożności.

— Nie do uwierzenia! — krzyknął Miret. — Przejrzeliśmy też już wszystko w kuchni?

— W kuchni przecież nikt pieniędzy nie chowa!

— Nic nie szkodzi, idźmy tam raz jeszcze.

Blanc stłukł kilka garnków i szklanek, Miret odstawił każdy sprzęt, ale pieniędzy nie było ani śladu.

— Nie ma czego szukać — westchnął Blanc. — Ponieśliśmy straszną klęskę, i najgorsze, że odwiedzin naszych nie możemy tu powtórzyć.

— Uciekajmy teraz czemprędzej! Siedzimy tu już kilka godzin i oni mogą każdej chwili powrócić. Spostrzegą że tu był ktoś — i pójdą na policyą. Poukładajmy trochę rzeczy!

Miret zebrał rozrzucone ubrania i bieliznę i wrzucił wszystko do pierwszej lepszej szafy, poczem wyszli obydwaj i starannie drzwi za sobą zamknęli.

Nikt ich i tym razem nie widział.

Rozdział 3.

Alfons i Lola,pożegnawszy się z Robertem przy moście, spieszyli do Creteil, aby zdążyć na tramwaj, jadący do Paryża, lecz spóźnili się znacznie. Tramwaj odjechał przed dziesięciu minutami.

Było to dla nich rzeczą bardzo nieprzyjemną, pragnęli bowiem opuścić jaknajprędzej to miejsce, na którem pomogli Robertowi w wykonaniu strasznej zbrodni. Chcieli uniknąć

wszelkiego podejrzenia, a przytem nie przyzwyczajeni jeszcze do złego, byli tak zdenerwowani, że ledwie się na nogach trzymali. Lola mianowicie była niomal nieprzytomna. Potwory takie, jakim był Robert Martin, są na szczęście wyjątkami — na tysiąc ludzi zdarzy się ledwie jeden, który w tym wieku zdolny jest da popełnienia podobnej zbrodni, i to z tak zimnem wyrachowaniem. Straszliwy ten chłopak nie czuł ani obawy ani wyrzutów sumienia, jedynem uczuciem do jakiego serce jego było zdolne — była radość z powodu udania się jego planu i bezwiedna miłość dla Loli.

Chęć dostarczenia jej owych milionów i popisania się swoją zręcznością popychała go do złego, nie przestawał też szydzić z Alfonsa, który wahał się chwilami i drżał z strachu na myśl, że chodzi tu o życie niewinnej dziewczyny.

Lola stawała się natomiast coraz to odważniejszą. Zazdrość i pragnienie złota przytłumiły w jej sercu wszelkie szlachetniejsze uczucia i z rozkoszą myślała o śmierci nienawistnej sobie siostry. Wychowana w innych warunkach, otoczona miłością rodziny i dostatkiem, byłaby się stała może zupełnie inną — szlachetną i dobrą dziewczyną, dziś jednak znajdowała się na bardzo pochyłej drodze, z której wrócić się już nie chciała i nie mogła.

— Cóż teraz z nami będzie? — spytała Alfonsa. — Pociąg odjechał! Co robić?

— Nie wiem!

— Tu pozostać nie możemy! Boję się!

— Ja wolałbym także wrócić do Paryża!

— Ale jak? Iść pieszo?

— Innej rady nie wiem. Musimy być w domu!

W głosie Alfonsa drżał także strach tajony.

— Ale ja jestem okropnie zmęczona! nie mogę iść dalej.

— Staraj się przynajmniej dojść do Chareuton, może tam znajdziemy jaki powóz. Ztamtąd zresztą nie daleko do Paryża.

Szli oboje w milczeniu, jedną zajęci myślą. Co chwilę powtarzali sobie w duszy: — teraz ona wchodzi na most i wpada w rzekę! — a niepewność ta dręczyła ich strasznie. Wkrótce doszli do tego miejsca, gdzie Lola stała na straży; oczy ich zwróciły się mimowoli na brzeg przeciwległy, lecz nie ujrzeli nic......

Lola oparła się mocniej na ramieniu Alfonsa i szli dalej.....

— Czy ona pójdzie? — szepnęła nagle Lola. Nie wiedziała sama jednak w tej chwili, czy pytanie to oznaczało nadzieję, czy obawę.

— Ja myślę, że pójdzie, — odrzekł Alfons. — Czemu...

Lecz nie dokończył — przerażający krzyk rozległ się po drugiej stronie rzeki, potem plusk wody, i potem znowu głęboka zapanowała cisza......

— Stało się, — rzekł Alfons drżącym głosem, mamy miliony! Bądźmy silnymi w tej chwili stanowczej! Pójdź!

— Nie mogę! Nie mogę się ruszyć z miejsca, — jękła Lola.

Alfons w niezmiernym znajdował się kłopocie. Lola obejmowała gorączkowo jego ramię i nie chciała iść dalej, a on przecież musiał być tej nocy w Paryżu, aby w danym razie mieć potrzebne alibi.

Ale szczęście sprzyjało mu i tym razem. Nie minęło bowiem kilka minut, a w dali ukazały się dwie latarnie i wnet turkot zbliżającego się powozu przerwał okropną ciszę.

Była to próżna dorożka.

— Czekaj, czekaj! — zawołał Alfons. — Chcecie nas zawieść do Paryża?

— Bardzo chętnie, — odrzekł dorożkarz. — Za pięć franków!

Alfons zapłacił natychmiast i około pierwszej w nocy stanęli przed domem, w którym mieszkała Lola.

— Odprowadź mnie, — szepnęła dziewczyna, — schody ciemne — boję się......

Alfons niechętnie na to przystał — lękał się pytań odźwiernego, który słusznie mógłby się dziwić, czemu Lola tak późno wraca do domu, ale nie chciał odmawiać narzeczonej, tem więcej, że i on lękał się samotności.

— Dobrze, — rzekł po chwili namysłu, — i jeżeli chcesz, zostanę u ciebie jeszcze z pół godziny. Napijemy się razem punczu. Masz jeszcze trochę araku?

— O tak!

Odźwierny otworzył im drzwi i nie pytając o nic, wpuścił ich do sieni, a gdy nareszcie stanęli w mieszkaniu Loli, rzucił się Alfons z westchnieniem ulgi na kanapę i patrzał na Lolę, krzątającą się około maszynki spirytusowej w celu przygotowania punczu. Nagle jednak spojrzał przypadkiem na stojący w kącie saloniku stolik i krzyknął.

— Patrz, Lola, patrz!

— Co się stało? — spytała dziewczyna przestraczona.

— Co się stało? — Spojrzyj tam — i tam — i na szafę...

Lola pobiegła do szafy i otworzyła ją szeroko.

— Tu byli złodzieje! — krzyknęła.

Potem rzuciła się jak szalona do kominka i odszrubowała szybko drzwiczki.

— Dzięki Bogu! — szepnęła. — Nie znaleźli pieniędzy!

I drżącemi rękami wyjęła z popiołu małą żelazną szkatułkę, w której złoto i banknoty w największym leżały porządku.

Pomimo wszelkiej przebiegłości nie wpadli agenci na myśl, aby ktoś mógł pieniądze w popiele ukrywać.

— Najważniejsza rzecz ocalona! — rzekł Alfons uspokojony widokiem złota. — Czy tylko czego innego nie zabrali?

— Wątpię!

I przekonali się zaraz, że wszystko było, wprawdzie porozrzucane, lecz, że nie brakło żadnego przedmiotu.

— Dziwni jacyś złodzieje, — zauważył Alfons. — Szukali widocznie tylko pieniędzy! Są to zatem ludzie, którzy wiedzą, że otrzymałaś sukcesyą.

— Tak, to rzecz zupełnie jasna.

— Ciekawy jestem, kto o tem wie tak dokładnie? Trzeba oddać tę sprawę prokuratorowi — wtedy dowiemy się o wszystkiem.

— Ty chcesz iść do prokuratora? Czyś oszalał? Chcesz teraz właśnie zwracać jego uwagę na nas?

— Masz słuszność, byłoby to nieostrożnie. Im mniej policya się nami zajmuje, tem lepiej.

Po wypiciu punczu pożegnał Alfons narzeczoną, i udał się do swego mieszkania na sąsiedniej ulicy, pomimo jednak późnej godziny i niezmiernego zmęczenia, nie mógł przez resztę nocy ani oka zmrużyć. I już około dziewiątej był znowu u Loli.

— Spałaś dobrze? — zapytał, patrząc uważnie na jej twarz, bladą i znużoną.

— Wcale nie! Usnęłam na chwilkę, ale miałam taki sen okropny, że obudziłam się zaraz, i potem już ani mowy nie było o spaniu. A ty?

— I ja usnąć nie mogłem! Dziwna rzecz — zwykle śpię doskonale!

Lola nakrywała właśnie do śniadania, gdy nagle dał się słyszeć głośny ton dzwonka.

— Kto to być może? — zawołali równocześnie, przestraszeni.

Dzwonek odezwał się po raz drugi i trzeci.

— To Robert! — rzekła Lola uspokojona. — Otwóż mu!

Młody złoczyńca wszedł uśmiechnięty i rozpromieniony, chociaż twarz jego była bladą i oczy podsinione.

— No i cóż? — szepnął Alfons.

— Sprawa załatwiona, — odpowiedział z strasznym uśmiechem Robert.

— Słyszeliśmy krzyk..... Kto właściwie wołał o pomoc? Ona czy też jej przyjaciółka, która szła z nią razem?

— Nie wiem — nie czekałem dłużej — gdy usłyszałem pierwszy krzyk, uciekłem, ile mi sił starczyło, — odrzekł Robert.

— Może pobiegła po ludzi na pomoc, — odezwała się Lola, która we dnie zawsze była odważniejszą niż wieczorem.

— Może być. W każdym razie w nocy nikt jej ratować nie mógł. Słyszałem wyraźnie szelest spadającego ciała w wodę. Miliony panny Garrel do nas teraz należą, trzeba nam tylko zachować jak największą ostrożność!

— Więc co mamy robić?

— Nic! Jeżeli panna Garrel nie żyje, o czem podług wszelkiego prawdopodobieństwa wątpić nie można, to notaryusz sam musi się zająć wykonaniem rozporządzeń, umieszczonych w testamencie. Trzeba spokojnie tego odczekać.

— Byleby to długo nie trwało!

— Ej, nie! Najwyżej kilka tygodni!

I Robert z uśmiechem zatarł ręce.

Chociaż Lola główną była sprężyną w popełnieniu tej zbrodni, to chłopak ten wzbudzał w niej prawdziwy wstręt. Najchętniej byłaby pragnęła oddalić od siebie na zawsze to narzędzie, którem się posługiwała, ale musiała by się zrzec owoców jego zbrodni, a o tem przecież ani mowy być nie mogło.

Z tego powodu i poprostu z strachu przed tym potworem, starała się jednak przytłumić swoją odrazę i być uprzejmą dla niego. I ona i Alfons byli teraz w rękach tego zbrodniarza, który zdawał się mieć nerwy z żelaza i serce z kamienia.

Na Alfonsa wywierał młodszy brat jeszcze gorszy wpływ. Wstydził się być mniej cynicznym i mniej zepsutym niż on, i zmuszał sam siebie do tego, aby go w złem przewyższyć!

— Wkrótce będą o tem donosiły wszystkie gazety, — rzekł z szyderczym uśmiechem. — Córka hrabiego, dziedziczka milionów znajdująca śmierć w nocy w falach rzeki — jakiż to zajmujący temat dla reporterów. Czekajmy, w jaki sposób nam tę rzecz przedstawią i postępujmy stosownie do tego!

— Jesteście pewni, że nikt nas o to podejrzywać nie będzie? — spytała Lola.

— Naturalnie! Panna Garrel wyszła w nocy potajemnie z klasztoru, żeby się pożegnać z swoim ukochanym i weszła na most, który się załamał. Rzecz naturalna, że wpadła we wodę i utopiła się. Możemy dla tego spać spokojnie, ale teraz chciałbym co zjeść, bo głód na dobre zaczyna mi dokuczać!

— Może byłoby lepiej, gdybyśmy się wszyscy na pewien czas przenieśli na wieś, — rzekła Lola. — Pozbylibyśmy się tych okropnych myśli......

— Zdaje mi się, że moja przyszła pani bratowa czuje wyrzuty sumienia, — roześmiał się Robert złośliwie.

— Nie, nie, ale nie każdy posiada takie nerwy jak ty, mój chłopcze, — odparła Lola, przezwyciężając swój wstręt i gładząc go po twarzy.

Robert drżał z radości. Nie przeczuwał on wcale, jaką odrazę wzbudzał w Loli i był dumny z swoich czynów i jej uznania.

I godzinę później pojechali rzeczywiście koleją do Malun.

ROZDZIAŁ 4.

W chwili zapadnięcia się mostu dały się słyszeć nie jeden, lecz dwa okrzyki, Robert wszakże już dwóch następnych nie słyszał.

Zbrodniarz, chociaż najgorszy, czuje pewne wzruszenie, gdy popełnia zbrodnią, i wskutek tego wzruszenia postępuje sobie czasem z niezręcznością, niezgodną wcale z zwykłą przebiegłością i przytomnością umysłu. Robert uczuł się także w stanowczej chwili dziwnie wzruszonym i dla tego nie słyszał nic, oprócz przerażającego okrzyku trwogi i rozpaczy biednej Nory. Drugi krzyk wydała Helenka, która idąc za Norą, ujrzała rozsuwające się deski i instynktownie cofnęła się szybko. W tejże chwili znikła Nora pod wodą.

Wszystko to stało się tak prędko, że Helenka stała przez chwilę jak nieprzytomna, pojmując to jedno tylko, że Nora utopiła się.

— Noro! Noro! jękła, pochylając się nad wodą.

Ale nikt jej nie odpowiadał.

Wtedy, zamiast wołać o pomoc i ratować ukochaną przyjaciółkę, straciła przytomność do tego stopnia, że zaczęła uciekać, sama nie wiedząc dokąd. Lecz wiedziona instynktem stanęła wkrótce przed drzwiami w murze klasztornym, przez które wyszła niedawno z Norą, i tu dopiero odzyskała świadomość tego, co się stało. Nora nie żyła, musiała zatem myśleć teraz jedynie o tem, aby nie zwrócić na siebie żadnego podejrzenia. Wyjęła z kieszeni klucz, otworzyła drzwi, zamknęła je znowu, przeszła przez ogród i przybywszy do swej sypialni, upadła zemdlona na ziemię.

I późno było a raczej wcześnie, bo słońce już wschodziło, gdy otworzyła oczy. Patrzała w około siebie, nie wiedząc, czemu leży na ziemi. zwolna dopiero przypomniało jej się wszystko. Głośno płacząc, załamała ręce.

— Noro- Noro! — szeptała, — czemu ja cię opuściłam! Zamiast cię ratować, uciekłam! O jakże jestem podłą i niegodziwą!

Ale ani łzy jej, ani wyrzuty sumienia niczego teraz już zmienić nie mogły.

ROZDZIAŁ 5.

Syn ogrodowego umierał, i gdy Lucyan do niego przyszedł, poznał natychmiast, że nie ma nadziei ocalenia go. Śmierć mogła nastąpić każdej chwili.

Pomimo to zapisał lekarstwo na uśmierzenie boleści, posłał po nie do apteki i postanowił pozostać przy chorym aż do końca. Sam okładał ranę zimną wodą i usiłował wlać w usta nieszczęśliwemu lekarstwo, ale przez silnie zaciśnięte zęby ani jednej kropli dać mu nie zdołał. Ciało Andrzeja wyprężyło się w strasznych kurczach, a rodzice jego płakali głośno, błagając Lucyana na wszystko w świecie, aby im syna ratował. Kurcze tymczasem powtarzały się coraz to więcej i po upływie dwóch godzin skonał biedny chłopak w najokropniejszych męczarniach.

Matka rzucała się jak szalona w swej rozpaczy, podczas kiedy ojciec stał niemy, jak skamieniały i nawpół błędnemi oczami patrzał na zwłoki jedynego syna.

— Niech wam Bóg doda odwagi do zniesienia tego ciosu, — rzekł Lucyan głęboko wzruszony, i uścisnąwszy rękę nieszczęśliwemu ojcu, wyszedł z domu żałoby.

— Odprowadzę pana doktora — odezwał się tuż za nim głos mularza Piotra, który właśnie chciał odwiedzić Andrzeja. — Zmarłemu nic już pomódz nie mogę, a noc taka ciemna, że pan doktór mógłby drogę zmylić.

— Dziękuję wam bardzo — odrzekł Lucyan — i chętnie pójdę z wami. Idźmy przez most, to zdaje się najbliższą jest drogą.

Z początku szli w milczeniu, lecz gdy zegar na kościele dwunastą wydzwonił, szepnął Piotr z westchnieniem:

— Otóż i północ! A Andrzej taki młody nie ujrzy jutro wschodzącego słońca.

— Tak — odpowiedział Lucyan — śmierć szybko przychodzi i zabiera zwykle tych, którzy jej nie wzywają. Omija zaś tych, którym byłaby pożądaną.

Lucyan myślał w tej chwili o sobie, o swojem wymarzonem i zniweczonem szczęściu i zazdrościł nieomal zmarłemu. Chociaż biedny chłopak cierpiał okrutnie, to jednak teraz miał spokój w grobie, podczas kiedy dla niego rozpoczynało się dopiero życie, pełne udręczeń i trosk. Zatopiony w smutnych myślach szedł dalej, milcząc, gdy nagle rozległ się w powietrzu przerażający krzyk śmiertelnej trwogi...

Lucyan zadrżał i sanął.

— Co to było? — zawołał Piotr wystraszony.

— Ktoś wołał „ratunku" — odrzekł Lucyan nasłuchując. Zdawało mu się, że głos wołający o pomoc nie był mu obcym, nie wiedział jednak na razie, gdzie go już słyszał.

— Ten krzyk pochodził od strony drewnianego mostu — zauważył Piotr.

— Albo tam kogoś zamordowano, albo ktoś wpadł w wodę — rzekł Lucyan. — Spieszmy, może zdążymy jeszcze ocalić ofiarę.

I nie czekając na odpowiedź Piotra, pobiegł naprzód. Piotr spieszył za nim.

— Ależ most zniknął! — zawołał nagle mularz, zatrzymując się. — Patrz pan, deski płyną tam i belki... Co to znaczy?

— Most załamał się pewnie pod ciężarem przechodzącego człowieka, który wpadł przy tej sposobności w wodę! Słyszycie?

— Cóż takiego?

— Tam ktoś walczy z falami rzeki, ot tam...

W tejże chwili wypłynął księżyc z za chmur i przy jego bladem świetle można było poznać wyraźnie jakąś postać ludzką, trzymającą się belki. Równocześnie dał się słyszeć cichy, przytłumiony jęk.

— Tam leży jakiś człowiek — zawołał Lucyan i rzucił się bez namysłu w wodę. Umiejąc doskonale pływać, dostał się w przeciągu kilku minut do miejsca, gdzie widać było ową postać ludzką i zaraz też uchwycił ręce, obejmujące kurczowo belkę.

— To kobieta! — krzyknął — Piotrze, na pomoc!

(Ciąg dalszy nastąpi).

DZIAŁ ILLUSTROWANY.



Książę Witold przysięga zemstę Krzyżakom po zburzeniu przez tychże Kowna.

Z ojczystych stron.

Kowno.

I.

Kowno, po litewsku Kaunas, jedno z najdawniejszych miast Litwy, leży u zbiegu Wilii z Niemnem. „Skądkolwiek się przyjeżdża do Kowna (pisze „Starożytna Polska'') wszędzie jego wieże i mury błyszczą niemal u stóp podróżnego, wszystkie obudzają w nim ciekawość zbadania ich odległej przeszłości''. A przeszłość ta rzeczywiście sięga lat dawnych, gdyż jak wiemy z kronik, za rządów Gedymina, rycerze pruscy wycieczki swe aż pod Kowno posuwali, podobno nawet zamek zdobyli w r. 1317 (tak twierdzi Stryjkowski). Za Olgierda i Kiejstuta Kowno zaczyna mieć większe znaczenie w dziejach Litwy i staje się prawdziwem jej przedmurzem od drapieżności krzyżackiej.

W roku 1362 Winrich Kniprode w. mistrz zakonu, uprzedzając Kiejstuta, który się na Prusy wybierał, przybył z wielkiem wojskiem pod zamek kowieński i pomimo dzielnej obrony Wojdata, syna Kiejstuta, dowódcy załogi, bierze zamek szturmem i warownię z ziemią zrównać każe. Po trzech latach jednak, odbudowali zamek Litwini, tak że w r. 1375, mógł on się oprzeć powtórnemu napadowi Winricha. Zdaje się jednak, że w wojnie z Jagiełłą w r. 1383 znów zburzony został, bo w następnym roku, Krzyżacy spławiwszy Niemnem materyały i rzemieślników, na zwaliskach dawnej warowni — wznieśli nową. Ten to jest zamek, którego do dziś dnia, gruzy przechowane zostały. Kronikarze pruscy utrzymują, że 10,000 ludzi i kilkanaście tysięcy koni, pracowało około zbudowania tej twierdzy w ciągu sześciu niedziel. Kamienie, wapno i drzewo, zwożono z prawego brzegu Niemna, bo na lewym — wojska litewskie broniły przystępu, sam w. mistrz, Konrad Zolner, pilnował robót. W tej warowni osiadł komtur krzyżacki z liczną załogą we wszystko zaopatrzoną.



Ratusz w Kownie.

W następnym roku, Witowt*) pogodził się potajemnie z Jagiełłą i chciał znienacka napaść na zamek kowieński. Sam od Jurborga leciał ze swą jazdą a Niemnem wysłał statki, niby towarem naładowane, i one pewnego dnia o świcie, podpłynęły pod Kowno. Komtur pierwszy je dostrzegł z wieży i nie widząc na nich nikogo prócz sterników, rozpytywać się zaczął innych rycerzy, co to być może?

Raptem ujrzano dwóch rybaków w łodziach, przemykających się pod murami; gdy na zawołanie nie odpowiadali, puszczono się za nimi w pogoń. Jeden z nich pojmany wyznał, że statki napełnione są zbrojnymi ludźmi gotowymi do ataku. Ostrzeżeni teraz Niemcy, nie dopuścili do spełnienia się zamiarów Witowta. Wówczas Jagiełło, już wspólnie z bratem postanowił zdobyć Kowno. Po całomiesięcznem oblężeniu, Litwinom udało się zrobić wyłom w murze zamkowym.

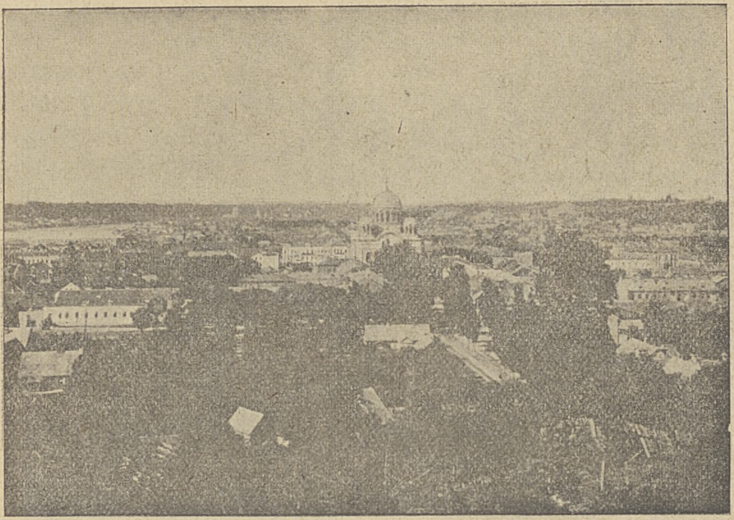
Krzyżacy bronią się dzielnie, ale Litwini napastują wciąż i odcinają oblężonych od brzegów Willi. Niemcy zupełnie upadali na duchu, oczekiwali już tylko ostatniej zguby. Raptem, pewnego ranka, na górach prawego brzegu Niemna, ukazuje się chorągiew zakonna św. Jerzego, okrzyki radości rozległy się na basztach zamku.

Konrad Wallenrod, marszałek zakonu, przybywał na pomoc. Z początku udało się Krzyżakom porozumieć z oblężonymi i przesłać im trochę żywności. Ale 25-go października r. 1384 Jagiełło z Witowtem kazali szturm do zamku przypuścić. Wallenrod nie miał dostatecznej siły, by przełamać Litwinów, toczył z nimi walki w dolinie, ale musiał patrzeć bezradnie, jak wojska

*) Witold.

litewskie coraz dalej wdzierały się na szańce.

Komtur bronił się dzielnie, sam stał na wałach, chorągwią dawał umówione znaki Wallenrodowi; tam go też dosięgła kula z działa litewskiego wypuszczona i urwała mu głowę. Załoga widząc to, upadła zupełnie na duchu,



Kowno. Widok ógólny.

nie pomogły usiłowania vice-komtura, najlepsi rycerze zakonni już polegli, więc reszta schroniła się do odosobnionej wieży. A gdy i na górach znikła chorągiew zakonna, bo Wallenrod, widząc rozpaczliwe położenie i obawiając się pogoni — cofnął się pośpiesznie — Krzyżacy w zamku pozostali — zdali się na łaskę litewskiego wojska. Tak więc vice-komtur z kilkunastu rycerzami dostał się do niewoli.

Później, gdy Witowt znów przeszedł na stronę zakonu, Kowno w jego rękach mocniejszą twierdzą się stało. Pod jego murami Konrad Wallenrod w r. 1391 roztoczył wielki obóz i wyprawił tu sławną ucztę dla gości zagranicznych.

W tymże roku Jagiełło wysłał z Krakowa Henryka ks. Mazowieckiego do mieszkającego w Kownie Witowta, by ten się z królem pogodził. Poselstwo się udało, gdyż na wiosnę r. 1392 Witowt niespodzianie zamek kowieński opanował i załogę krzyżacką wziął do niewoli. Okazuje się jednak, że ta wielka twierdza znów zburzoną została, bo gdy w r. 1394 w. mistrz Konrad Jungingen wybrał się z Swidrygiejłą na zawojowanie Litwy, zastał twierdzę w ruinach, a miasto opuszczone. Krzyżacy wówczas naprędce zamek naprawili. Później Kowno zabezpieczone zostało od napaści Krzyżaków, których potęga od początku XV. w. upadać zaczęła. Tu Witowt w r. 1396 podpisał zawieszenie broni z Krzyżakami. A gdy po późniejszym traktacie w Grodnie zawartym, w r. 1398 Krzyżacy stali się panami Żmudzi i granica ich dochodziła prawie murów starego Kowna Witowt po nowej kłótni z Zakonem o Żmudź, zaczął obwarowywać coraz więcej zamek; miasto Kowno i wały wielkiemi działami osadził. Później zdawało mu się, że warownia kowieńska bardziej szkodliwą, niż pożyteczną być może w czasie wojny, więc za pierwszem ukazaniem się nieprzyjaciół, kazał ją opuścić i spalić. Tak się też i stało. Gdy ukazały się na Niemnie statki krzyżackie, dowódca zamku, baszty prochem wysadził, zamek spalił i z załogą udał się w góry.

Odtąd Kowno straciło wartość swą jako punkt strategiczny, ale stało się miejscem, gdzie wszystkie umowy z Zakonem były przeprowadzone.



Kościół katedralny w Kownie.

Tu w r. 1404 Witowt zjechał się z w. mistrzem krzyżackim i zatwierdził panowanie jego na Żmudzi.

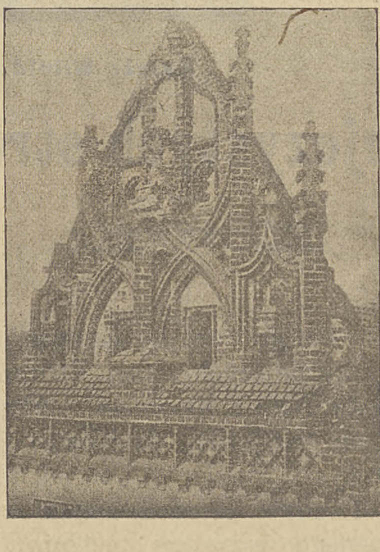
Po zwycięstwie pod Grunwaldem i po traktacie toruńskim, cesarz Zygmunt, jako rozjemca do rozpoznania sporów o granicę między Polską a Litwą i innych zatargów z Prusami, wysłał do Kowna swego posła i ten w r. 1413 sporządził ważny dla dziejów Litwy akt, świadczący o sprzeciwianiu się z wielu stron, by Żmudź miała być zwrócona Zakonowi po śmierci Jagiełły i Witowta. Z Kowna również w tymże roku wybrał się Jagiełło z Witowtem na Żmudź, aby nawracać jej mieszkańców na wiarę Chrystusa.

Za długich rządów Witowta Kowno otrzymało swobody municypalne niemieckie. Ślad tych pierwszych praw pisanych dla Kowna, pozostał dotąd w zniszczonem archiwum.

Kowno i pod względem handlowym niemałe miało znaczenie.

Już za Kiejstuta było ono pierwszym punktem na Litwie, skąd szły surowe płody krajowe i zostawały zamieniane na towary niemieckie i zamorskie.

Handel ten musiał mieć znaczenie i dla Europy, kiedy Anglicy już wówczas wchodzili z Litwą w stosunki handlowe. Witowt, bohater litewski, znając całą ważność Kowna, opiekował się niem gorliwie; on sprowadził z Krymu Tatarów i Karaitów, którym pewne przywileje nadał; do jego czasów domy w mieście, a między niemi i tę



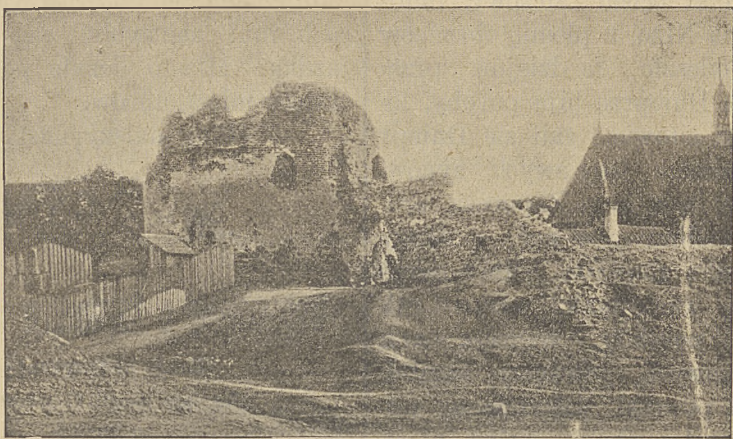
Fronton budowli gotyckiej w Kownie, zwanej „Świątynią Perkuna“.

budowę gotycką, przy ulicy do Niemna wiodącej, w stylu XV. czy XVI. wieku z czerwonej cegły wymurowaną, która dziś jeszcze stoi i niewłaściwie poczytywaną jest za świątynię Perkuna. Nawet zamek tyle razy burzony i odbudowywany, Witowt ostatecznie naprawił i uczynił go mieszkalnym i obronnym.

Po zgonie Witowta, gdy władza najwyższa obu narodów w jednej osobie Kazimierza Jagiellończyka złączyła się, swobody municypalne Kowna wzrosły. Wszyscy Jagiellonowie opiekowali się Kownem, nadając mu nowe przywileje, dbając o wzrost i dobrobyt miasta. Zygmunt August, usilujący wszystkie miasta w Koronie i Litwie podnosić i usamawalniać opiekował się serdecznie handlem kowieńskim; zamek tylko pozostał w opuszczeniu, bo już oddawna Kowno znaczenie swoje wojenne utraciło.

Lustracya w r. 1570 uczyniona, nadmienia, że „zamek kowieński pod-

mywany był przez rzekę Wilję, a w zamku budowania żadnego nie było, tylko mury stały około, a nad nimi pobicia żądnego.'' Musiały więc być inne w mieście pomieszczenia, skoro przebywać mógł w Kownie Zygmunt August z całym dworem, i przyjmować wspaniale Jana księcia Finlandyi. O tem zdarzeniu tak w swej kronice opisuje Łukasz Górnicki.



Ruiny zamku królowej Bony.

„Roku 1562 na początku jesieni, przyjechało książę Finlandzkie brat króla Szwedzkiego, Eryka, do Kowna, którego Zygmunt August kazał tam zadzierzeć, a sam rychło potym do niego jechał. Gdzie książę Jan ukazał list jakiś z kancelaryi, który mu dał nadzieję, że nie próżno miał się starać o królewnę Polską Katarzynę. Król tak go odprawił, że to są rzeczy wielkie, a bez rady senatorów nie tylko tak rzeczy ważnych, ale i daleko lżejszych, król nie zwykł zaczynać ani stanowić: a jeszcze żeby młodsza przed starszą daną być miała to być nie może. Którą odprawę on wdzięcznie przyjąwszy, z wielką pokorą i usiłowaniem króla prosił, żeby, acz nie to, wolno mu było Wilno oglądać (gdzie mieszkały wówczas obie królewny) uczyniwszy tak daleką i niebezpieczną drogę: czego mu król pozwolił.''

Za Stefana Batorego ewangelicy wznieśli sobie w Kownie zbór. W r. 1584 różnowiercy mieli tu prasy drukarskie; w tej epoce Kowno miało wygląd europejskiego miasta. Rozmaici rzemieślnicy i kupcy osiadali tu i budowali ładne murowane domy, szlachta również chętnie garnęła się do czystego ładnego miasta.

Henryk Walezyusz, w swem potwierdzeniu praw i przywilejów kowieńskich, w r. 1574 nazywa to miasto zaszczytem rzeczypospolitej. Sami królowie przyczyniali się niemało do rozrostu pomyślności Kowna, nakazując, jak Zygmunt III. w 1609, by kupcy zagraniczni tylko w Kownie załatwiali swe sprawy. W r. 1521 Aleksander Masalski, marszałek kowieński, dla zgromadzenia Dominikanów wymurował klasztor i kościół św. Trójcy. Nad Niemnem i Wilją pobudowano ogromne spichrze, a faktorye: holenderska, angielska, pruska, i szwedzka podobno i wenecka osiadły w kamienicach umyślnie na ten cel wymurowanych, które zwano mennicami. — Ślad ich dotąd pozostał.

Główna komora celna również w Kownie ustanowiona była. Tak więc pod Jagiellonami i pod berłem Wazów Kowno do coraz większej dochodziło świetności. Za Władysława IV. zostało ono, składowem miastem całego handlu litewskiego.

Od połowy w. XVII i pod względem duchowym znaczny widzimy postęp. Albert Kojałowicz, znakomity dziejopisarz litewski, wystarał się o sprowadzenie Jezuitów i oni kościołem swym i kolegium ozdobili miasto. Później, Benedyktynki uposażone przez Jędrzeja Szkorulskiego, marszałka kowieńskiego, osiadły również w tem mieście.

Przyszła burza wojenna i zniszczyła jednym zamachem wszystkie nadzieje i przyszłość. Wojska nieprzyjacielskie opanowały Kowno w r. 1655, zrabowały go i wyludniły miasto, od razu do ubóstwa przyszło. Jan Kazimierz, starał się o zagojenie ran najazdem nieprzyjaciół spowodowanych, a Jan III, przywilejem z r. 1675 potwierdził dawne swobody i pomnożył je nowemi prerogatywami. Zabronił żydom mieszkać i handlować w Kownie, a zagranicznym kupcom tylko tutaj tranzakcye handlowe pozwolił przeprowadzać.

Dzięki tej troskliwości królów, Kowno chociaż nie wróciło do dawnej świetności, zaczęło odbudowywać się i handel swój ożywiło. W r. 1690 założono tu nowy klasztor Bernardynek.

August II poszedł w ślady swych poprzedników i robił wszystko, by miastu pomódz do zupełnego podniesienia. Rochici około tego czasu, założyli szpital przy kościele św. Gertrudy, a Krzysztof i Anna z Zawiszów Szczyttowie, ufundowali tu kościół z klasztorem Karmelitów bosych w r. 1716-ym.

Nieszczęściem, całą tę pracę straszny pożar zniszczył do szczętu w r. 1731; z całego miasta zostało tylko kilkanaście domów z kościołem ewangielickim.

W ciągu panowania Augusta III, Kowno pozostawało w zupełnym upadku, i dopiero za Stanisława Augusta, dzięki rozumnym ustawom sejmu czteroletniego, mieszczanie kowieńscy do lepszego zaczęli przychodzić stanu. Odbudowano porządne kamienice i ratusz, król dał znaczną sumę na odrestaurowanie fary.

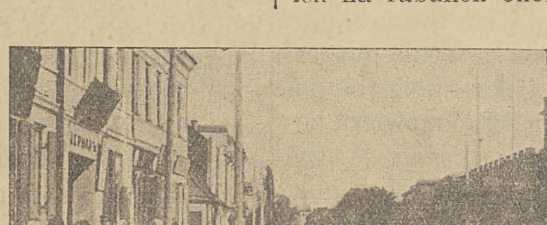
Emilia Węcławska.

Z dziejów Humania.

Napisał **Stanisław Tchorzewski.**

4) (Ciąg dalszy.)

Niedługo ciągnęło się panowanie Gonty i Żelezniaka. Uczty i wycieczki ich na rabunek okolic trwały do pierwszych dni sierpnia. W sierpniu tegoż roku 1768-go, Kreczetnikow, generał rosyjski, otacza obóz hajdamaków, spaja starszyznę i tłuszczę, wiążąc bezwładnych, poddanych rosyjskich zabiera ze sobą, resztę zaś, Koronie podwładnych, oddaje w ręce Ksawerego Branickiego, hetmana wielkiego koronnego, który w październiku przybywa w te strony. Branicki wysyła Gontę do wsi Serbów, koło Mohylowa nad



Kowno. Prospekt Mikołajewski.

Dniestrem, gdzie zdrajca-setnik surowo został ukarany.

Straszna egzekucya trwała dni dziesięć.

, Los Żelezniaka niewiadomy, prawdopodobnie uszedł kary.

Zaczął się okres wymierzania sprawiedliwości na postrach złoczyńców i zbuntowanego ludu, Stępkowski regimentarz oczyszczał nieszczęsną Ukrainę od band zbójeckich. Mało kto został w tym kraju. Na Wołoszczyznę i pod Moskwę, do Krymu i za Don ciągnęły sznurem tabory chłopstwa, o życia losy niepewnych. „Wydawał Stępkowskiemu syn ojca, ojciec syna, męża żona — pisze historyk. I dezolacya taka zrobiła się, że miałby, jak pierwiastkowo, same stepy dziedzic, a nie ludzi i wsie dobrze osiadłe, gdyby na Stępkowskiego nie użył był sejmu, na którym konstytucye amnestyi i darowanie wszystkich popełnień, bez wymawiania ich komu, wyrobił.“

Od zrujnowanego Humania, przez szereg miast splądrowanych, wznosiły się rzędy szubienic aż pod mury Lwowa... Winnych i podejrzanych zwożono do miasta Kodni, blizko Żytomierza, gdzie kat dopełniał egzekucyi; pokotem leciały bujne głowy do rowów głębokich, a oczekujący kolei kopali nowe doły dla drugich... Długo jeszcze chodzili po jarmarkach lub siadywali, wypraszając jałmużnę przy rozstajnych drogach, niektórzy z ukaranych buntowników. Dość było pozorów, żeby podejrzanego uwięzić; a wymierzenie sprawiedliwości strasznem było: ucinano na krzyż rękę, i nogę i wyleczonych, na postrach ludu puszczano.

Obdarzeni wolnością życia, wracali pomału w te strony dawniejsi mieszkańcy spustoszonej Ukrainy, uczestnicy grabieży i mordów. Wedle ówczesnych dziejopisów, tylko wsie, bezpośrednio pod rządem Mładanowicza zostające,były spokojne; „osadczy“ czyli ataman z Ositny w pobliżu Humania, dał tego dowód, ukrywając u siebie przez czas pewien nieszczęśliwe sieroty po Mładanowiczu.

Niezapomniany poeta ukraiński, Taras Szewczenko, żyjący w sercach synów Ukrainy, barwny przedstawił obraz tej zakrwawionej ziemi.

. . . .

Ponure i straszne karty nieszczęść dopełnia zaraza morowa wiosną r. 1769-go wybuchła; grasując od tureckiej granicy aż do Rusi Czerwonej, w przerażający sposób dziesiątkowała ludność Ukrainy. Kordon wojskowy, przez Potockiego wystawiony, zapobiega w części szerzeniu się zarazy, która za nastaniem zimy r. 1770-go ucichła.

Zmienia się od tego czasu postać kijowskiej Ukrainy: wiele rodzin szlacheckich przenosi się do innych okolic; Kozacy, hajdamactwo i Tatarzy znikają z krwawej widowni.

Katarzyna II. wysyła generała Tekeli, na czele 60 tysięcy wojsk dla zburzenia Siczy, i Zaporoże znika w r. 1775 z areny dziejowej.

Pękł wielki bęben siczowy, umilkły działa na Niżu, a plemię obrońców kresowych odeszło do dziejów przeszłości. Na Dnieprze biją porohy, lękliwie szumi sitowie, żali się Dniepr stary na zmienne losy swych synów. Grzmi żalem tym kraj Zaporoża, szumią leśnych olbrzymów konary, dyszy smutna pustka stepowa. Olbrzymieje skarga wód wściekłych, wzrasta ryk grzmiących porohów, wzmaga szum dębów wiekowych, potężnieje smutek stepowy. I powstał żal straszny sierocy, od mogił z ziemią zrównanych, od próchów kości zwietrzałych, od starych kurhanów dziejowych; wzrósł żal tak wielki, tak smutku ogromem brzemienny, że sięgnął swem skrzydłem złamanem pod stopy niebios gwiaździste...

* * *

Rok 1768-my, to ostatnia krwawa nawałnica w dziejach Humania; widnokrąg rozjaśnia się zwolna, pozwalając miastu na spokojny rozwój aż do dni naszych. Ale szczerby w ludziach nie prędko dały się zapełnić; nawet pod koniec XVIII-go stulecia Humań liczył ogółem tylko 1415 mieszkańców, z których 136-ciu ludzi przypada na chrześcian, reszta zaś, w liczbie 1279-ciu osób, składała się z żydów. W roku 1793-im, podczas drugiego podziału Polski, Humań, z zachodnią częścią Ukrainy, przechodzi pod panowanie rosyjskie. Na rok 1795-ty przypada założenie Zofiówki. W tym samym roku Humań zostaje miastem powiatowem. *) W roku 1831 zamknięto klasztor i szkoły Bazylianów; w budynkach poklasztornych obecnie sąd się mieści. Jako wspomnienie po istnieniu zakonu OO. Bazylianów, pozostał zaułek, obok murów sądowych, zwany „bazyliańskim.“ W tej części Humania spotykamy wielką ilość tunelów podziemnych.

W roku 1834-ym Humań i inne posiadłości Aleksandra Potockiego przeszły na własność rządu.

W roku 1839-ym Humań staje się głównem miastem pięciu okręgów kijowskiego i podolskiego „wojennawo posielenija“ (kolonie, czy też osady wojskowe). W tym czasie (w roku 1842) utworzono w Humaniu komitet budowlany; miasto otrzymało od rządu zapomogę w kwocie 15-stu tysięcy rubli. Powoli zaczyna wracać porządek i czystość i miasto prawie w oczach dźwiga się z gruzów. Bruki utrzymywano doskonale, posypywano je dwa razy dziennie żwirem; tylko obywatelstwo okoliczne i urzędnicy mieli prawo przejeżdżać po tak utrzymanych ulicach, inni zadowolić się musieli objazdką. Miasto liczyło podówczas 13 tysięcy mieszkańców.

(Ciąg dalszy nastąpi).

*) Według „nowej“ geografii W. Szczepańskiego z 1824-go roku, „Umań nad Umańką, ma 418 domów, 2518 mieszkańców.“

Wspomnienie o Kazimierzu Pułaskim.

(Szkic historyczny)

Napisał Karol Cieszewski.

XXVI.

Pierwsze próby zaborów.

Ogłoszenie interregni, nie zrobiło w Petersburgu wielkiego wrażenia. Imperatorowa się spodziewała, że król będzie przymuszony wyrzec się udawanej neutralności i bezwarunkowo poddać się jej rozkazowi — nie mało też liczyła na dobrze jej znaną słabość charakteru dawnego amanta.

Książę Wołkoński, bawiący podówczas w Warszawie, oświadczył tedy Poniatowskiemu w imieniu swej pani, że nadeszła chwila, gdzie sam o siebie starać się powinien. Na zaspokojenie zaś przysłał łaskawą pomoc Moskwy i względy carycy.

Powiernikiem królewskim był natenczas Branicki, ów bohater, stający tak śmiało do walki przeciw własnym braciom. Jego wyprawił Poniatowski z poselstwem do protektorki — a chcąc korzystać z korzystnego dla siebie, jak mniemał, położenia, postawił niektóre niewinne warunki.

Żądał najpierw odwołania księcia Wołkońskiego, którego osobiście nienawidził. Aby zaś broń Boże! nie myślano, że żąda usunięcia każdego plenipotenta moskiewskiego, prosił o przysłanie na jego miejsce Salderna.

Dwór moskiewski, chytry i zręczny, przyjął posła królewskiego z oznakami dystynkcyi i bardzo uprzejmie, „aczkolwiek imperatorowa nie taiła się przed Orłowami z uznaniem niedoskonałości własnego dzieła“.

Król tymczasem, pełen otuchy, bawił się doskonale w Warszawie, otoczony jak zwykle nikczemną zgrają dworaków, trefnisiów i pieczeniarzów. Podczas bowiem, gdy na polach walki krew polska się lała, bawiono się doskonale w stolicy i na dworze polskiego

króla. „Adherenci królewscy dawali bale, głusi i nieczuli na nieszczęścia i ujarzmienie Ojczyzny, podobni ludożercom skaczącym w koło brańca, którego mają zamordować i wspólnie pożerać“...... ,

Przeciw otrzymanemu zaś *interregnum*, zaufany w pomoc moskiewską, żadnego król nie uczynił kroku.

Nie zwołał ani *senatus consilium*, ani nie wydał publicznej odezwy, słowem nie poczynił ani jednego kroku ku uspokojeniu i zadowoleniu burzącej się słusznie większej części obywateli. Napisał tylko prywatny list do Bielaka, dowódcy polskich Tatarów, w następujących słowach:

„Wiadomo Wpanu, że konfederacya barska już ogłosiła *interregnum*, rozkazując odebrać mi życie. Kto jej przeto posłusznym, jest widocznie moim nieprzyjacielem. Spodziewam się po wierności Wpana i żądam, abyś żadnej konfederacyi i żadnego konfederata barskiego nie słuchał rozkazów, ale raczej zbrojno dawał im odpór, a gdybyś się za słabym widział, abyś się znosił z dowódzcami moskiewskimi najbliższych komend. Jeżeliby ktokolwiek naganiał to, co według rozkazów moich zrobisz, możesz się tym listem, mającym walor ordynansu, zasłonić“...

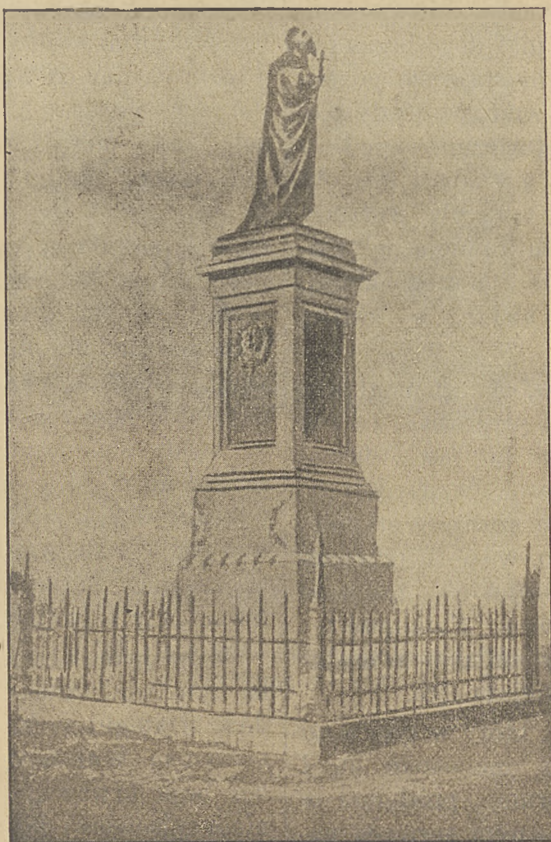
Postępowanie to niegodne monarchy, dbającego o dobro powierzonego mu ludu, tem więcej oburzyło naród i do tem zaciętszego wszędzie zapaliło go oporu. Prawa bowiem ludów są święte i nigdy bezkarnie pogwałcić się nie dadzą. Za każdą niesprawiedliwość mu wyrządzoną, prędzej lub później następuje pomsta dziejowa — a im sroższa krzywda, tem krwawszą ona bywa.

Monarcha z woli ludu wybrany, tem bardziej powinien był przestrzegać odwiecznych praw tego ludu, które w całej pełni utrzymywać, zaprzysiągł uroczyście.

A tymczasem, jakże odmiennie postępywał spadkobierca szlachetnej korony Piastów!

On, na którego namaszczonej głowie spoczywala złota ozdoba panującego monarchy, podlił się przed sługami Moskwy jakby nikczemny najemnik jaki i ubiegal się o laskę sług carskich. On, w którego dłoni spoczywało potężne Jagiellonów berło, przemienił je na złotą ozdobę tronu, przed którym rozparli się zuchwale najemnicy wroga!......

Pan stolnik litewski jednak, nie czul tego upokorzenia. Oszołomiony nieustannemi rozkazami, zdemoralizowany, miękki, niedołężny, chociaż nie bez zalet umysłu i serca — nie był stworzony na króla, a tem mniej w czasach, gdzie było potrzeba wielkiej potęgi umysłowej i żelaznej dłoni, aby ratować upadającą Rzeczpospolitą.



Pomnik ks. Kordeckiego w Częstochowie.

W wilią Bożego Narodzenia r. z. upłynęło 250 lat od chwili, gdy O. Augustyn Kordecki, przeor Paulinów na Jasnej Górze, na czele 140 rycerzy i 70 zakonników, z krzyżem w ręku, opromieniony nadziemską aureolą natchnienia i ekstazy, stawił czoło dziesięciotysięcznej regularnej armii szwedzkiej, nie uląkł się dział burzących, uzbrojony mocniejszym nad nie puklerzem wiary i czci dla Królowej korony polskiej, dla Tej, w imię Której rycerstwo polskie szło pod Grunwald. W noc Bożego Narodzenia, w taką cichą i gwiaździstą, jakich tyle przechowują wspomnienia pokoleń, pełną uroczystej zadumy przyrody w oczekiwaniu wielkiego przypomnienia — zamilkły burzące szwedzkie kolubryny, zalew prysnął od niewzruszonej opoki. Jasna Góra była uratowana (24-go grudnia 1655-go roku).

Pod takiem tedy panowaniem chyliła się ona coraz bardziej ku upadkowi — i już jak wiadomo zbliżała się chwila nieszczęsna, gdzie poczęto myśleć o rozbiorze jej ziemi.

„Zaraz po rozpoczęciu kampanii tegorocznej (1770) — opowiada autor W. o. k. b. — weszła trzytysiączna dywizya Austryaków do Starostwa Spiskiego i granice obstawiła słupami z dwugłowemi orłami cesarstwa.

„Wiadomo z historyi, że Zygmunt król węgierski, cesarz niemiecki, potrzebując pieniędzy zaciągnął długu w r. 1412 u króla polskiego Władysława Jagielły 37.000 kóp groszy praskich szerokich, co 2.960.000 złp. dobrej monety według monety stopy saskiej wynosiło; — a w zastaw dał królowi i narodowi polskiemu hrabstwo, czyli Starostwo Spiskie“.

„Ilu wojnom, napadom i zniszczeniom uległa Polska od tej epoki, też sama uczy nas historya. Przecież Austryą dopiero w r. 1770 ogarnęła troskliwość o dobro hrabstwa, jako posiadająca *dominium directum*, a Polska *dominium utile*.“

„Głoszono naprzód, że to jest środek ostrożności. Gdy bowiem Moskale wpadli do Mołdawii i Baltę spalili, nieznajomością granic wymawiać się chcieli. Konfederatom zaś dogodny był ten kordon, ponieważ chronić się za niego mogli w każdej potrzebie; dla zachowania atoli praw Rzpltej służących polecila jeneralności zanieść w tej mierze reklamacyą“.

„Król Stanisław okupacyą tą zatrwożony, kazał kanclerzowi podać notę do Kaunitza (28 lipca 1770) z przedstawieniem, że krok ten jest prawu narodów, istniejącym dobrym stosunkom i sprawiedliwości przeciwny. Nota została bez odpowiedzi. Napisał przeto król własnoręcznie do cesarzowej Maryi Teresy (20 października), upominając się w czułych i szlachetnych wyrazach o należne sobie względy. Odpisała cesarzowa, że zdawało się potrzebą zabezpieczyć prawa swoje i całość państwa; lecz ukończy się wojna Moskwy z Portą, Polska się uspokoi, chętnie przystąpi do układu o granice, które jak wiadomo sporne byly między Rzpltą a królestwem Węgierskiem“.

Czyn ten, bądź w mniej, bądź więcej złym celu spełniony, dość, że gwałtowny, wziął rząd pruski za hasło spoliacyjne. Kazał wejść wojskom do

Warmii i województw wielkopolskich, oświadczając, że to czyni dla ukarania Polaków za pogwałcenie granic i dla zasłonienia krajów swoich od powietrza.‘‘

„Tymczasem na złość powietrzu kazano gwałtem imać rekrutów, wozić furaże z kraju zarażonego do Prus, zakładać wielkie magazyny, płacić za nie wycofaną monetą, rozpisywać kontrybucye na miasta, szczególniej na Gdańsk — ale w dobrej monecie je pobierać. Gdy zaś monety żadnej wartości nie mającej brać mieszkańcy nie chcieli, król-filozof wydał edykt zapowiadający, że każdy uporny karze cielesnej podpadnie. Nabrawszy ludzi, zboża i pieniędzy, jako przyjaciel ludzkości pomyślił o weselach dla swych walecznych rycerzy, rozkazując z każdego powiatu stosunkowo dostawić pewną liczbę dorosłych dziewek i wyposażyć każdą pierzyną, czterema poduszkami, krową, dwojgiem świń i trzema dukatami w złocie. Z tej to sabińsko-pruskiej kontrybucyi widziano w Starogardzie wozy pełne owych narzeczonych z musu. Rozpacz od łona rodziców i krewnych oddartych dziewic pocieszano obietnicą, że sam rząd zajmie się dziewosłębami najspieszniej‘‘ *).

Po takich czynach nie wahał się Fryderyk napisać do d‘Alemberta w liście z czerwca 1775:

„Zakładam teraz w Polsce 180 szkółek tak protestanckich jak katolickich i uważam się za Lykurga lub Solona tych barbarzyńców. W tym kraju nieszczęśliwym nie znają prawa własności, mocniejszy gnębi bezkarnie słabszego......‘‘

Zajęcie Starostwa Spiskiego przez Austryą a Warmii i województw wielkopolskich przez Prusy, było pierwszą próbą zaborów nieszczęśliwej ziemi polskiej.

Złudzenia.

Opowieść
z czasów księcia Józefa Poniatowskiego

30) (Ciąg dalszy.)

XIV.

Epopea napoleońska, rozpoczęta tak świetnie i dziś nam, do których doszły te echa, przedstawiająca się niby legenda, zakończoną została strasznym, z posad niemal ówczesnych świat wstrząsającym dramatem, któremu na imię rok 1812.

Tysiące tysięcy wojsk z dalekiego Zachodu, jakby sprzeciwiając się tradycyom, zachowanym w kronikach średniowiecznych, zamiast ze Wschodu, idą z Zachodu na Wschód, a wielki ich wódz na tym ostatnim wysiłku chce zakończyć swoją nadzwyczajną karyerę, bo myśli już całą Europę od słupów Herkulesa aż po za azyatycki Urał rzucić do stóp swoich. Ale, ponieważ dzieje nie widziały jeszcze nigdy takiej potęgi, a Opatrzność postanowiła położyć pewne granice zbyt wyuzdanej dumie, więc też i dotychczasowe szczęście odwróciło się od orłów francuskich.

Geniusz niezrównany i wojownik, jakiemu podobnego nikt dotychczas nie widział, od tej chwili staje się pospolitym człowiekiem i wodzem, błędy piętrzy na błędach, ustawicznie wpada z deszczu pod rynnę, a kiedy i żywioły przeciwko niemu się sprzęgły, widzimy jak masy jego wojska topnieją, jak niepewni alianci zdradę dla niego knują, a on sam szydzi ze siebie i ze swojej gwiazdy.

Względem Polski, którą mógł wybrać w tych nowych projektach za wał obronny sobie, chciał naprawić dawne swe błędy, ale ponieważ stojące dotychczas przy boku jego szczęście stanowczo go już odstąpiło, więc do przeprowadzenia swoich projektów nie miał już ani siły, ani czasu. Fatalność też widocznie chciała, że zadanie to dostało się w najnieudolniejsze ręce.

Ksiądz de Pradt, który w tym ważnym dla Napoleona momencie, objął zawiadywanie sprawami polskiemi w Warszawie, jest głównym sprawcą następstw kampanii 1812 roku.

Ponieważ zwykle za jednym błędem idą inne, więc też winy księdza ambasadora zwiększył jeszcze książę Berthier, szef generalnego sztabu francuskiego, rozdzielając wojska polskie,, rozpraszając i rozdrabniając pod rozmaite dowództwa i do rozmaitych wcielając korpusów.

Nie tu jednak miejsce na rozważanie błędów, jakie wówczas popełniono. Historya wydała o nich swój sąd. Mało też nas obchodzi pochód pod Moskwę i straszny ztamtąd odwrót. Bohaterowie nasi zjawiają się na widowni w chwili najkrytyczniejszej.

Kiedy żołnierz francuski, klęskami zdemoralizowany, począł rabować, kiedy jak zwierz głodem zmękany przeciwko wodzom swym bunt podnosił i gotów był rzucić się nawet jak hyena na swego ubóstwianego dotychczas cesarza, gromadka Polaków pod księciem Józefem w porządku wróciła do kraju, a chociaż liczba jej zmniejszała się z dniem każdym, chociaż nie było w niej człowieka któryby nie został ranami okryty, głodem i mrozami wycieńczony, nie szemrano tam jednak bo rozumiano że losy wojny bywają rozmaite, że obowiązkiem żołnierza nietylko jest wynosić korzyści ze zwycięstw, ale także w smutnej doli nie tracić odwagi i męstwa.

Książę Józef blizko z pięcioma tysiącami żołnierza obdartego i wycieńczonego zdołał wrócić do Warszawy, a z pomiędzy wszystkich dowódców francuskich, on tylko jeden nie utracił swej artyleryi.

Chociaż położenie było już prawie całkiem rozpaczliwe, ludność Księstwa Warszawskiego zdobywała się na istny heroizm ofiarności i kiedy wszyscy odwrócili się już od Napoleona, to konfederacya generalna zażądała jeszcze żeby każdy urzędnik na rzecz dobra pospolitego ustąpił jedną czwartą ze swojej płacy, żeby do każdego złotego ofiary podatkowej dołożono tytułem pożyczki po 10 groszy, a do każdego podatku osobistego po 15 groszy. Nakazano przytem pospolite ruszenie, a książę Józef zamianowany został generalnym jego regimentarzem.

Wódz ten, uosabiający usposobienie całego kraju, wierzył jeszcze w możność ratunku, a jeżeli nawet miał w tym względzie jakie wątpliwości, to rządził się zasadą, że dla honoru trzeba wytrwać przy sztandarze aż do ostatka.

Żeby jednak dopiąć tego celu, trzeba było koniecznie nie tyle ze względów strategicznych, ile politycznych, utrzymać Warszawę, a przynajmniej bez boju krwawego zbliżającemu się nieprzyjacielowi jej nie oddać.

Zamiar zaś taki wcale do niepodobieństw nie należał, oprócz bowiem resztek wojska polskiego, na obronę jej pozostał zachowany i wcale klęskami wojny niedotknięty korpus austryacki księcia Schwarzenberga, liczący z górą trzydzieści pięć tysięcy żołnierzy.

Prawda, że zbliżający się Rosyanie co do ilości byli liczniejsi, ale wycieńczeni długą wojną, nie kusiliby się o zdobywanie miasta, gdzie nietylko wojsko, ale i ludność mogła stawiać opór i gdzie od czasu pierwszego pobytu Napoleona wzniesiono od strony Pragi obronne szańce i bastyony.

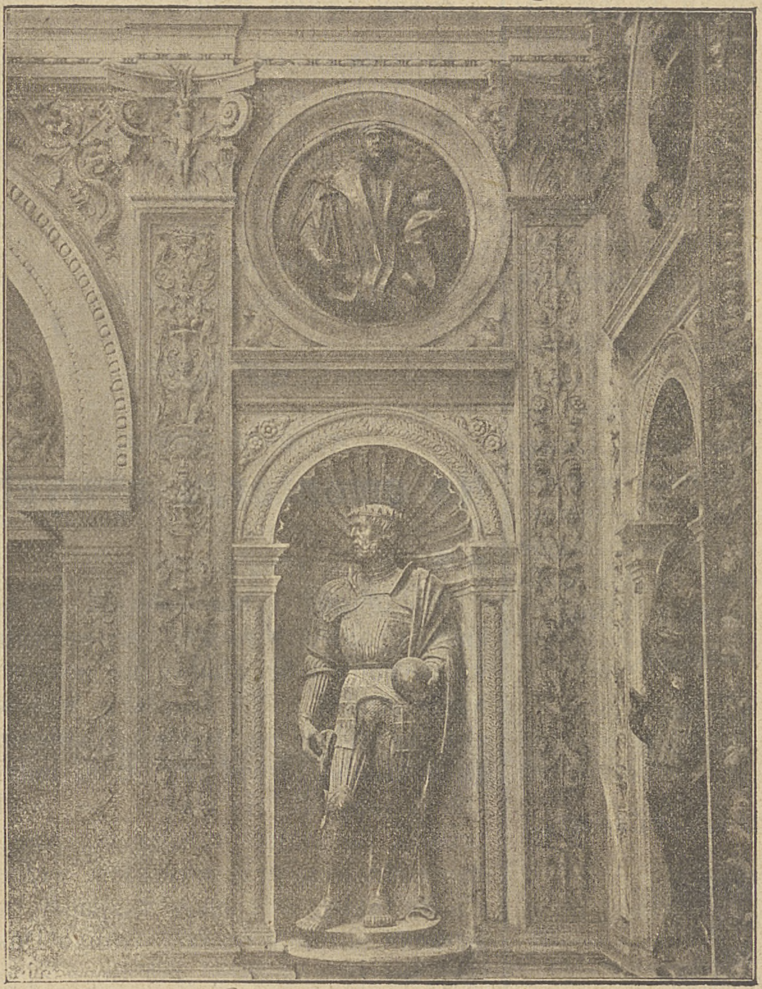
Książę Schwarzenberg atoli, a właściwie dwór, który mu dawał rozkazy, oddawna już ostygł w przyjaźni dla Napoleona i chociaż nie przechodził tak jawnie na stronę nieprzyjaciela, jak to uczynił pruski generał York, przecież nie chciał występować czynnie.

Książę Józef jeszcze ze swoich czasów wiedeńskich był połączony węzłami przyjaźni ze Schwarzenbergiem i liczył, że na podstawie tych związków, oraz w imię żołnierskiego honoru, skłonić go do czynu potrafi, a silnie popar-

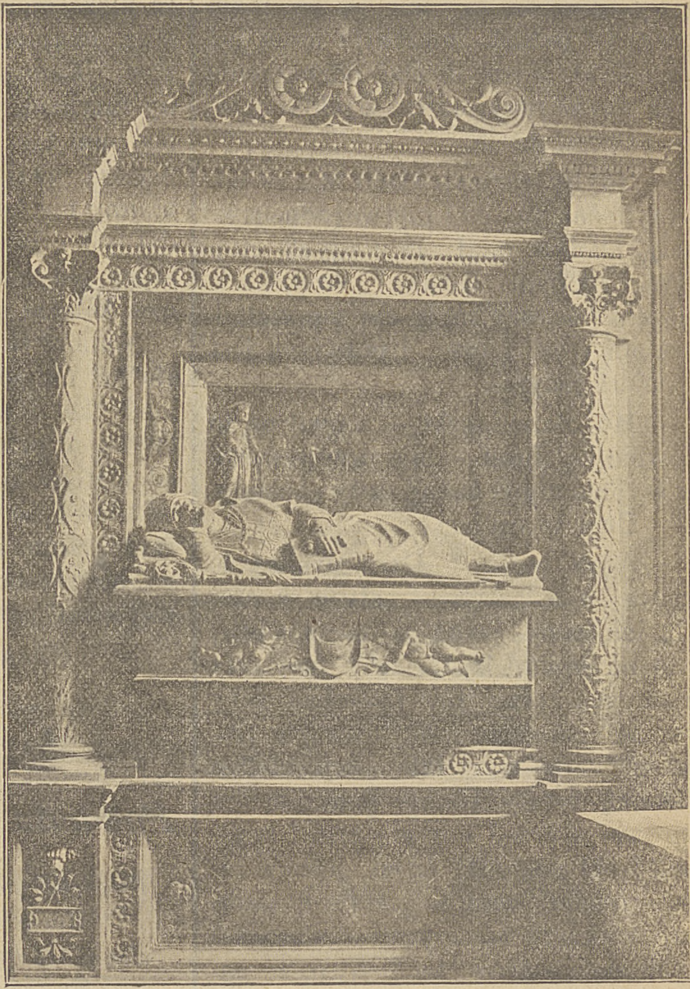
*) Rottek. *Allgemeine Geschichte.* 12. Aug. I. III. str. 438.

Katedra na Wawelu.

III.



Motyw kaplicy Jagiellońskiej z posągiem św. Zygmunta i medalionem króla Zygmunta w katedrze na Wawelu.



Pomnik biskupa krakowskiego Piotra Tomickiego w katedrze na Wawelu.

ty przez barona Bignon'a, ówczesnego francuskiego rezydenta w Polsce, użył wszelkich środków do wprowadzenia go na drogę obowiązku.

Perswazye jednak, prośby, nalegania, groźby nawet żadnego nie odniosły skutku i książę Schwarzenberg wolał dawne związki przyjaźni potargać, wolał nawet znieść kilka obelg bardzo wyraźnych, przez wzburzonego Poniatowskiego w twarz mu rzuconych, niż nadstawiać czoło nieprzyjacielowi.

Ponieważ zaś w takim razie kapitulacya Warszawy stawała się koniecznością, chodziło więc przynajmniej o to, aby połączone wojska polskie i austryackie nie ciągnęły w stronę Krakowa, jak to było zamiarem ks Schwarzenberga, ale żeby się skierowały ku granicy pruskiej, biorąc kierunek na Kalisz.

Stawało się to zaś koniecznem dlatego, aby armia ta mogła urzymać związek z korpusem Eug. Beauharnais, wice-króla włoskiego.

Książę Schwarzenberg, nie tając już teraz swej złej woli, udał się w stronę Krakowa, pozostawiając garstkę polskich wojowników własnemu ich losowi i pozwalając aby nieprzyjaciel klinem się wcisnął między niego i wicekróla włoskiego. Ks. Józefowi w takim razie nie pozostawało nic innego, jak iść w ślad za tymi, którzy dotychczas jeszcze z Napoleonem otwarcie nie zerwali.

Szumlański, o którym już tak dawno nie mieliśmy sposobności wspominać, odbył całą kampanię pod bokiem Poniatowskiego, a odbył ją tak, jak ten, który wyraźnie szuka śmierci wśród niebezpieczeństsw. Do podobnego zaś postępowania nie popychała go sława, ani pragnienie zaszczytów, gdyż o nie nie dbał, tylko nieutulona rozpacz, która rozsiadła się w sercu jego, a której ani niebezpieczeństwa, ani rany, ani choroba, ani dolegliwości wszelkiego rodzaju, których zażył prawie bez miary, wyprzeć stamtąd nie mogły.

Książę Józef wiedział aż nadto dobrze o powodach takiego stanu jego duszy, przez wrodzoną jednak delikatność i rozumiejąc dobrze, że co się stało, odstać się nie może, napróżno rany tej nie drażnił, a liczył, że sam czas i życie obozowe najskuteczniej je zabliźnią.

Rachunek ten atoli okazał się całkowicie mylny. Szumlański był wzorowym żołnierzem, ale ponury zawsze, jak noc czarna, z każdej okoliczności korzystał, aby biedz tam, gdzieby mógł głowę położyć.

Kiedy po zdobyciu Smoleńska zamianowano go podpułkownikiem i kiedy sam książę pierwszy zwiastował mu tę nowinę, on uśmiechnął się gorzko i westchnąwszy, wyszeptał:

— Po co mi to?

— Jakto po co? — odparł książę Józef. — Wszak, o ile wiem, marzyłeś dawniej o zaszczytach i pragnąłeś piąć się do góry.

— Bo dawniej myśleć o tem było dla kogo, a teraz... wszystko przepadło.

I wzrok ponury utkwił w ziemię, bo nawet niechętnie ludziom w twarz dzisiał patrzał.

Ks. Józef, zniecierpliwiony tą ustawicznie zrozpaczoną miną, zmarszczył się groźnie i rzekł:

— Dziwak, doprawdy, jesteś. Ja sam niegdyś z wielkim smutkiem z ust twych posłyszałem niemiłe dla mnie wyznanie, bo przypuszczałem odrazu, że sentyment podobny nie ma przyszłości przed sobą. Alem z drugiej strony myślał znowu, że choćbyś na-

wet pocierpiał trochę i potęsknił, to mimo to mężem być nie przestaniesz. Do niej mam niezawodnie także żal, ale wyrzutów za to robić jej nie mam prawa; ty jednak martwisz mnie już prawdziwie, kiedy dzisiaj odznaczenie to tak ważne przyjmujesz z takim chłodem i obojętnością.

— Gdyby mnie spotkało ono — odparł tym samym, co i pierwej tonem — wtedy, kiedym miał je u czyich stóp złożyć, byłbym bardzo szczęśliwy. Dziś nie pocieszy mnie ani marszałkostwo, ani tron nawet i pożądaną jest mi śmierć jedynie.

— Mój Szumlański — mówił na to gniewnie ks. Józef — nie przypuszczałem w tobie nigdy takiej dozy egoizmu.

— Czyż to egoizm?

— A cóż innego? Czyż myślisz, że uczciwa a szlachetna natura w czasach, jak nasze, po to się mężnie bije, po to na śmierć bieży, żeby zaszczyty dla samych zaszczytów pozyskać, żeby błyszczeć mundurem haftowanym złotem, żeby te wszystkie świecidełka, błyskotki, tytuły komuś upatrzonemu ofiarować i przed nim się niemi popisywać? O nie, mój drogi, jeśli z radości rośnie nam w piersiach serce, skoro widzimy zaszczytnie odznaczających się rodaków, to dlatego, że naprzód zadawala się szlachetne uczucie naszej dumy narodowej, a powtóre, że każdy wytrawny, doświadczony i zdolny liczniejszemi siłami komenderować oficer, to jeden stopień więcej do naszej przyszłości. Wcale nie teraźniejszość i używanie, ale dola pokoleń mających żyć po nas, to nasz cel, nasze zadanie. Kto więc obrać sobie nie mógł podobnego ideału, kto konieczności jego w sumieniu swem nie wyrozumował, albo co gorsza jeszcze, zapominając o obowiązkach kraju, zasklepił się w jakiemś osobistem uczuciu — ten zaiste nie godzien być uważanym za towarzysza owych bohaterów, którzy krew swą hojnie leją dla wielkich tych celów.

Że zaś Szumlański na słowa te nie odpowiadał, ks. Józef więc w rodzaju ostatniej przestrogi dorzucił jeszcze:

— Jestem pewny, że przyjaciela mego zaliczać nie powinienem do samolubów takich, inaczej bowiem z żalem wielkim musiałbym mu cofnąć szczerą swoją przyjaźń.

I po tych słowach wyszedł do sąsiedniej komnaty.

Szumlański potoczył dokoła wygasłem i szklannem okiem, a snać go już tak owa rozpacz wyczerpała, że nawet gniew książęcy stawał się dla niego rzeczą obojętną.

Mimo to, równie walecznie jak i przedtem, bił się ciągle, a chociaż przed awansami się wypraszał, z kampanii powracał pułkownikiem.

Wysoka ta godność wszakże, lubo za nizka może w stosunku do jego zasług, okupiona była mnóstwem wysiłków. Ranny po kilkakroć, wyczerpany fatygami i mrozem, wychudł, wynędzniał tak, że do dawnego pięknego majora, uwijającego się na salach Jabłonny nie był wcale podobny i wyglądał tylko, jakby jakiś szkielet lub cień, który jedynie siłą woli i zrządzeniem losu kołacze się po świecice.

Śmierć ta upragniona, zdawała mu się już na pewno uśmiechać w Wilnie, kiedy ks. Józef, mający się cofnąć na Ołykę, w przejściu swem przez Litwę, od małego korpusu swojego oderwał oddział i dowództwo nad nim powierzył Szumlańskiemu, przeznaczając go, aby zasłaniał odwrót resztek wielkiej armii przy cofaniu się z Wilna.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Powiedz swoim dzieciom...

Powiedz swoim dzieciom
Matusiu kochana,
Czem też była Polska,
Ta, co dziś zdeptana...
Jakie były lata
Ongi — w szczęsnej dobie...
A jak smutno dzisiaj,
Gdy jej wolność w grobie.

Powiedz swoim dzieciom,
Że Polska ich matka —
Że trzeba ją kochać,
Aż do sił ostatka...
Bo to żal nieboże,
Są — co Jej nie znają...
Nie wiedzą, czy żyje...
I Jej nie kochają.

Powiedz swoim dzieciom,
Że choć kraj w niewoli,
I choć naród cierpi,
Bez szczęścia i doli,
Wszakże Polska nasza
Jest tak jak bywała
I ona nam matka...
Łzami zlana cała.

Powiedz swoim dzieciom,
Że są Polakami,
I niech o tem wszędzie
Pamiętają sami —
Bo hańba tym wielka,
Co Matki nie znają,
I nawet nie wiedzą,
Jak się nazywają.

Powiedz swoim dzieciom,
Że trzeba miłować
Ojczyznę najmilszą,
I dla niej pracować
A czem więcej będzie
W niej szlachetnych ludzi,
Tem prędzej ją Pan Bóg
Z snu niedoli zbudzi.

Powiedz swoim dzieciom,
O tem matko miła,
Bo trzeba, byś dzieci
Żyć dobrze uczyła,
Byś im w serce wlała
Żar wielkiej miłości,
A poczną pracować
Dla lepszej przyszłości.

J. S.

Rydyard Kipling.

Na cmentarzu żywych.

3) (Ciąg dalszy.)

Po długich i bezowocnych wysiłkach, upadłem wreszcie zrozpaczony, wyczerpany i bezwładny na ocembrowanie studni... To bezpłatne widowisko nie zrobiło na tłumie najmniejszego wrażenia. Dwaj czy trzej ludzie, którzy przyszli do studni po wodę, przeszli po mojem zziajanem, drgającem ciele, lecz, przyzwyczajeni widocznie do takich wybuchów rozpaczy, nie zwracali na mnie uwagi. Gungo Dass, zasypawszy piaskiem żar dogasającego ogniska, podniósł się zwolna i raczył mi wylać na głowę pół naczynia brudnej i śmierdzącej wody. Za tę przysługę gotów byłbym mu na klęczkach podziękować, gdyby uczucia mojej wdzięczności nie chłodził szyderczym i pełnym politowania śmiechem. Śmiech ten oburzał mnie i gniewał. Takim samym wstrętnym, dychawicznym śmiechem powitał niegodziwy exbramin moje pierwsze próby wdarcia się na piaskową ścianę.

Leżałem wyciągnięty i bezwładny aż do południa. Wreszcie, poczułem głód i podałem to do wiadomości Gunga Dass, którego zacząłem uważać za mojego naturalnego opiekuna. Jak każdy przyzwoity angielski gentleman, zwracający się do krajowca, bezmyślnym ruchem, wynikającym z przyzwyczajenia, włożyłem rękę do kieszeni i wyjąłem z niej kilka sztuk drobnej monety. Zauważywszy jednak bezużyteczność i niewłaściwość tego datku, chciałem pieniądze schować do kieszeni. Gungo Dass jednak odmiennego był zdania.

— Oddaj mi pieniądze wszystkie, jakie tylko masz. W przeciwnym razie zawołam na pomoc i będziesz zabity — powiedział spokojnie, jakby to była rzecz najnaturalniejsza w świecie.

Nie ulega wątpliwości, że pierwszym instynktem prawego Anglika było: bronić do upadłego zawartości

własnych kieszeni; chwila jednak rozwagi przekonała mię o całej błahości sporu z jedynym człowiekiem, który był w stanie uczynić moje położenie jako tako znośnem, i którego pomoc przy możliwem kiedykolwiek wydobyciu się z krateru, mogłaby mi się przydać. Oddałem mu więc wszystkie pieniądze, jakie miałem przy sobie.

Gungo Dass ścisnął monety w zakrzywionych jak szpony drapieżnego ptaka palcach i ukrył je niezwłocznie w łachmanie, którym miał opasane biodra. W chwili gdy rozglądał się dokoła, ażeby się upewnić, że nikt na nas nie patrzy, twarz jego przybrała wyraz prawdziwie szatański.

— Teraz, rzekł, dam ci co zjeść.

Chociaż niezdolny byłem pojąć jaką przyjemność mogło mu sprawiać posiadanie pieniędzy, nie żałowałem jednak wcale, żem je oddał. Byłem najmocniej przekonany, że w razie odmowy z mojej strony czekała mnie śmierć niechybna. Nie można się sprzeciwiać drapieżnym bestyom w ich jaskini, a moi towarzysze niżej może stali od zwierząt pod względem moralnym i umysłowym.

Podczas gdy pochłaniałem specyały ex-bramina, składające się z grubego pieroga i czarki mętnej wody ze studni, towarzysze jego nie okazywali najmniejszej ciekawości, co dziwiło mnie bardzo, gdyż we wszystkich osadach indyjskich, jakie dotąd zwiedziłem, spotykałem się z ciekawością natrętną aż do uprzykrzenia. Tutaj wszyscy, nie wyłączając samego Gunga Dass, odnosili się do mnie z lodowatą obojętnością — graniczącą niemal z pogardą.

Zadawałem ex-braminowi mnóstwo pytań, dotyczących tego okropnego miejsca, otrzymywałem jednak wymijające odpowiedzi. Zaledwie mogłem z nich wywnioskować, że istniało ono już od niepamiętnych czasów,,, conajmniej od wieku; od tego czasu nie słyszano nigdy, żeby komukolwiek udało się ztąd wydobyć.

Słuchając tego, musiałem panować nad sobą całą siłą woli, w obawie, żeby przerażenie nie przyprawiło mnie o szaleństwo.

Gungo Dass znajdował piekielną jakąś rozkosz w dręczeniu mnie myślą o niemożliwości wydostania się na wolność. Ze złośliwem zadowoleniem i z szatańskim uśmiechem przypatrywał mi się, gdy drżałem ze zgrozy...

Wszelkie usiłowania z mej strony nie mogły go skłonić do powiedzenia mi, kto byli ci „oni,'' którzy więzili tylu ludzi w tak okropnej niewoli...

— Taki jest rozkaz — odpowiadał — i nie znam nikogo, ktoby się ośmielił sprzeciwiać ich rozkazom.

— Niech tylko moi służący zauważą moją nieobecność, a wtedy, przysięgam, że to miejsce zgładzone będzie z powierzchni ziemi... Nie ominie cię także wtedy mała lekcya grzeczności, jaka ci się odemnie należy, mój przyjacielu...

— Twoi ludzie zostaliby rozerwani na sztuki, zanim zdołaliby się tu zbliżyć. A zresztą... jesteś już umarły, mój kochany. Nie twoja to wina... niemniej jednak jesteś już umarły i pogrzebany.

Dowiedziałem się, że niekiedy od strony ziemi rzucano do krateru zapasy żywności, o które mieszkańcy toczyli walkę, niby drapieżne zwierzęta.

Gdy który z nich czuł zbliżającą się śmierć, wtedy krył się w swoją norę i tam umierał. Czasami wyciągano rozkładającego się trupa na piasek, niekiedy znów dozwalano mu gnić na miejscu.

Zdanie „wyrzucony na piasek'' uderzyło mnie, zapytałem więc Gunga, czy pozostawianie ciał gnijących na powierzchni ziemi nie wywoływało zarazy.

— O tem sam się najlepiej przekonasz; będziesz miał niemało czasu do obserwowania.

Na te słowa, ku widocznej jego radości, zadrżałem znowu. Chcąc pokryć wrażenie grozy, szybko zadałem nowe pytanie:

— A jak wy tu żyjecie z dnia na dzień .. co robicie? — To pytanie wywołało zupełnie taką samą odpowiedź jak i poprzedzające. Widocznie czuł się szczęśliwym... Miał obok siebie „sahiba,'' przedstawiciela rasy zwycięskiej, bezbronnego jak dziecię i zdanego zupełnie na łaskę swoich towarzyszy krajowców...

Rozmyślnie, z właściwem sobie zuchwalstwem, dręczył mnie bezustannie. Zwrotką powtarzającą się ustawicznie w jego rozmowie było, że niema żadnego sposobu wydobycia się z krateru, i że pozostanę tu, dopókąd nie umrę i dopókąd nie wyrzucą mnie na piasek...

Przypuszczam, że potępieńcy w piekle, gdy między nimi zjawi się jaka nowa dusza, muszą prowadzić rozmowę, podobną do tej, jaką dręczył mnie bezustannie Gungo Dass. Byłem zbyt słaby, ażeby przeciwko temu protestować, lub sprzeczać się z moim katem, tem więcej, że musiałem wciąż natężać i wysilać wszystkie władze umysłowe w walce z obłędnym tumanem niepojętej nieprzezwyciężonej trwogi, który zagrażał co chwila jasności moich myśli...

Ażeby nie utracić nic z blasku promieni słonecznych, które w godzinach popołudniowych wpadały ukośnie przez otwór do krateru, mieszkańcy jego ukazali się w komplecie. Gromadzili się w małe grupy, rozmawiając i nie patrząc wcale na mnie.

Około godziny czwartej (o ile mogłem zdać sobie z czasu sprawę) Gungo Dass podniósł się i zagłębił w swojej norze, skąd wylazł za chwilę z żywą wroną w ręku. Nieszczęśliwy ptak przedstawiał widok rozpaczliwy i godny pożałowania, nie zdawał się jednak obawiać swojego pana.

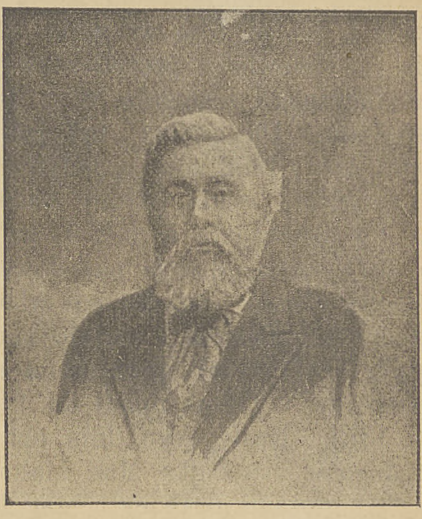
Gungo Dass doszedł ostrożnie do wybrzeża rzeki, potem, przestępując z kępy na kępę dostał się na kwaterę ścisłego piasku, na odległość strzału od statku. Załoga jednakże nie zwracała na to najmniejszej uwagi. Gdy się zatrzymał z wprawą godną podziwu, w jednej chwili przygwoździł ptaka na grzbiecie, z rozpostartemi skrzydłami...

(Ciąg dalszy nastąpi).

Fallières,

nowy prezydent Rzeczypospolitej francuskiej.

Na posiedzeniu kongresu w Wersalu, zwołanem na dzień 17-go z. m. do Wersalu celem wyboru prezydenta Francyi, oddano na Fallieres'a, prezydenta senatu, 449 głosów, na Doumera, marszałka Izby deputowanych, 371 głosów, wybrano zatem pierwszego prezydentem Francyi.



Falières,
nowy prezydent rzeczypospolitej francuskiej.

Fallieres jest wnukiem kowala wiejskiego, a synem pisarza sądowego z małego miasteczka Gaskonii. Oddany do szkół, uczył się nieszczególnie. „Z leniucha tego — mawiał jego ojciec — nie będzie nic porządnego''. Z czasem jednak młody Fallieres, jakkolwiek z trudem, zdał egzamina prawnicze i został *adwokatem*. Wówczas

też zmienił się do niepoznania. Zabrał się rączo do pracy i wkrótce zasłynął jako bardzo zdolny prawnik i obrońca. Przejąwszy się zasadami radykalnemi, rozpoczął żywą w tym kierunku agitacyę i już w roku 1876 wybrany został posłem. Od roku 1880, w którym mianowano go podsekretarzem stanu w gabinecie Juliusza Ferry, należał prawie bez przerwy do wszystkich gabinetów, w roku 1883 był nawet przez czas krótki sam prezesem gabinetu. W roku 1899 wybrano go prezesem senatu po *Loubecie, który* wówczas został prezydentem republiki — i na stanowisku tem pozostał do tej chwili.

Różni się on pod wielu względami bardzo od swego przeciwnika *Doumera.* Przedewszystkiem nie posiada jego ambicyi, płynie chętniej z prądem, niż przeciwko prądowi, najchętniej zaś z prądem skrajno-radykalnym. W życiu prywatnem uprzejmy i uczynny, lubi dobrze zjeść i wypić i ma z powodu zawsze wesołego usposobienia dużo przyjaciół. Liczy on obecnie 64 rok życia.

Prezydent republiki francuskiej pobiera pensyę w sumie 1,200.000 fr., oraz 700.000 fr. na koszta reprezentacyi i podróży. W porównaniu z listami cywilnemi monarchów jest to oczywiście uposażenie nader skromne. Lista cesarza austryackiego wynosi bowiem 22 mil. kor., króla pruskiego 15 mil. m. (jako cesarz niemiecki nie pobiera król pruski listy cywilnej), króla angielskiego 543.000 f. st., króla włoskiego 16 mil. lirów.

Trzecia republika, od czasu powstania t. j. od 4-go września 1870 miała już dziewięciu prezydentów; od konstytucyjnego ustalenia w r. 1875 — siedmiu. Pierwszym był jenerał Trochu, który miał zresztą jedynie tytuł prezydenta rządu obrony narodowej. Po ukończeniu wojny, 17-go lutego 1871 zgromadzenie narodowe w Bordeaux obrało prezydentem władzy wykonawczej Thiersa i nadało mu w sierpniu 1871 tytuł prezydenta rzeczypospolitej. Thiers upadł dn. 24-go maja 1873. Następnego dnia obrano prezydentem marszałka Mac Mahona, a to 390 głosami prawicy. Mac Mahon podał się do dymisyi 29-go stycznia 1879. Nazajutrz obrał kongres prezydentem Juliusza Grevy'ego, prezydenta Izby deputowanych. Po siedmiu latach spotkał Grevy'ego ponowny wybór. Ustąpił po 2-ch latach w r. 1887. Dnia 3-go grudnia wybrano Carnota, który dnia 24-go czerwca 1894 został zamordowany. W trzy dni potem odbył się wybór, na którym większość otrzymał Casimir-Perier, który już w styczniu 1895 podał się do dymisyi. Wybór padł na Feliksa Faure'a. Po nagłym jego zgonie, odbył się w lutym 1899 wybór, który osadził na republikańskim tronie Emila Loubeta. *—ski.*

Nad trumną cichego pracownika sprawy narodowej.

„O Panie! Panie! Ze zgrozą świata
Okropne dzieje przyniósł nam czas:
Syn zabił ojca, brat zabił brata,
Mnóstwo Kainów jest wpośród nas.“
K. Ujejski.

Najohydniejsza ze zbrodni jest bratobójstwo.

A jednak, niestety, stało się i dokonano jej w dzień biały w Warsza-



Ś. p. Karol Piotrowski.

wie *), na człowieku bezbronnym przy żonie i dzieciach.

Na takie morderstwo zdolen jest jedynie zwierz dziki ze wszystkich czci ludzkich wyzuty.

To też nic dziwnego, że na wiadomość tę ze wszystkich piersi wyrwał się okrzyk:

„O Panie! Panie! Ze zgrozą świata.
Okropne dzieje przyniósł nam czas.“

O tak okropne.

Bo każdy, kto głosi, że idei służy i że chce dla ludzi lepszej doli i wolności promienistej, a do celu tego po trupach idzie i to ludzi bezbronnych, to taki jest klęską i przekleństwem całej ludzkości.

I któż nas doprowadził do tego stanu deprawacyi, pytamy?

Socyalizm.

Tak Socyalizm, on to jak huragan niszczący przeszedł po naszym biednym narodzie niszcząc na swojej drodze wszystko i wszystkich. A śladem jego pozostały trupy, ruina i rozpacz.

I dziwne zaiste.

Ci, którzy głoszą hasło wszelkich swobód, ci swoją naukę, fantazyę urojenia, swoją wolę nawet, uznają za prawdę bezwzględną i prawo najwyższe wszystkich obowiązujące.

Kto zaś nie usłucha lub nie wykona ich rozkazów ten godzien kary.

A kary innej, nie uznają jak karę śmierci. Kto czemkolwiek zasłuży na ich gniew, niech ginie — winien umrzeć.

Taką właśnie ofiarą dzikiego wyuzdania padł skromny pracownik na polu pracy narodowej ś. p. *Karol Piotrowski,* a winą była cicha zbożna praca nad krajem swoim i braćmi, nad tą Matką, Ziemią Ojczystą, którą ukochał wielką miłością synowską.

A widząc, że wyrodni rwą szaty i szarpią jej pierś, zadając tem, ból jej straszny, stanął w jej obronie. Dłoń bratobójcza zadała cios wydzierając mu życie.

Śpij cichy oraczu niwy narodowej i niech ta Matka Ziemia Polska, którą tak wielką ukochałeś miłością lekką ci będzie.

, Pamięć twoja cichy pracowniku będzie w nas. A ziarno, które zasiałeś i zrosiłeś krwią swoją niewinną, rozwinie się w piękny kwiat miłości Ojczyzny i braterstwa. *L. P-ski.*

Szanujmy język ojczysty!

Germanizmy i prowincyonalizmy powszechnie w mowie polskiej używane.*)

(Ciąg dalszy).

115. Twoja prośba *została uwzględniona i została przyjęta* na dzisiejszem posiedzeniu, jego prośba *została odroczona* do najbliższego posiedzenia. — Używaniem tej formy niem. grzeszą bardzo często pisma polskie nietylko w Prusach, ale także w Galicyi, a nawet i w Kongresówce. Powinno być: Twoją prośbę *uwzględniono* na dzisiejszem posiedzeniu, jego zaś prośbę *odroczono* do najbliższego posiedzenia.

116. *Hamerszlag* i opiłki, (Feilszpene) kowalskie i ślusarskie są dobrym pognojem na rolą, nie mającą składników mineralnych. — Odpadki (rdza — nie: „drdza“) od żelaza i opiłki kowalskie i slusarskie i t. d. Rolnik uprawia *„rolą,“* a aktor odgrywa *„rolę“* w teatrze.

117. W Słupi pod Jarocinem była

*) Patrz artykuł w nr. 3-cim „Pracy“ p. t. „Zbrodnie socyalistów w Warszawie“ (str. 78) — Przyp. Redakcyi.

*) Za każdem złem zdaniem, zawierającem germanizm lub prowincyonalizm, zamieszczone jest zdanie oczyszczone z tych naleciałości.

dawniej *hamernia*, a w Lesznie *gissernia* dzwonów. — W Słupi pod Jarocinem była dawniej *młotarnia*, a w Lesznie „*lejarnia*“ dzwonów.

118. Za metr *kubiczny kisu* pod kolej i na *szosę* zapłacili mi po 60 fen. — Za metr *sześcienny* (skrócone od wyrazu „sześćcienny“) „*żwiru*“ zapłacono mi po 60 fen. Szosa (z franc. chaussee) nazywa się po polsku „żwirówka.“

119. Daj mi inną kopertę bo ta ma *fleki* (Fleck). — Co za *fleki?* — Anu *fleki* czyli *kleksy*. — Fleki — kleksy — plamy. Koperta ma plamy — jest poplamiona — na kopercie są plamy.

120. Ten szewc nie robi nowego obuwia, tylko *flikuje* i mówi, że lepiej wyjdzie na *flikowaniu*, niż na robieniu obuwia. — Ten szewc nie robi nowego obuwia, tylko *sporządza* stare.

121. Przyszyj mi mały *flecik*, bo mi pękł but na boku. — Przyszyj mi łatkę — przyszczepkę!

122. Za karę, że się spóźniłem do *kazerni*, musiałem iść na *hauptwachę* i musiałem 8 godzin *stojeć* na *poście*. — Za karę, że się spóźniłem do „koszar,“ musiałem iść na główny odwach, gdzie 8 godzin stałem na warcie — na straży albo: Musiałem 8 godzin stać jako wartownik.

123. Bardzo lubię *peklówkę*. — Bardzo lubię mięso zaprawione.

124. Dokąd idziesz? — Idę do *pucmacherki* po kapelusz. — Co to jest *pucmacherka?* — Pucmacherka jest *marszantka* (z francuska: Marchant de modes). — Na to odpowiedziałbym: „Nie kijem go, ale drewnem!“ Niemiecka „pucmacherka,“ a francuska „marszantka“ to polska „modniarka,“ albo „modystka.“

125. Dziedzic sprawił piękną liberyą swemu *kuczerowi*. — Gdym na tę panią spojrzał zdziwiony, poprawiła się, jak to mówią „z kominka na łeb“ i dodała: „swemu *kuczerowi* czyli *stangretowi*.“ — Niemiecki „kuczer,“ a angielski „stangret“ nazywa się po polsku „woźnica,“ a „liberya“ — „ubiór.“ — Ci co używają obcych wyrazów i zwrotów, a swoich nie znają, podobni są, jak powiedział Jan Amos Komeński, *) do ojca, który uczy syna konno jeździć, chociaż synek nie umie jeszcze chodzić.

126. N. N. miał rangę *lejtnanta*, a dowodził kompanią. — N. N. miał stopień porucznika, a dowodził kompanią.

127. Ja mówię, Kuba ma *recht*, nie Wojtek. — (Ja) mówię, że Kuba ma słuszność, nie Wojtek.

(Ciąg dalszy nastąpi).

*) Zob. „Przyjaciela ludu“, który przed 60 laty wychodził w Lesznie pod redakcyą prof. Jana Poplińskiego.

Polacy w Brazylii.

Rzadko dochodzą nas wieści od rodaków naszych, zamieszkałych w Brazylii, głównie zaś w stanie Parana. W głównem mieście tego stanu, Kurytybie, wychodzi pismo tygodniowe „Polak w Brazylii“, pod redakcyą p. Kazimierza Warchałowskiego. Z pisma tego dowiadujemy się o budzącym się wśród Polaków parańskich ruchu narodowym.

W dniu 29 listopada urządzono w Kurytybie obchód narodowy, z udziałem Towarzystw: „Imienia Kościuszki“, „Sokoła“, „Szkoły ludowej“ oraz „Łączności i zgody“. Obchód rozpoczęto nabożeństwem, celebrowanem przez prałata Celso Inbere da Cunha w miejscowej katedrze.

Na nabożeństwie tem ks. Józef Anusz mówił: „My tu na ziemi parańskiej wolni jesteśmy. Wolno nam łączyć się w towarzystwa, zakładać szkoły, prowadzić je w duchu narodowym, — słowem, wolno nam jako narodowi żyć, rozwijać się. Niestety, nie umiemy z tego korzystać. Niechaj każdy uderzy się w piersi i pomyśli, co zrobił tutaj dla siebie i dla swych rodaków, czem się przyczynił do rozwoju naszego życia polskiego, ile wlał ducha narodowego w swe dziatki, o ile podniósł polską kulturę, — a napewno będzie musiał zawołać: Zgrzeszyłem! daruj mi Boże, iżem dotychczas zaniedbywał mój obowiązek narodowy.“

Słowa ks. Anusza smutnem echem rozbrzmiały wśród murów katedry w Kurytybie, ale zarazem stały się hasłem do pracy narodowej. Wzywa też do niej „Polak w Brazylii“, wyjaśniając jej znaczenie i przedstawiając pole, na którem rozwijać się powinna. „Praca narodowa — pisze wymieniony tygodnik — to walka codzienna o rozmaite dobra nasze, to nauka w szkołach początkowych, to walka o każdy kawałek ziemi, to walka o każde prawo, o każdą krzywdę, to solidaryzowanie się z każdym objawem myśli narodowej, z każdym bólem, radością narodową, to kupienie się pod jednym sztandarem narodowym, bez względu na kierunki i partyjne nieporozumienia, to nie usuwanie ludzi pracujących, lecz gromadzenie ich i wspieranie.“

Tak brzmi program narodowy parański. Zdawałoby się, że wszyscy Polacy miejscowi koło niego skupić się powinni; w rzeczywistości jednak dzieje się inaczej. W Kurytybie istnieje grupa Polaków, usuwających się od wspólnej akcyi narodowej i usilnie dążących do rozbijania wszelkiej pracy narodowej. Prywata wytworzyła tę grupę, a kieruje nią ksiądz niemiecki, nie umiejący mówić po polsku, choć nazwisko jego brzmi z polska ks. Trzebiatowski. Do spółki z nauczycielem ludowym pracują oni gorliwie nad zaciąganiem Polaków w szeregi niemieckie i nad popieraniem interesów niemieckich w Paranie.

Niemcy silniejsi są w Paranie od Polaków, nie liczbą, lecz organizacyą. Polacy parańscy nie interesują się sprawami publicznemi, uchylają się od wyborów czy to do kongresu parańskiego, czy też do władz miejscowych, chociaż na ogół popierają partyę rządową, czyli tak zwaną republikańską federalną.

Partya ta ogłosiła listę kandydatów do nowego kongresu. Widnieje na niej 19 Portugalczyków (Brazylijczyków) i jeden Niemiec. Gdy listę ogłoszono, nazwisko Niemca wywołało oburzenie; dla czego owym 20 nie jest Polak? I znów niesnaski, protesty bezcelowe. Niemcy upomnieli się w komitecie partyi o dopuszczenie swego przedstawiciela do kongresu i żądanie swe odpowiednio poprzeć potrafili. Polacy zaniedbali tego, a teraz się skarżą.

Słusznie nawoluje „Polak w Brazylii“, aby koloniści nasi zaczęli pracę polityczną od podstaw, aby wglądali w gospodarkę kolonii oddzielnych, aby uczestniczyli w pracach zarządów miejskich, to i w kongresie znajdzie się miejsce dla przedstawiciela polskiego. Niemcy pilnują swoich interesów, więc też lepiej się im wiedzie.

Wprawdzie praca to utrudniona, tembardziej, że Polacy brazylijscy dziwnie są wrażliwi na wyraz „rządzić.“ Gdy kto z Polaków siłą rzeczy wystąpi na czoło gromady, zmuszony nie „rządzić“ nią, lecz kierować, wnet sypią się nań zewsząd zarzuty urojone i zaczyna się akcya mająca na celu uwolnienie „gnębionego ludu“ od kierownika. W takich warunkach, naturalnie, o pracy publicznej nie może być mowy.

Polacy — wszędzie ci sami!

Nasza ofiarność.

Złożyli do dnia 29-go b. m. włącznie:

Na Macierz Szkolną w Królestwie

p. Józef Pruchniewicz ze Skotnik pod Miłosławiem 5 mrk.

Dotychczas złożono razem 277 mrk 90 fen.

Na Tow. Pomocy Naukowej Karola Marcinkowskiego

a) dla chłopców p. Czesław Buza z Koszalina 2 mrk.

b) dla dziewcząt

Dotychczas złożono razem dla dziewcząt 10 mrk.

Czytelnie Ludowe p. Czesław Buza z Koszalina 2 mrk. Złożono dotychczas 3 mrk.

Na „Straż“ dotychczas złożono razem 4 mrk

Na stacyą kolonii wakac. „Stella“

Na „Gniazdo“-budowę sali „Sokoła“ w Poznaniu p. Czesław Buza z Koszalina 2 mrk.

Na elementarze dla biednych dzieci p. Józefat Pospieszyński z Leszna 3 mrk. Złożono dotychczas razem 13 mrk. 50 fen.

Na rodzinę Jana Wyciska p. Ussorowski z Turzna (Pr. Zach.) 10 mrk. 25 fen. dotychczas wpłynęło 95 mrk 40 fen. Z tej sumy wysłaliśmy dnia 22-go z m. dla pani Wyciskowej 74 mk 65 fen; pozostaje mrk 20 fen. 75.

Na Weteranów
z roku 1848-go
„ 1863-go
Razem wpłynęło dotychczas 73 mrk 77 fen. Z tej sumy wysłaliśmy komu należy 48 mrk 20 fen; pozostaje mrk 18,₤5 fen.

Na rodziny skazańców w Gliwicach wpłynęło dotychczas razem 12 mrk.

Na budowę kościoła w Żninie

Na odnowienie Wawelu w Krakowie wpłynęło dotychczas 2 mrk.

Na głodnych w Królestwie pp. B. Smorawski z Obornik mrk 19 fen. 98, dr. M. z Nakła 6 mrk. 90 fen., zebrał na posiedzeniu cechu krawieckiego w Śremie p. K. Mikołajczak 3 mrk 25 fen.
Razem wpłynęło dotychczas 53 mk 13 fen.

Na rodzinę robotnika Karola Piotrowskiego, zamordowanego w Warszawie przez socyalistów p. A. Łucka ze Stanisławowa w Galicyi 70 fen. Razem wpłynęło dotychczas 8 mrk 70 fen.

Dla banity, kaleki bez nóg, Walentego Półtoraka (patrz „Pracę nr. 3 na stronie 82-ej) p. Czesław Buza z Koszalina 2 mrk.

Jeszcze można zaabonować

„PRACE”

na miesiące luty i marzec.

W obrębie państwa niemieckiego jest ***każda poczta i każdy listowy tak na wsi jak też w mieście zobowiązany*** każdego czasu do przyjęcia abonamentu, który wynosi na luty i marzec

tylko 84 fen.

Od Nowego Roku powiększyliśmy dział powieściowy „Pracy“. Odtąd dajemy, jak dawniej osiem stron powieści.

W niniejszym numerze rozpoczęliśmy druk bardzo pięknego wspomnienia historycznego, napisanego przez Wincentego Migurskiego p. t.

„Dwudziestoośmioletnie wygnanie“ czyli ucieczka moja z żoną i dwojgiem dzieci.“

Rzecz dzieje się podczas dwudziestoletniego wygnania na Sybirze; zdarzenie jest prawdziwe. Autor opisuje przygody swej żony, pełnej miłości i poświęcenia, posłużyć mogącej jako wzór dla Polek.

Opowiadanie jest tak zajmujące, że każdy czytać je będzie z wielkiem zaciekawieniem a tak rzewnie opisane, że wyciśnie niejedną łzę z oka czytelnika.

Kto dotąd „Pracy“ nie zaabonował, a chce czytać początek **„Dwudziestoośmioletniego wygnania“** *niech zaabonuje na począt bezzwłocznie „Pracę“ na miesiące luty i marzec r. b.*

Kwity abonamentowe pocztowe na luty i marzec załączamy do dzisiejszego numeru.

Nekrologia.

† Ś. p. *Franciszek Apolinarski* dnia 23-go z. m. w Grotnikach, przeżywszy lat 73. Pogrzeb odbył się w Dłużynie dnia 26 go z. m.

† Ś. p. *Maciej Tomaszewski*, dnia 22-go z. m. w Kościanie, w 54-ym roku życia.

† Ś. p. *Izabela Swołek*, dnia 24-go z. m. w Poznaniu, przeżywszy 65 lat.

† Ś. p. *Eleonora Kwapisz z domu Orłowska*, dnia 23 go z. m. w Poznaniu.

† Ś. p. *Marya z Lewandowskich Janowska*, dnia 25-go z. m. w Poznaniu.

† Ś. p. *Józef Graetz*, dnia 24-go z. m. w Poznaniu w 68-ym roku życia.

Wiadomości literackie i artystyczne.

— **„Wiesłecz i a dla popierania ruchu wstrzemięźliwości“**, wychodzącego pod redakcyą ks. K. Niesiołowskiego w Pleszewie (Pleschen Prov. Posen), ukazał się numer styczniowy i zawiera:

Wiec w sprawie wstrzemięźliwości z dnia 22 XI 1905. — Czy alkohol wzmacnia i pożywia? — Zarys historyczny walki z alkoholizmem w Ameryce i Anglii (ciąg dalszy). — Sprawozdanie z X. kongresu międzynarodowego przeciw alkoholizmowi w Budapeszcie. — Rozmaitości. — Kronika miesięczna. — Odezwa. — Z literatury.

— **„Ruchu chrześciańsko-społecznego“** dwutygodnika, poświęconego sprawom społecznym i gospodarczym — wyszedł zeszyt 8 i zawiera treść następującą: Opieka nad dziećmi najwięcej zagrożonemi. Zmiana ustawy w kasach chorych i prawa o pozyskaniu siedliska wsparcia. — Znaczenie społeczne przemysłu domowego. — Kwestya obieżysasstwa. — Ruch ekonomiczno-społeczny. — Z ruchu socyalistycznego. — Socyalna obrona prawna.

* **Biegunki i zaparcia**, jak powstają i jak je leczyć? Odbitka z „Przewodnika Zdrowia“ (Czarnowski, Berlin N. Weissenburgstrasse Nr. 27.) Cena 50 fen. = 60 hal. = 25 kop.

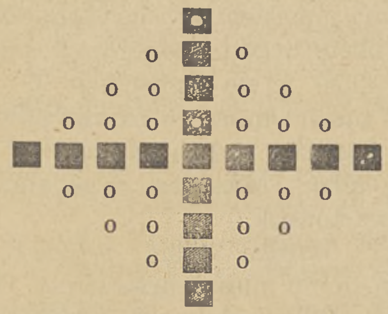
Książeczkę tę uprzystępniają najszerszym kołom naszego społeczeństwa niemało liczne obrazki, a rozprawa sama jest napisana językiem dla każdego zrozumiałym.

Można się spodziewać, że niniejsza broszurka należeć będzie do rzędu tych rzeczy, które drukuje się wydanie po wydaniu.

„Przewodnika zdrowia“ Nr 1. (na Styczeń) (Czarnowski Berlin Weissenburgstr. 27) wyszedł i zawiera: Czy wieprzowina jest pokarmem zdrowym? — Przestrogi i rady. — Rozmaitości. — Różne sposoby leczenia oraz wzajemna ich wartość. Sposoby praw dziwego leczenia: Leczenie wodą. Leczenie ziołami. Leczenie powietrzem i światłem. Magnetyzm życiowy. Hypnotyzm. Gimnastyka. Mięsienie czyli masaż. Kuracja elektryczna. Należyte pożywienie. Przesilenia chorób w świetle lecznictwa przyrodnego. Choroby ostre a przewlekłe. — W dodatku: O krzyczącej niedorzeczności i strasznej szkodliwości szczepienia ospy.

Dział szaradowy.

Kwadraty środkowe utworzą nazwę historycznej miejscowości wieku bieżącego.



ZNACZENIE WYRAZÓW:

1) Spółgłoska.
2) Rodzaj głosu.
3) Rzeka w Królestwie Polskiem.
4) Minerał.
5) . . . .
6) Owoce.
7) Ptaki.
8) Rzeka w Rosyi.
9) Samogłoska.

Rozwiązania nadsyłać należy do dnia 10-go lutego.

Rozwiązanie kwadratu liczbowego z nr. 3-go „Pracy“.

28	45	20	37	12	29	4
3	27	44	19	36	11	35
34	2	26	43	18	42	10
9	33	1	25	49	17	41
40	8	32	7	24	48	16
15	39	14	31	6	23	47
46	21	38	13	30	5	22

Rozwiązanie nadesłali pp. Marya Świtkowska z Krakowa, Zofia Chmielewska z Sannik, Stefan Kręcki z Giżewa, Konrad Ośmiło z Szopienic.

Nagrodę otrzymali pp. M. Nalewajska z Wir, Ignacy Doliński z Berlina.

Dział rolniczo-ekonomiczny.

W sprawie fabrykacyi octu

otrzymujemy następujące korespondencye:

Berlin, w styczniu 1906.

Na zapytanie jednego z czytelników „Pracy“ w nr. 53-cim r. z. względem założenia octowni w Krotoszynie, mogę radą posłużyć.

Jako długoletni fachowiec, zajmujący miejsce werkmistrza największej fabryki octu (spritu) i winnego i pracując w mniejszych zakładach, znam dokładnie tę branżę i korzystną fabrykacyę octu.

Do założenia fabryki w rozmiarach na Krotoszyn potrzeba mniej więcej 20 tworników octu (Essig bildner), do tego kilka większych kadzi 2—3000 litrowych do zestawiania surowego i gotowego produktu. Oprócz tego większą ilość (500) beczek transportowych dla odbiorców.

Ocet (sprit) wyrabia się z okowity surówki i do 10-cio dniowej obsługi potrzeba około 1000 l.

Ponieważ okowita staniała, byłoby bardzo korzystnem, założyć w tej okolicy fabrykę octu, dołączywszy do tego fabrykę musztardy i marynatów octowych. Octowni dobrze prosperującej w W. Ks. Pozn. nie znam, t. j. prosperującej z dobrym zyskiem, bo wyrabianie samego *spritu wielkiej korzyści nie przynosi.* Octy winne i do marynatów i wysoko procentowe aromatyczne przynoszą jedynie korzyść.

Znam to dokładnie, a i odbiorców na te artykuły mamy w całem Księstwie. Nie potrzebowaliby kupcy polscy tych artykułów z Niemiec sprowadzać, a pieniądz szedłby do polskiej kieszeni.

Informacyi szczególniejszych udzielę chętnie na żądanie, w krótkości podaję tylko potrzebne do tego aparaty i ceny w przybliżeniu, nie mogąc ich podać dokładnie:

20 tworników (Essigbildner) a ca 100 ltr. — 2,000 mrk., wiory bukowe (Rothbucken) na aparat 4 ctr a 3,50 — 280 mrk., 5 kadzi do zestawiania octu i okowity a 20—30 hl. po 6 mrk. ca — 1,000 mrk., 500 beczek do transportu licząc od 300—20 litr. przeciętnie 3 mrk. — 1,500 mrk., ocet do zakwaszenia aparatów na 1 twornik 300 ltr. a 6 fen. — 360 mrk., 1000 l. okowity surowej cena prawdopodobna — 600 mrk., rozmaite przyboczne narzędzia, pumpa, wiadra, belki i t. d. — 500 mrk., — razem 6240 mrk.

Zaokrągliwszy tę sumę pieniędzmi obrotowemi potrzeba ca 10,000 marek.

Czytelnik „Pracy.“

* * *

Śrem, w styczniu 1906.

Fabrykacya octu należy już dawno do przemysłu prowadzącego do bankructwa. Znałem fabrykantów dobrego octu tak żydów jak i Polaków i to w tak ożywionych miastach jak Toruń i Inowrocław, którzy na fabrykacyi octu mająteczki potracili. Od czasu jak chemiczne fabryki wyrabiają kwas octowy na wielką skałę, z którego gospodynie sporządzają sobie ocet — nie może się żadna fabryka octu utrzymać.

Czytelnik „Pracy.“

W jaki sposób sadownictwo nasze podnieść można?

Skreślił **Ludwik Radomski** z Śremu.

(Dokończenie.)

Najwięcej pożądane i najlepiej opłacane bywają bardzo rychłe i bardzo późne gatunki, a z tych mianowicie gruszek w lepszych gatunkach mamy bardzo mało, dla tego przedewszystkiem za dobremi gatunkami na końcu czerwca, początku lipca i w końcu stycznia, lutego i marca dojrzewających gruszek śledzić powinniśmy. Między jabłkami jest w tym względzie daleko większy wybór.

W końcu wskazać mi wypada jakie z tych starych gatunków przy wyborze do ogólnego rozpowszechnienia przedewszystkiem uwzględniać należy — oto takie co dobrze rodzą, których owoc ma piękny kolor i ładny wygląd a przytem jest soczysty i smaczny i nie lżejsze jak 125 gramów sztuka, gdyż mały owoc teraz nie popłaca, choćby był najlepszy.

Na jedno jednak jeszcze zwrócić muszę uwagę tych, którzyby zrazki (Edelreiser) zbierać i rozpowszechniać chcieli, że takowe tylko z drzew zupełnie *zdrowych* brać można — uszkodzenie od wiatru lub piorunu w rachubę nie wchodzi. — Drzewa chorujące na raka, zgorzaliznę kory (Rindenfaule) czarną pleśń (Fusicladium) muszą być od rozpowszechnienia wykluczone, gdyż choroba z zrazkim przechodzi na nowo uszlachetnione drzewko, które czy później czy prędzej zmarnieje, a owoc plamisty jest niepokupny.

Sadownictwo, to ważna gałąź ogrodownictwa, która przez ojców naszych ogromnie zaniedbaną została. Obowiązkim naszym przeto, powstałe ztąd straty na tem polu powetować. Ziemi odpowiedniej do hodowania dobrych gatunków nie brak, klimat wprawdzie u nas ostrzejszy niż w innych prowincyach, ale i ten przez szczelne ogrodzenie wysokim płotem lub murem i zakładanie sadów w zacisznych miejscach o wiele złagodzić można.

Popyt na dobry owoc jest coraz większy, ceny coraz lepsze, tak że umiejętnie założone i prowadzone sady pięknie rentować się mogą.

Naturalnie nie trzeba sadzić zbyt wiele gatunków, aby mieć owoc jednogatunkowy w większej ilości, gdyż handlarze owocu tak zwani grosiści, tylko gatunkowany owoc potrzebować mogą. Inna rzecz z lubownikami sadów urządzonych li tylko na własny użytek, ci się śmiało mogą bawić w sadzenie wielu gatunków, gdyż już samo porównywanie jest interesującem.

Długość dnia roboczego.

Sekretaryat szwajcarskiego Biura pracy zestawił i ogłosił daty, tyczące się długości dnia roboczego we wszystkich krajach. Z ciekawego zestawienia tego wynika, że najkrótszy czas dziennej pracy jest w Zjednoczonych Stanach północnej Ameryki i w Australii. Zaprowadzono tam prawie powszechnie ośmiogodzinny dzień pracy. W Stanie Connecticut jest 8 godzin dziennie w myśl prawa, każdą godzinę pozatem można przyjąć tylko dobrowolnie za osobną ugodą i wynagrodzeniem. W wielkim przemyśle dopuszczalnych jest co najwyżej 11 godzin pracy dziennie, a tylko w zajęciach domowych i przy roli może praca trwać dłużej. W piekarniach i w służbie kolejowej obowiązuje prawnie 10 godzin pracy na dobę.

W Australii nie ma żadnych prawnych postanowień co do dnia pracy i byłyby one zbyteczne, stało się bowiem ogólnym zwyczajem, że oprócz budowy dróg, przy których robotnicy 10 godzin na dobę pracują, przyjętym jest powszechnie dziewięciogodzinny dzień pracy. W zawodach przemysłowych w 65 wypadkach na 100, praktykuje się 8-godzinny dzień pracy. W pracy kobiet jest zwyczajem ograniczać pracę w dnie sobotnie na połowę.

DZIAŁ KOBIECY.

Uwagi z dziedziny kosmetyki.

Jakkolwiek ta potęga, wiedzą zwana, rozwinęła się olbrzymio w szeregu ostatnich lat, mimo to ze smutkiem przyznać musimy, iż dzisiejsza kobieta mniej hygienicznie pielęgnuje urodę, aniżeli jej poprzedniczki w czasach starożytnych. Egipcyanki, Greczynki i Rzymianki nie znały wprawdzie racyonalnej kosmetyki, a jednak stosowały codziennie kąpiele ciała, poczem namaszczały skórę wonnemi olejami i kremami. Namaszczania owe stanowiły rodzaj dzisiejszego masażu, a wraz z kąpielami pobudzały one organizm do przemiany materyi. A dzisiejsze kobiety?

Dzisiejsze — z małemi wyjątkami — stosują kąpiele raz w ciągu tygodnia dla utrzymania czystości ciała, twarz zmywają raz dziennie zimną wodą, często bez mydła (!) z obawy przed „psuciem" cery, a prawie wszystkie — nie wyłączając kobiet, które natura obdarzyła świeżością cery — pudrują twarz niemiłosiernie.

Przekonany jestem, iż nie czynią tego kobiety z braku poczucia estetycznego, a tylko z braku woli, by módz się oprzeć — modzie.

Stosowanie pudru jest nie tylko nie estetyczne, lecz puder niszczy cerę w krótkim stosunkowo czasie, a często sprowadza cierpienia dość poważne.

Głównemi składnikami pudru są: mączka ryżowa, łojek, kreda, magnezya, tlenek cynku, bizmut i sole ołowiu. Wszystkie gatunki pudru, bez względu na ich zawartość są szkodliwe, albowiem mączka ryżowa wytwarza z wilgocią skóry i atmosfery kwas mlekowy, drażniący skórę. Tlenek cynku, łojek i bizmut wysuszają skórę nadmiernie, w następstwie czego ona pierzchnie, staje się suchą — martwą. U osób, z tak zwaną tłustą cerą, u których funkcya wydzielnicza gruczołów łojowych jest wzmożona, tworzą się pod wpływem pudrowania twarzy — wągry, czarne punkty, pryszcze i wyniosłości pagórkowate.

Poważniejsze zmiany występują u osób, stosujących pudry z zawartością ołowiu. Pudry te stanowią proszek bardzo delikatny, „trzymający" się twarzy, dlatego bywa niestety najczęściej nabywany.

Kobieta stosująca puder z zawartością ołowiu nie długo zachowa świeżość i młody wygląd, już bowiem po kilku miesiącach nabierze skóra barwy szarej, stanie się martwą i pokryje z początku drobnemi zmarszczkami, po dłuższem używaniu — bruzdami.

Sole ołowiu dostają się przez skórę do organizmu, zatruwając go, przyczem wywołują przypadłości nerwowe, jak: drżenie rąk, bole głowy i t. d. Widok zbliżającej się rzekomo starości przeraża kobietę do tego stopnia, iż zapomina o przyczynie przedwczesnych zmian, a zamiast racyonalnego pobudzenia skóry do dawnej świeżości, pokrywa ją coraz grubszą warstwą szkodliwego pudru, czem niszczy nie tylko resztę urody doszczętnie, lecz jednocześnie zmienia wyraz twarzy, albowiem sole ołowiu wywierają wpływ degenerujący na mięśnie twarzy.

Cieszyłbym się, gdyby uwagi rzucone w niniejszym artykule zachęciły Was, Sz. Czytelniczki, do zaprzestania zgubnego stosowania pudru.

Dr. Luster,
spec. lek. kosmetyki i chorób włosów.

Próżność.

Jaką wadę zarzucają najwięcej kobietom? Naturalnie: próżność! Mężczyzni mianowicie śmieją się i szydzą z tej wady, nie pamiętając o tem, że i oni....., pardon!

Ale czy próżność jest rzeczywiście tak potępienia godną? Czy my kobiety, mamy jej się zupełnie wyrzec i usunąć ją żelazną siłą woli?

Przyznaję, że próżność jest niebezpieczeństwem, które łatwo kobietę zgubić może. Popycha ona ku przesadzie i staje się nieraz przekleństwem dla całej rodziny. Jest to pochyła droga, wiodąca do przepaści bezdennej. Próżność, to szatan, który zabiera ofiary tam, gdzie się ukaże — jego potędze nie łatwo oprzeć się można.

Każda jednak rzecz ma swoje dwie strony i tak jak z jednej należy próżność surowo potępić, tak znowu z drugiej nie trzeba jej zupełnie usuwać — wszystko musi być w miarę używanem. Próżność ożywia nas, podnosi poczucie naszej godności, dodaje ciału i duszy sił, świeżości i ambicyi. Kobiety, nie znające próżności, nie nadawają się do obecnych czasów, pełnych wymagań pod względem piękności, artyzmu i nawet tylko — porządku.

Co dawniej nieraz uważano za próżność, jest dziś do utrzymania czystości ciała niezbędnie potrzebnem, co dawniej potępiano jest dziś prawem hygieny, dobrego smaku i wykształcenia.

Kobieta bez próżności staje się łatwo niedbałą i obojętną pod względem swego ubrania, co najgorszym jest przykładem dla dzieci, brzydkim widokiem dla męża i co gorsze wywołuje skutki niżby się czasem myślało. Kobieta, brzydka nawet, może się podobać jeżeli jest ładnie i zgrabnie ubraną, cokolwiek ustrojoną, i jeżeli umie się w korzystnem pokazać świetle. Bo każda, chociażby najbrzydsza kobieta, ma jakiś wdzięk i urok — musi go tylko umieć uwydatnić. Ale do tego potrzeba koniecznie trochę próżności a kobieta nie mająca jej, nie myśli tracić czasu i trudu na upiększenie się. I pozostaje brzydką i nie podoba się nikomu!

Dla tego mówię stanowczo: my kobiety musimy być próżnemi! Ale dodaję czemprędzej: z umiarkowaniem i rozumem! Każda z nas musi się starać o to, aby się podobała nie za pomocą nierozsądnego stroju i kosztowności, tylko za pomocą dobrego gustu i odpowiedniego stanowisku i majątkowi ubrania, za pomocą wykształcenia, uprzejmości, czystości i pielęgnowania ciała i duszy.

Taka próżność jest konieczną. Ale skoro rozciąga się na zewnętrzne błyskotki i na chęć wynoszenia się nad innych, a raczej nad inne, jeżeli przyczyną jej jest zamiar okazania się mądrzejszą, piękniejszą i bogatszą, wtedy jest źle rozumianą i źle użytą.

Pod takiemi warunkami staje się kobieta śmieszną i nieznośną.

Należy więc uważać pilnie na to, aby się próżność zanadto nie zagnieździła i zbyt bujnie nie wyrosła — nie trzeba przekraczać granic i zachować godność osobistą.

Próżności nie powinno się też okazywać i dla niej wstydzić się pracy, lub ofiary ponosić, które nam tylko szkodziś mogą. Próżność ujęta w karby może się stać pożyteczną i dobrze czynić — zwolniona jednak z pęt przynosi szyderstwo, nieszczęście i zgubę.

..Empa.

Drobiazgi.

Kobiety maurytańskie nie obchodzą nigdy urodzin. Uważają, że wiek ich powinien być tajemnicą dla świata.

ROZMAITOŚCI.

Złożenie z urzędu biskupa. Do ks. Bubicsa, biskupa w Koszycach, przybył niedawno radzca ministerstwa oświaty Tost, ażeby przeprowadzić ostateczne śledztwo w sprawie finansowej gospodarki biskupa. Wynik śledztwa był tak ujemny ,że rząd węgierski wezwał biskupa Bubicsa, ażeby długi swoje w kwocie 96000 k. jak najprędzej spłacił, zrzekł się stolicy biskupiej i oddał rządy w ręce koadjutora. Biskup Bubics opierał się z początku, dowodząc, że na pokrycie długu ma dobra ziemskie w Tyrolu wartości 200000 k., a do zrzeczenia się godności biskupa nie widzi powodu, jest bowiem, mimo podeszłego wieku jeszcze zdolnym do pracy. Delegat rządu oświadczył jednakże stanowczo, że biskup musi ustąpić i ks. Bubics skutkiem tej prośby zrzekł się swojej dyecezyi. Jak donoszą z Budapesztu, zorganizowana szajka wyzyskiwaczy, przebywających częścią w Koszycach, a częścią w Budapeszcie, korzystając z niewiadomości biskupa, zapalonego zbieracza przedmiotów sztuki, oszukiwała go systematycznie i przyprawiała o znaczne straty. Sprzedawano mu zwyczajne wyroby współczesne jako dawne zabytki sztuki za bajecznie wysokie ceny, a równocześnie odkupywano od niego prawdziwe antyki za bezcen, jako rzeczy bezwartościowe. I tak np. zbiór porcelany, wartości 30 tysięcy kor., sprzedano biskupowi za 100000 k., a nawzajem odkupiono od niego za kilka tysięcy koron antyki, mające wartość conajmniej 100000 k. W sprawę tę są wmieszani dwaj budapeszteńscy handlarze starożytności, Grünberger i Laszlo, jako doradzcy biskupa Bubicsa w rzeczach sztuki.

* * *

Zamordowanie adwokata. Zdarza się dziś często, że klienci, którzy przegrają proces, niezadowoleni ze swego adwokata, próbują się na nim zemścić, wykonują zamach morderczy. O wiele rzadszy jednak wypadek zdarzył się w Bolonii, gdzie adwokat został przebity sztyletem za to, że... okazał się zanadto dobrym adwokatem. Zamachu naturalnie w tym wypadku dokonał przeciwnik jego klienta. Ofiarą jest 29 letni adwokat Robert Franchi, który prowadził sprawę niejakiego Giacoma Musci, 70 letniego starca, przeciw jego bratu Eugeniuszowi, a prowadził widocznie dobrze, bo kiedy adwokat przybył dnia 13 z. m. do domu swego klienta, wpadł tam Giacomo, strzelił kilkakrotnie do obu z rewolweru, następnie dobył sztyletu z za pasa i przebił nim adwokata, który runął bezwładnie na ziemię. Adwokata konającego odwieziono do szpitala, a mordercę aresztowano.

* * *

Możeby naśladować? Dzienniki nowojorskie piszą, że pięcioro dzieci, których ojciec zapił się na śmierć w jednym z przedmiejskich szynków, w którym bywał najczęstszym gościem, wytoczyło szynkarzowi proces o odszkodowanie i sprawę swoją wygrało. Sąd skazał szynkarza na wypłacenie sierotom 15.000 dolarów. Za przykładem tych dzieci pójdą niewątpliwie w Ameryce — a może spróbują pójść i u nas — żony, których mężowie zepsuli sobie nieodwołalnie żołądki w „handelkach", matki, których synowie zgrali się w kasynach itd.

* * *

Ile kosztuje rewolucya rosyjska? Według obliczenia profesora rosyjskiego Migulina kosztuje Rosyą:

1) zniszczenie Baku, źródeł naftowych: 100 milionów rubli:

2) walki w porcie Odessy: 50 milionów rubli;

3) 500 zniszczonych dóbr po 100 tysięcy rubli: 50 milionów rubli;

4) 60 zniszczonych miast, miasteczek itd. włącznie Odessy, Kiewu, Rostoka: 60 milionów rubli;

5) zniszczono zakłady przemysłowe: 40 milionów;

6) szkody materyału marynarki i armii: 50 milionów rb. —

razem 350,000,000 rubli.

Dalej wynoszą:

1) szkody kolei przez strejki 40 milionów rubli,

2) szkody przez strejkujący personał kolejowy: 200 milionów rubli,

3) przewłaszczenie kapitału rosyjskiego do banków obcych krajów z powodu rewolucyi: 100 milionów rubli,

4) różne inne straty z powodu opuszczenia kraju przez rodziny zamożniejsze: 100,000 rubli.

Ogółem wynoszą straty Rosyi, spowodowane ruchem rewolucyjnym 590,100,000 rubli.

* * *

Egzekucya w Lublinie. O wykonaniu wyroku śmierci w Lublinie na osobie 17-letniego lakiernika Markowskiego, który zabił naczelnika stacyi Szpakowa, przynoszą pisma warszawskie następujące szczegóły: W dniu 17-go z. m. o godzinie 8 rano, po przybyciu do więzienia ks. Włodzimierza Mencla, wyruszył ambulans wojskowy pod eskortą seciny kozaków. Ambulans jechał prędko i zatrzymał się na placu koło lasu Krempięckiego (sześć wiorst za Lublinem), gdzie oczekiwała cała rota żołnierzy. Tu Morkowskiego przyprowadzono do słupa, pod którym był już przygotowany dół głęboki. Po odczytaniu wyroku ks. Mencel skazanego wyspowiadał; Markowski prosił księdza o odwiedzenie rodziny i pocieszenie jej, oraz prosił, jeżeli kiedy zrobiony będzie jaki grób, niech każdy wie, w jakiem miejscu się znajduje. Po zawiązaniu oczu nastąpiła salwa. Skazaniec został pogrzebany na miejscu. Matka Markowskiego dostała podobno obłędu.

Humorystyka.

Drzyjmy łyko póki czas.

Jam właściciel kamienicy
Mam mieszkania niewytworne,
A choć krzyczą po ulicy,
Że drę ludzi za komorne,
Mówię: jedząc rozbef z rożna,
Drzyjmy łyko póki można.

Ten pracuje w takiem biurze
Że choć jest pracy zawiele,
Lecz łapówki bierze duże
Za najmniejszą bagatelę,
I choć dusza jego trwożna,
Drze wciąż łyko póki można.

Dobroczynny ów człowieczek
Jednak pragnąc iść do góry,
Bardzo lubi cokolwieczek
Swoich bliźnich drżeć ze skóry.
Skrzywdzić lubi choć z ostróżna,
By drzeć łyko póki można.

Tam wesoła kobiecinka,
Piękna różem i bielidłem,
Bez ustanku słodka minka,
Dla frajerów bywa sidłem,
Wszak flirtować rzecz niezdrożna,
Więc drze łyko póki można.

Oj niejedna u nas lala,
Czy wysoka czy to niska,
Choć wygląda zacnie zdala,
Ma pazury ostre z bliska.
I chcąc szybko być zamożna,
Drze wciąż łyko póki można.

Kapral do żołnierza.

— Dla czego tak przeklinasz?

Żołnierz: — Przygotowuje się do egzaminu podoficerskiego.

Rada kapitalisty.

Synu pożyczaj śmiało na najdłuższe nawet terminy, ale nigdy — do jutra.

Oszczędna.

Mąż: — Już znowu nowa suknia? Wszak masz ich tuzin.

Żona: — To właśnie dla oszczędności, tym sposobem mniej zniszczę.

Przed obiadem.

— Jaką, mężusiu, chcesz pieczeń: z rożna, czy z pieca?

— Dla siebie zrób jaką chcesz, ale co do mnie, to proszę... z wołu.

Odmowa.

Przyjaciel mój od serca
Raz mówi do mnie tak:
„Do ślubnego kobierca
Chcę iść, lecz świadka brak.

Bądź tak łaskawym tedy,
Nademną litość miej,
I mnie z tej wybaw biedy,
Za świalka służyć chciej.“

Ja na to kręcę głową:
„Żałuję bardzo, lecz
Obdarzam cię odmową,
Bo mam w tem swoją rzecz.

Jam też był na tej drodze,
U krzyża przysiągł stóp,
A dziś żałuję srodze,
Żem *na swój* poszedł ślub.“

Dziecinne życzenie.

Wnuczka: Dziadziu, czy to prawda, że starzy ludzie muszą umierać?

Dziadzio: Tak jest moje dziecko, to prawda.

Wnuczka: W takim razie, musi mi dziadzio przyrzec, że nigdy nie będzie starym.

Myśli.

Każdy człowiek ma w życiu bodaj jedną szczęśliwą chwilę. Niestety u wielu jest ta szczęśliwa chwila ostatnią.

Spokojne życie, nie jest ani połowy tego warte, co spokojna śmierć...

Dla porównania...

Gdy trzymałem ją w objęciach,
Drżąc z wzruszenia nieco,
„Wierz mi! — rzekłem — twe oczęta
Jak brylanty świecą!“

Popatrzyła na mnie słodko,
Na pierś główkę skłania,
„Możebyś je przyniósł — rzekła —
Tak... dla porównania!“

Dziwna dyagnoza.

— Konsyliarzu! Radź: straciłem apetyt, nie mogę spać i serce mi się tłucze.

— To się pan z „nią“ ożeń i basta.

Szczyt oszczędności.

— Co to Maniu, dajesz mi dziś na kolacyę kawior i chleb?

— Widzisz, mój drogi, zostało mi jeszcze pół cytryny, więc przez oszczędność chcę ją zużytkować.

Komplement.

Wirtuoz, po swej produkcyi zapytuje głośnego krytyka o jego zdanie.

— Mógłbyś pan śmiało popisywać się przed publicznością, złożoną z samych Bethovenów.

Uszczęśliwiony artysta kłania się przed krytykiem, który go jednak zatrzymuje.

— Nie zapominaj pan, że Bethoven był głuchy.

Zagadka.

Pewien mąż lubił przesiadywać w wyszynku. Żona się na niego bardzo gniewała. Razu pewnego przybył mąż z wyszynku znów pijany, wskutek czego żona tak się do niego odezwała, że pierwsze słowo zaczynało się literą a, drugie literą b, trzecie literą c, czwarte literą d i tak dalej, aż do końca abecadła. Mąż jej odpowiadał w ten sam sposób.

Żona: Ach bodaj ciebie dyaski (dyabli) elektryzowali, filucie, gorzałczarzu, hultaju i jakiśtam, kopyciarzu, lideraku, łachmaniarzu, marnotrawco, niedołęgo, oszuście, poczekaj rakarzu! Ślepie tobie urwiszu, wytłukę, zobaczysz!

Mąż: Ach bądź cokolwiek delikatniejszą, Elżbieto, folguj gniew, hamuj jednak klątwę, lepiej łagodnie mów, niżeli ostro, ponieważ rozgniewany szarpnę tęgo, wywrócę i zbiję.

Najtańsze źródło zakupu dla sprzedających z drugiej ręki.

Największa i jedyna polska parowa warzelnia smalcu i fabryka tłuszczy spożywczych

M. JEZIERSKI

Telefon Nr. 407. Poznań O. 1 **Adres do telegr.: „Emjot.“**

ul. Południowa Nr. 4 (Südstrasse 4) naprzeciw rzeźni miejskiej

poleca hurtownie począwszy od 30 funtów

słoninę krajową i zagraniczną soloną i wędzoną,
smalec surowy, smalec topiony bardzo dobry w smaku
smalec swojski nadzwyczaj delikatnego smaku,
tłuszcz topiony z doprawą marka „Emjot.”

własnej fabrykacyi. (prawn. zastrzeż.)

Tłuszcz topiony marka „Emjot“ składa się z najlepszych tłuszczy spożywczych, posiada bardzo delikatny smak i zapach, zastępuje pod każdym względem **najlepszy smalec topiony** i jest od smalcu topionego **o 7 marek na centnarze tańszy** i tak samo do smarowania na chleb, jak gotowania i pieczenia ku zupełnemu zadowoleniu użytym być może. 48

Dla budujących!

Projekta budowlane

wszelkiego rodzaju, jak: kamienic, wille, fasady różnego stylu, od pojedyńczych do najozdobniejszych, projekta budowli gospodarskich, wszelkie w zakres budownictwa wchodzące obliczenia, wykonywa starannie, gustownie i tanio (jako zajęcie poboczne) zdolny architekt we Wrocławiu, rodak z Górnego Slązka.
Łaskawe zlecenia upraszam pod **R. 234 postlagernd Breslau,** Postamt VI. 68

Z powodu śmierci mojego męża mam zamiar

dom mój

w którym znajdują się, pierwszorzędna piekarnia parowa, rzeźnictwo i restauracya, przy przystępnej wpłacie sprzedać. Reflektanci raczą się jaknajrychlej osobiście zgłosić.

Marta Lange, 83
Nowe (Neuenburg West-Preussen.)

Dobrze zaprowadzony od 8-miu lat

handel drogeryjny

połączony **z korzeniami i żelazem, jest z domem lub bez domu** korzystnie do sprzedania. Dobra egzystencya dla rodaka. Oferty uprasza się 9

M. Ptak, Priment (Bomst).

Ucznia

do drogeryi z stósownem wykształceniem przyjmie

E. Speichert
aptekarz, 60
w Obornikach.

Ucznia

zaufanego do drogeryi polecić może **A. R. 17. Poste restante: Toruń (Thorn).** 63

Księgarnia **A. Cybulskiego** w Poznaniu poleca dzieła pedagogiczne **Reussnera** do bardzo prędkiej i najłatwiejszej **nauki języków obcych bez nauczyciela** z objaśnieniem wymowy i **z kluczem,** pod tytułem:

Samouczek

Polsko-Niemiecki, kurs wstępny (Elementarz) po 30, 60 fen. i 1 mk., kurs Iszy 2 mk.. kurs IIgi 4 mk.
Polsko-Francuski kurs I-szy 3 mk., kurs II-gi 8 mk.
Wypisy Francuskie 2 mk.
Gramatyka Polsko-Francuska 3 mk. 47
Polsko-Angielski, kurs Iszy 2 m., kurs IIgi 3 m.
Polsko-Ruski kurs I. 3,50 mk., kurs II-gi 4,50 mk.
Amerykański Przewodnik z rozmowami angielskiemi 1,25 mk.

Sekretarz i tłomacz sądowy poszukuje 77

żony

z odpowiednim majątkiem. Łask. zgłoszenia pod Nr. **26** do Eksp. „Pracy“.

Kto chce czytać ładne powieści, niech się spieszy i żąda **darmo** cennika na książki powieściowe i do naboż. 84

„Globus“ I. Mrówczyński
księgarnia wysyłkowa
Rawicz (Rawitsch Posen).

Ucznia

z lepszem wykształceniem szkólnem przyjmie zaraz drogerya, skład farb, nasion i łakoci. 69

Franciszek Deutsch
Wronki (Wronke).

UCZNIA

syna porządnych rodziców z odpowiednem wykształceniem poszukuje od 1 kwietnia lub prędzej. 70

Centralna Drogerya.
I. Grochowski
Jarocin.

Starszego, dobrze polecone-go 75

pomocnika

obeznanego dokładnie z handlem żelaza, sprzętów kuchennych i materyałów budowlanych, przyjmie od 1-go marca lub kwietnia r. b.

W. Kozłowicz
w Inowrocławiu.

Poszukuję zdolnego

siodlarza

na robotę pasową, praca stała, przy uzdolnieniu za wysoką płacą. 71

Fabryka pasów.
Z. Mazurkiewicz
Poznań, ul. Wiktoryi 17.

Guwerner,

abstynent, pragnie miejsce przyjąć zaraz lub **później,** w mieście lub na wsi. Łask. oferty pod adresem 78

J. Laszas.
Berlin N, Borsigstr. 7.

Szukam dla syna mego miejsca 76

ucznia

w składzie bławatowym.

S. Brykczyński
skład kolonialny
w Rogoźnie.

Kompletnie urządzona

drukarnia

pędzona siłą elektryczną jest korzystnie do nabycia. Zgłoszenia przyjmuje

H. Kiełpiński
Bytom. G. Ś.

Rodaczki 80

proszę o wskazanie miejscowości, celem **założenia składu papieru i artykułów piśm.,** zarazem poszukuję

wspólniczki

z 1000 mk Zgłoszenia do „Pracy“ pod **I. W. W. 80.**

Firmy polskie na prowincyi polecają się względom Sz. Czytelników.

Bnin.

W. Flens, (Hotel) towary kolonialne, cygary, tytunie i t. d.

Bydgoszcz.

Ul. Fryderykowska 41.
JAN GŁOWIŃSKI.
Skład sukna, wykonywanie podług miary, gwarancya dobrego leżenia. Konfekcya męzka i dla chłopców.

Kępno.

Stara apteka i drogerya poleca wszelkie artykuły kraj. i zagr., mydełka, perfumy i inne kosmetyki.
Edmund Karłowski.

Kościan

ul. Małej kolejki kościańsko-gostyńskiej
Stanisław Augutyniak
Handel drzewa budulcowego belek i kantówek, blochów, desek, łatów i t. d.
Skład dzwon bukowych.
Papy na dachy.

Kostrzyn.

Michał Woźny
poleca skład bławatów, płócien, materyi na suknie, bieliznę, chustek, stołowiznę, trykotarzy, kapeluszy gotowej garderoby męzkiej w wielkim wyborze. Ceny stałe.

Miejska Górka.

A. Wybieralski.
Hotel. — Handel żelaza długiego i krótkiego, artykuł. budowl. i tow. kolonialnych.

Ostrów.

J. Kopecki, Ostrów, ul. Koszarowa 20 i Osiek (Netzthal.
Własna fabryka wszelkich pomp i specyalny interes kopania i wiercenia studzien na wielką skalę; dostarczania wody na każdem miejscu.

Rawicz.

J. Mroczkowski.
Skład tow. kolonialnych, delikatesów herbaty, araków, wódek i cygar.
Handel win. Drogerya: farby, lakiery, perfumy smarowidła na osie, oliwy do machin etc.

Śmigiel.

M. Stachowiak.
Skład towarów drogeryjnych, kolonialnych oraz przyborów fotograficznych.

J. Karpiński.
Pracownia gard. męzkiej, skład sukna, bielizny i innych artykułów, gotowej gard. dla dorosłych i dzieci.

Śrem.

A. Zwierzchowski,
pierwsza polska fabryka **siatek drutowych na płoty** w Śremie.

Ktoby chciał założyć na Śląsku pismo polskie lub jakiekolwiek inne wydawnictwo, temu zdarza się korzystna sposobność nabycia drukarni w centrum życia polskiego na Śląsku.
Bliższych informacyi udzieli

Administracya „Pracy“.
w Poznaniu.